NOWA POLSKA

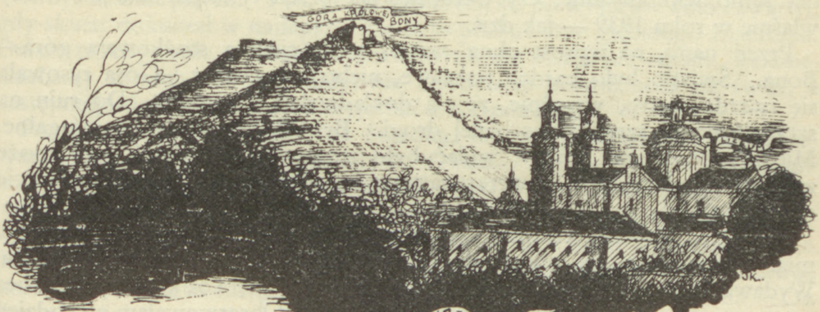
MIESIĘCZNIK

TOM II NEW POLAND MONTHLY ZESZYT 5

LONDYN M A J 1943

MARIA DANILEWICZOWA

MAJ W KRZEMIEŃCU



Ukończyliśmy właśnie przygotowania do otwarcia Wystawy Słowackiego w Krzemieńcu. Gabloty i ekrany zapełniły się książkami i sztychami, przed chwilą ułożyliśmy ostatnie — najcenniejsze — eksponaty: autografy i rysunki Poety, pamiątki po Nim. „I oto, — mówiliśmy zmęczeni — dobrnęło się wreszcie do końca i tylko rankiem, w ostatniej chwili, przed samym otwarciem, przybijemy afisze i ustawimy kwiaty. Potem możemy już wracać do Warszawy".

Siedzieliśmy na pustych skrzyniach od książek: profesor, dwoje malarzy, — ja wreszcie, skulona i nieszczęśliwa, pożerana wątpliwościami co do daty jakiegoś dokumentu i zatopiona w rozmyślaniach, jakby ją na poczekaniu ustalić.

Mówiliśmy, że dziwną jest sprawą, że rękopisy Słowackiego przybyły po raz pierwszy do Krzemieńca, boć przecież łączyły je z tym miastem związki oczywiste i dawne. Wydawało się, że wracały, choć przecież

można to było powiedzieć bez przenośni tylko o listach do Matki. Te były tu już raz, dzięki uprzejmości panów Hausnera i Viollanda, bankierów we Lwowie, którzy przesyłali je przez Brody do pani Salomei Bécu. A gdy zwłoki Poety spoczęły na paryskim cmentarzu, a nad mogiłką Sally wyrósł jesion płaczący, listy wędrować zaczęły z rąk do rąk po całej Polsce i dwa z nich tylko powróciły do Krzemieńca, jako eksponaty wystawy, którą „piękne rodzinne miasto" czciło swego wielkiego syna.

Maj był roku 1939. Przez tydzień szalały deszcze i wichury, potoki żółtej wody pędziły stromymi uliczkami, księżyc przeglądał się w wielkich kałużach, mury licealne zionęły chłodem klasztornych korytarzy.

Wreszcie, niespodzianie, któregoś ranka zaczęła się od razu wiosna, zakwitły sady śliwkowe i kasztany w parku, a ludzie — pomni na zbliżające się Zielone Święta — bielić zaczęli domostwa, dodając starym zwyczajem farbki do wapna, jeśli w domu była córka na wydaniu.

Patrzyliśmy na miasto z okien dawnego internatu w prawym skrzydle murów licealnych. Na schodach wiodących do kościoła, w cieniu kamiennej rokokowej urny, siedział kilkunastoletni chłopak i pracowicie sklejał jakieś brunatne skorupy.

— To Staszek, brat małego Sławusia, — powiedział profesor. Wrócił wczoraj z wycieczki archeologicznej do Bereżec i pomaga ojcu przy rekonstrukcji popielnicy. Będzie z niego kiedyś dobry konserwator, bo cierpliwy jest i zajadły w robocie.

„Kiedyś" wydawało się nam naturalnym dalszym ciągiem wczoraj i przedwczoraj. Nie braliśmy pod uwagę tego, że Staszek zemrze na tyfus pod okupacją sowiecką zimą roku 1941 — cieszyliśmy się chwilowym odprężeniem sytuacji politycznej i wiosną, która powróciła i rozkwitała tak samo lekkomyślnie, czy okrutnie, jak przed tysiącem lat, jak wtedy właśnie w roku 1939 — jak dziś.

Przed nami, na wprost okna, wznosiła się ciemna stożkowata góra— Bona. Światło było bardzo jaskrawe, niebo bez chmur. Góra rysowała się twardo, ostro, wyraźnie, ze złą dokładnością fotografii. Do ruin na szczycie wiódł szeroki pas białej drogi. Były dostępne, łatwo osiągalne. Między szczerbami murów widać było rusztowanie z desek, czy może znak triangulacyjny i sylwetki zastępu harcerzy, machających zawzięcie chorągiewkami.

Niżej, na zboczu, czerniał las, zagajnik raczej, który powstrzymywać miał osypywanie się zwietrzałych skał wapiennych od strony miasta. Wydawał się wielką ciemną plamą, a widziany z głębi salki, wypełniał bez reszty otwór okna, nie tamując przecie światła. Obserwowałam go codzień i nie uszło mej uwagi, gdy pewnego dnia majowego jednolitą, głęboką zieleń naruszył jasny punkcik, przyciągający uparcie oczy. Zieleń to była także, ale inna, ciepła i wiosenna, skupiona w listeczkach brzozy, która nagle wybiła się z tła mocnym, dobitnym akcentem, żywą plamką światła.

Pokazałam ją małemu memu przyjacielowi Sławusiowi, gdy pod jakimś pretekstem zjawił się w salkach wystawowych, obiecując solennie, że „dziś na pewno nie będzie przeszkadzał". Ten zidentyfikował ją od razu. Była to, oczywiście, ta sama krzywa brzoza, przy której skręcać trzeba było w prawo, idąc skrótem do ruin na Bonie. Szlak ten zwaliśmy „Psią Dróżką" i chadzaliśmy nim w tajemnicy przed otoczeniem. Sławuś, szkrab dziewięcioletni, nie posiadał się z radości, gdy wykrył, że nie ma o nim wzmianki w przewodniku po Krzemieńcu, opracowanym przez własnego jego ojca. Przeoczenie to tłumaczył w sposób swoisty, nie pozbawiony pozorów słuszności: on, Sławuś, urodził się na miejscu, jest „prawdziwym" Krzemieńczaninem, podczas gdy ojciec jego, nauczyciel licealny, zjawił się tu po raz pierwszy, mając lat 27. „Trzy razy więcej, niż ja — konkludował Sławuś z namysłem, towarzyszącym mu zwykle przy mnożeniu lub dzieleniu w pamięci — i cóż on może wiedzieć o Krzemieńcu?"

Ale ojciec Sławusia uważał się także za Krzemieńczanina. Odcinając się synowi, sięgał po argumenty historyczne. „I Antoni Malczewski“— mówił, — i ” Maurycy Gosławski i Józef Korzeniowski figurują w „Literaturze“ Korbuta, jako Krzemieńczanie a przecież po lat tylko kilka spędzili w murach Liceum. Widać jednak okres to był w ich życiu szczególnie istotny, skoro ich tak właśnie nazywano“.

Sławuś upierał się jednak przy swoim. „Prawdziwym“ Krzemieńczaninem był ten tylko, kto, jak Słowacki — i jak on sam — urodził się u stóp Bony, w obrębie murów licealnych, komu nad kolebką śpiewały słowiki z Czerczy, — kto widział na własne oczy czarownice, odprawiające sabaty w ruinach zamku na Bonie, gdzie niedawno, za jego, Sławka, pamięci, znaleziono złamaną miotłę, niezdatną do dalszych lotów. — „Była wielka, lekko wygięta, i Michaś, ten co na Sokolej Górze na prawdziwym szybowcu lata, mówił, że miała linie opływowe“ — ciągnął w zapale.

Malarka obserwowała go bacznie. Stał przed nami, wątły i blady, z roziskrzonymi oczyma, pochłonięty opowiadaniem. Był wtedy bardziej, niż kiedykolwiek, podobny do małego Słowackiego z wileńskiego portreciku Rustema. „Świat ciemny“ ogarnął dziś i to „dziecko z czarnymi oczyma“, by na złych manowcach wojny poznawało przedwcześnie twarde prawdy życia. . .

Wtedy — było inaczej. Sławuś miał grządkę przy domu na Wizytatorskiej i właśnie dziś wschodzić na niej zaczęła fasola i ogórki. Miał maleńkie akwarium z traszką ze stawu dubieńskiego i słój z nasyconym roztworem soli kuchennej, która osadzać się zaczynała na sznurku w postaci małych przeźroczystych sześcianków. Znał na pamięć gatunki ciastek „u Turka“ i doskonale wiedział, że w piątki są tam najlepsze lody.

A był właśnie piątek. I to, że Sławuś kręcił się po wystawie koło czwartej, gdy skwar dokuczał w najlepsze, nie było pozbawione głębszego znaczenia. Dalsze przebywanie w salach wystawowych nie miało już sensu. Przesiedzieliśmy w nich trzy tygodnie, nie wychylając prawie nosa na świat, a następnego dnia mieliśmy już wyjechać z Krzemieńca.

Pognaliśmy przeto w dół, na Szeroką, do małej cukierenki, pachnącej cynamonem i świeżo parzoną kawą. Okazało się, że Sławuś był tu już raz przed godziną, chodziło mu jednak tylko o stwierdzenie, jaki gatunek lodów udał się dziś najlepiej i ograniczył się do zjedzenia rożka „mieszanych“ za dziesiątkę. Teraz gotów był dzielić się z nami wynikami swych doświadczeń, cóż — kiedy, jako dorośli, woleliśmy czarną kawę. Sławuś patrzył na nas z niedającym się ukryć pogardliwym zdziwieniem. On sam nie pijał kawy: uważał, że jest gorzka i niesmaczna.

Kawiarenka była mała, złączona z piekarnią. Kilka stolików zaledwie. U wejścia królował wielki kontuar, na którym misternie plecione chałki sąsiadowały z ciemnymi chlebkami tureckimi. Obok z lepkich pierożków wyciekała różowa marmolada i „watruszki“ nęciły żółtymi okami sera z czarnymi centkami rodzynek. Szumiał stary samowar, tulskiej niewątpliwie fabrykacji, pamiętający złe dni zaborów i czasy równie zamierzchłe, gdy na ścianie za nim zawieszono potworny oleodruk w ramie z drobnych muszelek. Ponad farbkowymi wodami jeziora bielały na nim szczyty Alp w blaskach malinowego zachodu.

Obok, ale już w części przeznaczonej dla nowej publiczności, zawieszono pejzaż z prawdziwego zdarzenia, pędzla jednego z uczniów Warszawskiej Akademii. Znaliśmy jego dzieje. „Fakir“ malował go w czasie zeszłych wakacji na naszych oczach w asyście bosej dzieciarni i wiecznie głodnych kaczek nad Irwą, która dnia tego niosła do Ikwy, „srebrzystej“ w marzeniach Słowackiego, wody sine od farbki i mętne od mydlin, przypominając zdecydowanie rynsztok łódzki barwą, wonią i rozmiarami. Obraz sprzedany był „na pniu“, gdy tylko z plam kobaltu i sieny wyłoniły się zarysy ruin na Bonie, — a na honorarium, odjadane przez miesiąc, składały się

obiady z trzech dań z kawą wartości 1 zł. 20 gr. każdy. „Moi“ malarze kwestionowali nie tylko wysokość ale i jakość honorarium, twierdząc zgodnie, że „Fakirowi‘ stała się krzywda. Narzekali na ceny krzemienieckie, na „europeizację“ miasta, z którego uciekać już trzeba było dalej: do Wiśniowca, Żołobów i Poczajowa.

Sławuś wił się na krześle. Lody były już od dawna zjedzone, w cukierence duszno było straszliwie a tuż za oknem zaczynał się świat, bliski wprawdzie i znajomy, ale równocześnie rojący się od tajemnic i możliwości odkryć. Na Tunikach, przy starym cmentarzu, wylęgły się kaczęta u Włodka Sawczuka, a Sławuś mógłby dostać dwie najdorodniejsze sztuki, gdybym przekonała jego matkę, że będzie je sam karmił i dbał o nie tak, jak Staszek dba o swoje gołębie i niebieskie króliki.

Po chwili głębokiej zadumy zapytał dyplomatycznie, czy odpoczęłam już po całodziennej krzątaninie na wystawie a jeżeli tak — czy nie wybrałabym się z nim na Tuniki, by przed bliskim już wyjazdem z Krzemieńca złożyć kwiaty na grobie matki Słowackiego. Chciałam zbyć go wykrętem, że nie zdążę już pójść do ogrodnika po kwiaty. Chłopiec nie dał się jednak zaskoczyć. Z czeluści harcerskiego chlebaka wydobył pęczek pomiętoszonych stokrotek i leśnych fiołków, zebranych przezornie zawczasu na zboczach Wołowicy. Wyglądały one raczej żałośnie, to też Sławek spoglądał na mnie z zakłopotaniem i niepokojem. To przemogło moje wahania.

W chwilę później wędrowaliśmy razem Szeroką w kierunku Królewskiego Zjazdu. Zbliżał się wieczór. Otwarte były nieliczne tylko sklepy, ruch uliczny zamarł niemal zupełnie. Na balkonach grzały się w słońcu stare Żydówki w odświętnych perukach, dym walił z kominów, rozchodziła się smakowita woń ryby i cebuli, na biało nakrytych stołach ustawiano ciężkie mosiężne świeczniki. Szliśmy wzdłuż starych domostw mieszczańskich, pamiętających czasy dawnego Liceum, rozmalowanych barwnie według wskazówek konserwatora, który wydobyć pragnął i podkreślić cały urok ich specyficznie krzemienieckiej architektury. Na ganeczku zajazdu Kuczera drzemało stare kocisko, zmęczone całodziennym skwarem, obojętne na wszystko, na kanarka nawet harcującego bezkarnie w pobliżu w klateczce zawieszonej wśród mirtów i fuksyj.

Skręciliśmy w uliczkę Starego Detiuka, w drodze na Tuniki. Ogarnął nas chłód zielonych ścian parowu, a gdy obejrzałam się ku miastu, w ramach rozkwitłych gałęzi wyrosła przed nami Bona, daleka, oderwana od miasta, pełna romantycznego uroku i zupełnie niepodobna do góry codziennej, widzianej z okien Liceum, panującej ciężkim cielskiem nad miastem.

Cmentarz tonął także w zieleni. Trawa i chwasty ogarnęły nawet kręte ścieżyny wśród zapadłych mogiłek pod kwitnącymi „fruktowymi“ drzewami. Czereszenki-maryny, stare grusze i śliwy rozkrzewiły się bujnie nad kośćmi ludzi tutejszych — Polaków i Ukraińców, spoczywających po społu na tunickim wzgórzu — bez różnicy narodowości, wieku, płci i wyznania. . .

Sławek złożył kwiatki na grobowcu, odczytał głośno napisy, rozglądał się długo wokoło, wreszcie grzebać zaczął w chlebaku. Na ławce pojawiły się znienacka niezliczone przedmioty pierwszej potrzeby: pistolet i kapiszony, zepsuta lampa radiowa, szkło powiększające, kawałek laku, jakieś kółka zębate i śrubki. Mały szukał dalej. Znalazł wreszcie i oto trzymał w ręku drewniany zakopiański nożyk do rozcinania papieru, zakończony rzeźbioną szarotką. Oglądał go przez chwilę, marszcząc się i krzywiąc, wreszcie poprosił, bym obejrzała go starannie. Ujawnił się przy tym niezauważony poprzednio przeze mnie szczegół: w środku szarotki umieszczona była mała szklana półkula, w której, patrzącemu pod światło, ukazywał się widok Morskiego Oka z dużym czerwonym autobusem na pierwszym planie. Niżej wycięty był napis: Pamiątka z Zakopanego.

— Prawda, że to ma dużą wartość — zapytał Sławuś.

— Dlaczego o to pytasz? — odpowiedziałam wykrętnie.

Wtedy wydało się wszystko. Dziś rano powstała możliwość dokonania wielkiej tranzakcji wymiennej. Sławuś marzył od dawna o własnych kaczętach, Włodek Sawczuk — o nożyku. Ale nożyk był przedmiotem zazdrości całej klasy „ćwiczeniówki" i Sławkowi nie łatwo było zdobyć się na decyzję oddania go koledze. Kaczęta były jednak niezmiernie urodziwe. Oglądał je już trzykrotnie i za każdym razem podobały mu się bardziej, tak bardzo, że wymiana doszłaby już do skutku, gdyby nie stanowisko Mamy, obawiającej się nowych kłopotów i nie wierzącej w stałość zainteresowań syna. Zachodziła ponadto obawa, że kaczęta włazić będą w szkodę, na grządki zasiane sałatą i szpinakiem. . .

— Pani wie przecież najlepiej, że będę je karmił i że nigdy nie wyjdą za płotek. Mogę dać słowo zucha. Niech Pani przekona Mamusię, molestował dalej, — już od rana chodzę za Panią, żeby prosić o to. I nawet dlatego namówiłem Panią na przyjście tutaj, żeby porozmawiać spokojnie. . . . Ale — zaniepokoił się nagle — czy, proszę Pani, można mówić o takich rzeczach na cmentarzu?

Powiedziałam mu, że Słowacki pisał kiedyś do Matki z Paryża, że chciałby iść z nią „przez pewną drożynę, ogrodzoną płotami, na cmentarzyk, usiąść razem i opowiadać sobie zdarzenia i uczucia" — i że, chyba, może dzielić się tu ze mną swymi wielkimi zmartwieniami wobec grobu tej, która dla Poety była jego dzieciństwa „szalonych snów zakończeniem".

Myślałam przy tym i dotąd oprzeć się nie mogę wrażeniu, że jak braciszek zakonny, żongler Matki Bożej, mały uczcił prochy Zmarłej i pokazem skarbów i zmiętymi kwiatkami i urokiem swoich lat dziewięciu.

Wróciliśmy do domu o zachodzie słońca, z kaczętami w koszyku, zmęczeni, niepewni przyjęcia. Sławuś czekał w ogródku na wynik rozmowy, z której autorytet mój wyszedł na szczęście bez szwanku, w części wobec stworzenia faktu dokonanego, po trosze zaś dlatego, że „my, kresowcy, mamy miękkie serca". Wróciłam, by powiadomić chłopca o wyniku pertraktacyj. Pomknął do domu, jak strzała.

Przede mną w blasku zachodu pięła się w górę strzeliście Bona, zrośnięta w jedno z Zamkiem, — sylweta z czarnego papieru na pomarańczowo podmalonym tle. Znikł las i krzywa brzózka, zatarły się kontury zabudowań u podnóża i tylko gdzieniegdzie, rozsypane bezładnie, połyskiwały światełka domostw ludzkich. Z daleka dobiegały echa próby chóru. Coraz inne głosy powtarzały, że „Maty Bożaja, Poczajiwskaja, bude nas ratuwaty" z tą samą żarliwą pewnością, którą zaklęli w proste słowa dawno zmarli praojcowie, gdy Wołyniowi groził zalew tatarski. Czemu prastara pieśń biła dziś skargą ku pogodnemu niebu, gdyśmy wierzyć nie przestawali, że „jakoś to będzie"?

Okna sal wystawowych, wczoraj jeszcze pełnych rozgwaru przygotowań, połyskiwały czarno w półmroku. Dobrze, że zdążyliśmy na czas i że jutro wracać można do domu, na swoje śmieci, do swoich książek i szpargałków. Ale żal wyjeżdżać z Krzemieńca.



Śpiew ucichł, gasło okno po oknie, ktoś szedł szybko uliczką wzdłuż starych murów licealnych. Nie chciało się ruszać z miejsca.

Ale drzwi balkonowe otwarły się szeroko, buchnął gwar sporu Sławka ze Staszkiem, Znajda zaszczekała wesoło, a z góry dobiegło wołanie:

—Maruszeńko, serce, toż bliny wystygną na kamień. Dosyć tej poezij.

. Z KWIATÓW POLSKICH

Wierszu mój, w klęsce, w bólu wszczęty !
Wężysko zamorskiego chowu !
Z kwiatów żeś powstał, pstry i kręty,
I w kwiaty się obrócisz znowu.
Jak sztukmistrz, co z cylindra głębi
Wyciąga wielobarwne wstęgi,
Wiązanki róż, rzucane damom,
Królików parkę, lub gołębi
I szlankę wina — ja tak samo
Pod słów zaklęciem czarodziejskiem,
Spod podwójnego dna pamięci,
Z głębi serdecznej i letejskiej
Dobywam pasma dni kwieciste. . . .

. . . Był sobie niegdyś bukiet wiejski. . . .
(,,Bukiety wiejskie, jak wiadomo,
Wiązane były wzwyż i stromo" . . .
Już mi ten dwuwiersz mży legendą . . .
Już się śród jego liter przędą
Słoneczne nitki żalu, marzeń. . . .)
. . . Był jakiś ogród snów szumiących
I róż, jak wróżb . . . I to rozjarzeń,
To gaśnień znów . . . I wzruszeń drżących
(Ach, tak się kocha po raz pierwszy ! . . .)
Był sobie . . .
Nagle wzrok przezierczy
Śród kwiatów dostrzegł ludzkie twarze —
I patrz : z za gęstych sztachet wierszy
Rozbłysły wielkie oczy zdarzeń.
TAM SĄ JUŻ LUDZIE ! . . . Ach, nieszczęsny
Gorliwy uczniu czarnoksięski !
Przebrałeś czarodziejstwa miarkę !

Ach, wierszodzieju zatracony,
Coś ty rozpętał swym szalonym,
Magicznym drążkiem firmy Parker ?
Za sztachetami gęstych jambów
Grzmi burza losów, serc, pożądań. . . .
Patrz !
Patrzę. Tak do raju wglądał
Ciekawy swoich stworzeń Pan Bóg.

———

PRÓBY

Idąc przez noc, co szumi tysiącem odgłosów,
Nie zatrzymuj się w drodze, nie słuchaj jej głosów.
Noc jest pełna zasadzek, zdradliwy kur pieje,
Czarne ptaki łomocą, jak zwodne ideje,
Błysk fałszywych proroków rozświetla noc ciemną,
A każdy kusi bogiem i każdy daremno.

Chcesz mówić. Lecz nie możesz. Słowo cię przygniata.
O jak straszny jest ciężar słów starego świata.
Wypowiedziały wszystko, wszystko wyraziły,
Natchnąć się nimi jeszcze — czujesz — nie masz siły,
Sfałszowano ich dźwiękiem z krasomówczej wieży
To wszystko, coś ukochał, to wszystko, w coś wierzył.

Musisz milczeć wśród nadziej, owianych żałobą,
I rozpaczliwych szeptów, — znak, że idą z tobą
Inni, jak ty; że błądzą, wołając szaleni;
— Noc jest niezwyciężona, a my zwyciężeni —
I pod ciężarem zwątpień, co biją jak fale,
Strącają się jak gwiazdy, żeby znów iść dalej.

Nie pytaj jeszcze ludzi, co jak ty pomału
Zdzierają ze ścian nocy magie ideału
I uczą się rozróżniać, jak pasterz — manowce,
Te wszystkie, co im bliskie, od tych, które obce;
Te wszystkie, które natchnął miłości szept cichy,
Od tych, co brzmią tak samo, a są głosem pychy.

Nie pytaj jeszcze ludzi i nie szukaj we śnie,
Nie ufaj stu wołaniom, bo ufać za wcześnie.
Jeszcze głosy proroków brzmią zwodnym pozorem,
A na dnie ich zwiastowań czai się daremność;
— Nie jesteś twórcą marzeń, lecz marzeń aktorem. . .
Zanim światło cię dotknie, musisz przetrwać ciemność.

Noc rośnie. Wielkie drzewa szumią w poprzek drogi,
Ktoś woła, żeś mu bliski, ktoś inny, żeś wrogi,
Czujesz chłód obcej ręki, jak martwą biel płótna,
Myślisz, że śmierć . . . O bracie, to tylko noc smutna,
To tylko noc historii przez którą się włóczysz. . .
Nie drżyj. Ucz się upiorów, jak się światła uczysz.

ANTONI SŁONIMSKI

O LONDYNIE

Zatęsknicie jeszcze, zatęsknicie
Do Oxfordu, Bedfordu, Londynu.
Z ciężkim sercem, daleką wspomniecie
Rzekę w Perth i las Aberdeenu.

Gdy nasyci się tęsknota żywa
Do skrwawionej, najmilszej ojczyzny,
Przyjdzie inny, bolesny, wstydliwszy
Żal na zawsze straconej obczyzny.

Kensingtony, Finchleye, Hyde-Parki,
Regent Streety, Hampsteady, Victorie
Porwie czasu prąd zdradny i wartki,
Rzuci gdzieś w zapomnienie, w historię.

Opowiadać będziecie młodzieży
O Tudorach, Warwickach i Yorkach —
Starcy, bracia pomarłych żołnierzy,
Highlanderzy w mazowieckich dworkach.

A gdy czasem mgła wieczorna spłynie,
Gdzieś przed domem na ławce w ogródku,
Pogwarzymy razem o Londynie
Po angielsku i po cichutku.

KSAWERY PRUSZYŃSKI

MATKA BOSKA MIKULIŃSKA

Jak już sama nazwa wskazuje, jedenasta kompania powstała nie jako jedna z pierwszych. Co prawda, jak to w wojsku bywa, nazwa wskazuje dość opacznie, albowiem pierwszą, najpierwszą kompanią była trzecia. Trzecia cekaem. Kiedyśmy tak rozpoczęli nasze opowiadanie, wszyscy wiedzą już resztę. Potomność czytelnicza jest usytuowana i w przestrzeni, i w czasie. Czasem jest chmurna, późna, powrześniowa jesień 1939 roku; przestrzenią są wydźwignięte pod niski pułap chmur falujące, niespokojne pagórki Bretanii. Cienka linia toru przerzyna wzgórza; na prawo od małej stacyjki, niczem te nasze poznańskie, odbiega asfalt wąskiej szosy i pnie się w stronę płaskowzgórza, na którym szeroko rozrzucone są długie, jak strzały, baraki. I sosny pod niebem, i biały szpital, i drewniane tancbudy wzdłuż drogi, nie oznaczone na wojskowej mapie, ale znane w gwarze żołnierskiej jako Putainville:

— Coetquidan.

Kiedy jechało się z Modany, z granicy włoskiej, przez trzy dni i dwie noce, przesiadając się wszystkiego tylko jedenaście razy, trzeba było sobie wbijać tę nową nazwę w głowę: nie wchodziła! Potem miała wejść na

dobre. Jakże to było? Codziennie rano, od strony Rennes, nadjeżdżał napchany ludźmi staroświecki pociąg. Codziennie rano ludzka struga pełzła od dworca w Guer do bramy obozowej, rozpływała się po barakach, wsiąkała w ewidencyjne zeszyty i magazyny odzieżowe. Przez październik wyławiano z niej inteligentów do przyszłych kompanij podchorążackich; w listopadzie jeszcze ich przyjmowano. Ale coś w połowie tego miesiąca, powiedziano:

— Szlus ! ! !

Okazało się, że z Rumunii ruszył wreszcie potężny potok oficerów, coraz, coraz, coraz liczniejszy. Ów zbiornik ludzki, który tymczasem w ciągu września, października i pierwszych dni listopada napełnił się tu był ludowymi ściekami z kopalń na Północy Francji, farm na jej południu, czasem jakichś obozów dla byłych kombatantów w Hiszpanii, a zawsze ze wszystkiej biedy, nędzy i niedoli, jaka tyrała się od lat po Francji, teraz napływał zgoła inną wodą. W toni starych francuskich mundurów, pamiętających rok osiemnasty, pojawiły się w Coetquidanie takie spod igły, niczym nie zbrukane i nie musnięte, chyba wyczekiwawczym etapem rumuńskim. Polskie. Z Polski. Nawet zakwitły na moment, niebawem zdjęte zresztą, rogatywki. Jeszcze *wtedy* ich czas nie nadszedł. Na to, aby nadszedł (czy powrócił) i na to, aby nastało na nowo wiele, wiele rzeczy, które zdawało się przekreślił wrzesień, trzeba było dopiero klęski francuskiej.

Nim jednak osądzono, że z Rumunii nadejdzie zupełnie dostateczna ilość dowódców dla owej emigranckiej Polski z farm i fabryk, i nim nie zamknięto otwartych tak niebacznie bram do Szkoły Podchorążych, powstała właśnie z takich ostatków owa jedenasta kompania. Znalazł się zaraz kapitan, porucznik, sierżant-szef. Sierżant szef był starym wygą obeznanym z tajnikami kancelarii. Miał nóżki przedziwnie krótkie, postać pękatą, oczki przymrużone i oblicze obojętne. Jak wiadomo, sierżant szef jest istotnym Bogiem kompanii. Gdy zwracano się do niego we wszystkich sprawach, które leżąc w jego kompetencji nie leżały jednak w zakresie jego rozumienia — a takich spraw było dużo — miał na nie jedną, z niezwykłą powagą cedzoną odpowiedź:

— G . . . mnie to obchodzi.

Kapitan był wspaniały dowódczy typ, na którym znać było w pełni wpływ wychowawczy Wehrmachtu. Posiadał tuszę pana Zagłoby, i pana Zagłoby tubalny głos. Oraz wspaniałe oko. Chwyt źle wykonany na samym końcu drugiego szeregu, but niedoczyszczony na obcasie, najlżejsze odchylenie głowy w czasie trzeciego tempa „prezentuj broń“, wszystko to było zawsze dostrzeżone, zgromione i skomentowane. Obok niedościgłych przykładów z armii pruskiej, doceniał w pełni i te pozytywne walory, jakie wnosiła ongi, w dziedzinie wyszkolenia bojowego, armia cesarsko-rosyjska.

— W oooczy patrzeć, w oooczy, patrzeć w oooczy, warczał złowrogo przed frontem kompanii. W oooczy powtarzał, w oooczy, choć kompania wytrzeszczała już swe ślepia z takim napięciem, jakby owo wytrzeszczenie miało złamać wszystkie siły Hitlera. — W Rosji mówiło się tak: „sałdat j. . . głazami“ swego przełożonego. —

Po czym (aby i polskim tradycjom stało się zadość), zwracał się do ospałego zawsze sierżanta szefa:

— Szefie, ćwiczyć ich, ćwiczyć ich tak, aby im się woda w d . . . pci zagotowała!

Porucznik był zupełnie inny. Był młody, szczupły, wysoki, milczący na ogół, zawsze smutny. Miał duży zmysł humoru, talent wykładowczy zupełnie niespotykany, i wielką umiejętność rządzenia ludźmi. Był to niezawodnie doskonały materiał na nowoczesnego oficera i szkoła, którą przeszedł jak tylu innych, nie zwichnęła go wcale. Może to ona właśnie

mu wsączyła ów gorzki, spokojny pesymizm? Stał tak przed barakiem, gdzie właśnie grupa cywilusów, pod srogim okiem kapitana i zaspanym sierżanta szefa, pobierała owijacze, mundury, gacie i berety. Kapitan był jakiś podniecony:

— Ano cóż, będziemy z tego robić wojsko? zwrócił się, jakby nieprzekonany do porucznika.

Grupa ludzi określonych słowem „to“ oczekiwała odpowiedzi w niemej trwodze: a nuż każe im się, jako niezdarom, wracać z powrotem na stację, potem do Modany i przez góry do Polski? Nie wiedzieliśmy jeszcze, nieboracy, że wojsko można robić ze wszystkiego.

Porucznik smętnie potaknął głową:

— Będziemy, panie kapitanie.

Wówczas poniektórzy, mniej zgodnie nastrojeni ludzie uważali, że owo powątpiewanie w ich zdolność bojową jest niesłuszne i krzywdzące. Ale dzisiaj, po zapoznaniu się z wojskiem nie tylko poprzez Gąsiorowskiego i Wieniec pieśni polskich, rozumiem zupełnie troskę kapitana. Jeśli w ogóle cała owa szkoła podchorążych przypominała jako żywo swą jednolitością Arkę Noego, to jedenasta kompania była jeszcze bardziej nieprawdopodobnym zbiorem ludzkiej fauny. Najmłodsi mieli tam, wedle swych, podawanych w wątpliwość, zapewnień, „skończonych“ lat siedemnaście. Najstarszy miał ponad pięćdziesiąt; ponieważ zajmował się archeologią, przeto z dobrego serca dosypywaliśmy mu najmniej drugie tyle, przedstawiając znajomym francuzom:

— Et celui la . . . il a fait la guerre de Crimée. . .

Socjalnie biorąc, byli tam baciarze spod Lwowa i arystokraci spokrewnieni z dworem włoskim, byli Żydzi i byli księża, byli prawosławni, był jeden Ukrainiec, byli zniemczeni Ślązacy i spolszczeni Niemcy, zwolennicy reformy rolnej i sympatycy ONRu, urodzeni w Poznaniu, Charlottenburgu, Władywostoku, Kabulu, Małkini, Rio de Janeiro, malarze, alpiniści, kasjerzy, literaci, muzykolodzy, ziemianie (z ziemią i bez ziemi), docenci, esperantyści, chudzi, tłuści, krótkowidze, dalekowidze, mówiący tylko po polsku, albo paroma językami z wyjątkiem polskiego. Na ich widok musiał sobie przypomnieć kapitan innych rekrutów: osiemnasto- i dziewiętnastolatków spod Brześcia, czy Sieradza, dąbczastych krępych, prostych, jednakowych niczem te karabiny, komiśniaki, czy menażki. Czemuż się dziwić, że westchnął?

W wojsku, jak wiadomo, najgorzej temu co przychodzi ostatni. To też późno zrodzona, czy też raczej sklecona, jedenasta kompania nie znalazła dla siebie miejsca w Guer. Parodniowy biwak w jakiejś stodole nie wiele pomógł. Miasteczko było pełne aż po ostatni stryszek i obórkę. Nawet cały departament był pełny. Ale w sąsiednim departamencie, Ile et Vilaine, była niewielka, zupełnie mała mieścinka — wieś raczej — dziura po prostu, zdala od „głównych“ gościńców. Na swym trójkątnym rynku miała trzy tak zwane kafejki, które wydzierały sobie heroicznie pięciu lokalnych bywalców kawiarnianych, z których każdy, ku zgrozie rodziny, marnotrawił tu miesięcznie do 18, czy nawet do 25 franków. Zasłyszawszy o złotych górach, jakie zwaliły się na kafejczarzy w Guer, odkąd tam stanęło wojsko, kafejczarze sąsiedni udali się w te pędy do mera:

— Koniecznie nam trzeba Polaków!

Mer nie był byle kim. Mer był ziemianinem miejscowym, i jego biały, bardzo francuski château, stał w kępie drzew na drodze idącej do Guer. Swój obieralny, demokratyczny tytuł mera uzupełniał dziedzicznym i arystokratycznym markiza. Markiz-mer miał żonę, trzy córki (wciąż niezamężne), był gorącym katolikiem i posiadał niemniej ciepłe prawicowe sympatie. Umiał być niespożyty w swej działalności. Dość że niebawem, pewnego listopadowego poranku, nasza kompania opuściła przetłoczone

Guer i wijącą się przez wzgórza, wciętą głęboko drogą, pociągnęła do Comblessac.

Tak się stało, że z dwoma kolegami wyprzedziliśmy ją tam o jeden dzień; w Coëtquidanie przydzielono nas do jedenastej kompanii, która już wymaszerowała do Comblessac, ale w Comblessac okazało się, że jest ona jeszcze w Guer. Przynieśliśmy więc kompanii świeże wieści o przyszłym miejscu postoju. Jedni, słusznie przekonani, że w wojsku wszystkie zmiany bywają zwykle na gorsze, z góry odnosili się nieufnie do Comblessac:

— Będziemy tam zupełnie sami, mówili: pies z kulawą nogą o nas nie zadba.

Ale bardziej doświadczeni wojacy odpowiadali:

— Przynajmniej nam nikt przeszkadzać nie będzie!

Ci wszyscy, którzy wolą być pierwszymi w Psiej Wólce, niż drugimi w Rzymie, od razu opowiedzieli się za Comblessac. W Guer bylibyśmy na zawsze przytłoczeni wielkością paru innych kompanii; trzeciej cekaem, czwartej cekaem, siódmej, ósmej. . . W Comblessac byliśmy sami. Frajbarony. Tylko my. Mieliśmy *nasz* kościół, *nasze* kafejki, *naszego* markiza, *nasz* château, wszystko było nasze. Pokochaliśmy też z miejsca Comblessac. Okazało się nie tylko, że jego mer jest markizem, ale że tu właśnie narodził się święty Convoyon. Święty Convoyon! Czyście słyszeli o takim? Nawet nasi trzej księża nie słyszeli o nim: ale, gdy wyszperano, że żył mniej więcej za czasów Mieszka, że organizował monarchię bretońską i t.d., nabraliśmy szacunku. Do medalików z Matką Boską, tak trudnych do zdejmowania w czasie mycia, przybyły teraz niekiedy medaliki bretońskie ze świętym Konwojonem.

Nie byliśmy skoszarowani, nie byliśmy zglajchszaltowani, byliśmy u siebie. Pola wokoło runiejące oziminą były nasze; pod kapliczką na drodze do Maur rozstawiliśmy czujki; przy wzgórzu La Touche ćwiczyliśmy obronę i natarcie. (Łaciate krowy starego Roger markowały z powodzeniem czołgi). Przyszedł nowy kapitan, rzetelny, skromny Poznaniak, ale przykazanie o zagotowywaniu się wody w pewnej, nieraz w wojsku omawianej, części ciała, było wykonywane ściśle. Wracaliśmy codziennie z ćwiczeń obłoceni, spoceni mimo zimy, wymordowani. Z menażkami w ręku pchaliśmy się do kafejek. Żołd był 50 cent. dziennie, co nie pozwalało na zbyt hulaszczy tryb życia nawet w Comblessac, ale wysprzedawaliśmy się z łachów cywilnych rumuńskich lub węgierskich, pożyczaliśmy od znajomych z Paryża, „Wiadomości Polski" i „Słowo" płaciło honoraria niezgorsze — po 200, 300 franków. Un verre de fine kosztował u Maman Roger 3 franki, chez Vester nawet 2,50. Można było żyć!

Stosunki z ludnością miejscową stały się wzorem pokojowych stosunków pomiędzy armią a cywilami, gospodarzami a gośćmi, aliantem nieszczęśliwym i tym, który nim dopiero miał być. Późniejsze idylle szkockie miały swój niedoceniony prawzór w zapomnianym Comblessac. Przede wszystkim, nazajutrz po naszym przybyciu, była niedziela. Kompania hurmem stawiła się na mszy — pięknie śpiewała — niektórzy komunikowali. Ksiądz był tak przejęty tym niezwykłym zjawiskiem, że z trudem dokończył mszy. Od czasów rewolucji francuskiej męska połowa mieszkańców Comblessac zwykła spędzać czas mszy świętej na łonie przyrody, w Guer, lub w kafejkach. Kościół nawiedzali przeważnie tylko tuż *po* urodzeniu, albo tuż *przed* pogrzebem; w obu wypadkach, rzecz jasna, nie o własnych siłach. A już widok wojskowego w kościele był rzadkością. Od tego dnia mieliśmy w Comblessac silnego alianta: był nim Kościół.

Władza państwowa nie pozostała w tyle. Tejże niedzieli po południu grono French-speaking and count-looking adeptów szkoły podchorążych, złożyło swe uszanowanie u Państwa Markizów. Salon ożywił się i ożywiał odtąd co niedzieli a czasem i w tygodniu. Życie towarzyskie rozkwitło.

Jak wspaniałe interesy robiły trzy kafejki, wystarcza gdy powiemy, że nie zauważyły nawet jak przybył im czwarty konkurent.

Wreszcie, ogólne zmęczenie po ćwiczeniach, młodociany wiek części kompanii, a starczy drugiej, słaby dziewczostan Comblessacu, smętność powrześniowych nastroi, brom w soli, chlebie i kawie, wszystko to sprawiało, że kompania jedenasta prowadziła się w sposób, który możnaby zalecać sodalicjom mariańskim. Jedynym powodem do lekkich zatargów było wyrywanie chrustu z opłotków dla celów opałowych, parę skrytobójstw popełnionych na niewinnych królikach i lekkie podniszczenie rowerów, wypożyczanych w celu wycieczek krajoznawczych. Wszystkie te szkody były jednak regulowane finansowo w sposób, który budził jedynie zazdrość u tych, którzy ich nie doznali.

Najwięcej uczuć polonofilskich przejawiło jednak najmłodsze pokolenie grodu św. Konwojona. Piękno i mądrość zajęć wojskowych oceniali oni chyba na równi z samym kapitanem (tym założycielem kompanii). Chodzenie w mundurze, salutowanie, czyszczenie broni, ganianie po polach z plecakiem na plecach, apele i zbiórki wydawały się milusińskim prawdziwie interesującym zajęciem. Ponieważ wiek niektórych członków jedenastej kompanii nie tak bardzo odbiegał od ich wieku, a wiek innych znowuż urobił w nich tęsknoty ojcowskie, przeto porozumienie było tym łatwiejsze. Kiedy zaś okazało się, że kieszenie wojskowe służą najwyraźniej do noszenia kolorowych cukierków, fasowanych u grubej Maman Roger, prestige armii polskiej podniósł się na prawdziwie niedościgłe wyżyny. Aż raz, w szkole, gdy nauczycielka zanudzała dzieci pytaniem, czym chcą być gdy dorosną, jedno odpowiedziało bez wahania:

— Moi, je serai Polonais. . .

Chłopaczek wyobrażał sobie zapewne, że być Polakiem oznacza właśnie oddawać się stale tym znakomitym zajęciom, które u nas podziwiał. Kto wie, może miał i rację? Kompania, dowiedziawszy się o tym, nie nabrała zbyt wysokiego mniemania o rozsądku tego młodego człowieka. Sam sierżant szef orzekł, że „z takiego głupka nie będzie pociechy". Niemniej, filopolskie uczucia tak dosadnie i lekkomyślnie wyrażone zasługiwały na podtrzymanie. Mikrus został uroczyście zaproszony na kwaterę mojej drużyny. I to w czasie zarządzonego popułudniowego czyszczenia broni. Nie powiem żeby wchodził na naszą salkę, gdzieśmy leżeli pokotem, z duszą lepiej ulokowaną, niż na ramieniu. Ale pewna początkowa trema została szczęśliwie pokonana. Obznajmiono go ze wszystkimi tajnikami karabinowego zamka, pokazano jak pięknie błyszczy lufa poprzecierana szmatami, pozwolono mu tłuc cegłę na proszek i dano kawy z menażki. Mama musiała osobiście i nie bez trudu wyciągnąć kawalera na kolację, i wydała głośne krzyki oburzenia zobaczywszy, że jego wizytowy fartuszek jest dokumentnie wysmarowany oliwą. Nazajutrz dowiedzieliśmy się, że nadmiar spożytych karmelków przyprawił naszego gościa o silne zaburzenia żołądkowe. Ale w parę dni później ujrzeliśmy go znowu. Okazało się, że kilkugodzinny pobyt u Polaków nie minął bez śladu. Malec, zapewne aby nas ucieszyć, zasalutował po polsku i powtórzył wcale udatnie kilka polskich wyrażeń spośród tych, które wśród Polaków słyszał najczęściej. Były one, rzecz jasna, jaknajbardziej wojskowe i jaknajściślej odnoszące się do Broni.

Jak wiadomo, wojsko ma to do siebie, że ujednostajniając jedne rzeczy jak tylko można najbardziej, stara się inne rzeczy jaknajbardziej wyodrębniać. Żołnierz musi być jaknajbardziej podobny do żołnierza, choć znowu oddział, formacja, czy broń stara się możliwie jaknajbardziej uodróżnić, nawet zewnętrznie, od innych oddziałów, formacyj, czy broni. Stąd barwne furażerki historycznych pułków angielskich, stąd nasze w Polsce proporczyki ułańskie, mitra książęca Poniatowskich na naramiennikach jednego z pułków ułańskich, korona i inicjały S.B. na naramiennikach

pułku imienia Batorego. Zimą 1940 roku we Francji nie było już dawnego ozdóbstwa, a nie wyrosło jeszcze nowe. Sznury norweskie, tartany szkockie, czarne naramienniki dopiero miała przynieść wiosna i historia. Myśmy też byli nader młodymi żołnierzami. Ale jużeśmy opanowali podstawy sztuki wojennej. Już niezgorzej wyglądał paradny krok, salutowanie, chwyty i szereg innych równie wojennych spraw. Byliśmy więc w stanie pojąć i tę prawdę, że wyodrębnianie się jest w wojsku źle widziane indywidualnie, ale wprost konieczne zespołowo.

Z właściwą wojskowym bystrością kompania wkrótce doszła do wniosku, że należy się czymś wyróżnić od całej reszty innych, jej podobnych kompanij. — Raz doszedłszy do tego zbożnego wniosku rozważała długo, jak ma tego dokonać. Pierwsza podchorążówka na ziemi obcej zdobyła już sobie była sławę, że przeróżne znakomitości wprawiają się w niej w sztuce władania bronią. Trzecia cekaem stała się przystanią dyplomatów; czwarta, jeśli się nie mylę, polityków i wyższych urzędników; siódma miała bodaj jakiś charakter ideowo-harcerski. Po niedługich namysłach nasza przyjęła charakter „intelektualnej". Posiadała bowiem paru, od nagłej potrzeby, malarzy; muzykologa; kilku zapiewajłów; paru literatów; paru grafomanów, jeszcze większą ilość pijaków i ludzi „z temperamentem". Władze ze swej strony uznały ów charakter intelektual ;, albowiem pod tym słowem rozumiały element jak najmniej nadający się do tego, co w rozumieniu normalnego oficera służby stałej, nazywane bywa wojskiem. Uznanie intelektualnego charakteru kompanii było w ich oczach rozgrzeszeniem z wielu bardzo rzeczy. W kompanii tej, naprzykład, pozostała absolutnie nieznana sztuka składania mundurów w kostkę, ceremonia wynoszenia ‚śmiecia" na kocu, oraz parę podobnych instytucyj stanowiących, jak wiemy, istotę rodzimej sztuki wojskowej. Nigdy. Ani razu! Uznano w głębi dusz oficerskich, że ów element ludzki, z którego wyroki losu kazały stworzyć kompanię piechoty, tak się do tych spraw nadaje, jak ryba do roweru.

— Trudno, intelektualiści. . .

Słowo to dla szefa kompanii było za trudne. To też pluton, który właśnie składał się z takich istot, miał u niego na zmianę dwie nazwy. Raz nazywał się plutonem „szlacheckim", drugi raz, „czerwonym". Uzasadnienie każdej z tych nazw było prawdopodobnie tajemnicą wojskową, bo nikt nigdy do niej nie dociekł. Ale nauczyliśmy się już i tej prawdy, że nie należy zbyt często dociekać jakichś przyczyn. Przyjmowaliśmy życie jakim ono jest.

Ustronność Comblessac'u była darem nieba. Nie ściągano nas do Coëtquidanu na byle paradowy popis, nie pojawiał się u nas żaden generał. Tylko kucharza, emigranta z Francji, roztropniejsi niepokoili czasem:

— No, panie kapralu, ale jutro musi być mięso jak cyc!

— Dlaczego jutro?

— Jakto, nie wiecie? Sikorski jutro jest z inspekcją. Jak był w trzeciej, to zaraz zaglądał do garnka. . .

Kucharz, niewyparzona gęba, wypowiadał zazwyczaj parę uwag, określających dosyć dosadnie swój stosunek do armii, nas, kuchni, Naczelnego Wodza i całego świata. Ale nazajutrz zupa była zawiesista, gulasz miał więcej mięsa. Raz nawet dali pinard. Niestety, nawet na Naczelnego Wodza nie można wiecznie nabierać, to też nasz kucharz, doszedłszy do wniosku, że Comblessac leży poza zasięgiem najwyższych inspekcyj, opuścił się zupełnie i musiano go wylać. Został potem kucharzem w jakiejś „niecenzusowej" kompanii, aż za Guer. Ale tęsknił do nas! Złość swoją odbijał na kompanii której teraz kucharzował, zacnych, szczerych chłopcach, takich jak on emigrantach z Francji. Rozlewając im, niemal z łaski, rzadką zupę, mamrotał wyniośle:

— Na co mi to zeszło! Gnojkom takim gotować! — W Comblessac, jak tam byłem, to same dochtory, ężyniery — he!

Regularnie w niedzielę rano brał przepustkę i wstępując po drodze na un coup do bistra oznajmiał:

— Idę do mojej kompanii! Co tam mam z wami siedzieć! Tam jinteligentsze ludzie, okrutnie mnie ciągną. Przyjeżdżaj a przyjeżdżaj, mówią. To już im to zrobię, niechta. . .

I wybierał się do Comblessac. Ale nie zawsze dochodził.

Po drodze bowiem były kafejki z Guer.

* * *

Wszystko na tej ziemi ma jednak swój koniec, a wszystko co dobre ma w wojsku swój kres, znacznie wcześniej niż cokolwiek innego. Z wiosną, w Coëtquidanie, z owej masy bezkształtnej, która tamtej, pamiętnej jesieni, spływała codziennym strumieniem, utworzyła się już dywizja pierwsza, druga. . . Wysiedlono je stopniowo z obozu, jak się kurczęta wyprowadza z kojca, aż wreszcie pchnięto gdzieś w Wogezy. Coëtquidan się przerzedził. Wtedy przelano tam Guer, a kiedy i Gueru było mało, przypomniano sobie naraz, że gdzieś, za górami, za lasami i za siódmym od Guer kilometrem siedzi sobie taka jedenasta kompania w jakimś Comblessac.

Nie było rady.

Trzeba było pakować manatki, zwijać kwatery, żegnać kafejki. A właśnie pola, tak dobrze już znane, zieleniły się świeżą runią, dzikim jabłoniom miały już przybyć kwiaty, ospali Bretończycy wyjechali z pługami na ziemię, czy rzucali dymiący, wyprażony gnój. . . Nam trzeba było rozstawać się z tym wszystkim i gdzieś, w ogromnym obozie, zatonąć w jakimś baraku H.27, czy E.49, obok latryn wysokich jak mównice, zdala od kafejek, za drutem, no i pod samym bokiem dowództwa, centrum, sztabu! To znaczy tego wszystkiego, czego roztropna jedenasta kompania nauczyła się skwapliwie omijać z jaknajwiększym, rzecz jasna, szacunkiem.

Ale jednocześnie okazało się, że poza utrapieniem dla dowódców, zgorszeniem dla maluczkich i zadowoleniem dla samych siebie, jesteśmy tu jeszcze, dla kogoś, czymś. Mianowicie jesteśmy czymś dla Comblessac. Nie, samiśmy nie wierzyli zrazu. Ale to właśnie było tak. Comblessac nas żałował. To nie to żeśmy w niedzielę napełniali proboszczowi kościół a markizowi salon, żeśmy dzieciom dawali cukierki, a kafejkom dochód. To było jeszcze coś innego. Owo bretońskie miasteczko dzieliło los tylu wsi i miasteczek wielkiej, wymierającej Francji. Nie darmo było tak stare jak nasze Gniezno. Wszystko co młode uciekało stąd chyłkiem, do Rennes, do fabryk, do kin, do PARYŻA, i na dobrą sprawę pozostawały tu tylko starcy i dzieci. Myśmy wnosili tu ŻYCIE. Bez nas miała się ta cała piękna mieścina zapaść na nowo w swą pierwotną martwotę. Tak. Trzeba ZNAĆ Francję aby zrozumieć, że jedenasta kompania była czymś dla Comblessac.

— Musimy im się jakoś upamiętnić, zrodziła się myśl.

— Świetnie, tylko jak?

— Może składką na ubogich?

Ale w porę zmiarkowaliśmy, że ubodzy w Comblessac byli bogaczami w porównaniu z nami, pobierającymi po 0,50 franka dziennego żołdu. Mętny projekt „albumu pamiątkowego" także nie chwycił; był jakoś (na owe czasy jeszcze zanadto), w stylu różnych Ksiąg Jazdy i Almanachów Zasłużonych. Oczywiście, jak zawsze w takich wypadkach, zwrócono się do nas. Tak zwanych intelektualistów.

— No, ruszajcie tam głową. . .!

Z właściwym sobie lenistwem intelektualiści odpowiedzieliby zapewne szeregiem nie zupełnie intelektualnych propozycyj, gdyby nie Stanisław

Mikuła.* Stanisław Mikuła był niezawodnie najbardziej popularną postacią w całej kompanii, w niej zaś samej najbardziej eksponowanym przedstawicielem całej jej intelektualnej frakcji. Co prawda w jej łonie, ludzie bardziej zawistni ośmielali się czasem napomykać niejakie kąśliwe uwagi. Ale wszystko to nie brało. Mikuła był rzutki, pomysłowy, dowcipny i zawsze w dobrym humorze; to ostatnie zaś jest nieocenione zarówno w więzieniu, jak w wojsku.

Otóż Mikuła wyruszył z konceptem:

— Jest jedno do zrobienia. Bretania jest krajem religijnym. Polska także. Pamiętacie, jakie wrażenie zrobiło nasze jawienie się na mszy? Trzeba im ofiarować do ich kościoła obraz Matki Boskiej Częstochowskiej. Na zawsze pozostanie tu po nas. —

Myśl podobała się. Cała rodzina markiza spędzała wolne chwile w kruchcie, proboszcz był tu potęgą, najpotężniejszą organizację Comblessac stanowiło Bractwo Różańcowe — nie, nie było wątpliwości, że Mikuła ma rację. Tylko niedomyślni powątpiewali:

— Ale skąd tu we Francji dostać obraz Matki Boskiej Częstochowskiej?

Mikuła popatrzył na pytających z wyżyn bezgranicznej pogardy:

— To wy, ciemne żłoby, nie wiecie, że Stanisław Mikuła jest malarzem religijnym?

Ciemne żłoby mogły o tym i zapomnieć, albowiem rysunki, jakimi Stanisław Mikuła wylegitymował w kompanii swoje malarstwo mogłyby raczej posłużyć za ilustracje do Dekamerona, niż do Psałterza. Tak, istotnie, Stanisław Mikuła był malarzem. Przyszedł do nas z tą sławą ze Lwowa, ale poza piciem i opowiadaniem kawałów nie dał dotąd zbyt wiele dowodów swego malarstwa, a już jego religijnego charakteru najmniej. To też niewierni Tomasze wątpili nawet i teraz, a kapitan, który lubił solidną robotę, dbał o dobre imię u obcych i jakoś nie miał zbytniego o Mikule i intelektualistach przekonania, nawet zapytał:

— No, dobra. . . Ale czy, jak to mówią, czujecie się na siłach? Potraficie? Bo to kościół — poważna rzecz.

Mikuła zagrzmiał świętym oburzeniem:

— Ja? Czy potrafię? To chyba pan kapitan nie widział kościoła w Kopyczyńcach? A polichromii w Tłustem? A głównego ołtarza w Podkamieniu? A w Hoszczy? A w Kętach? A. . .

Na głowę dowódcy kompanii posypały się naraz, jak tynk, dziesiątki małopolskich kościołów, ołtarzy, witraży. Wszystkie Matki Boskie i Święci Pańscy malowani kiedykolwiek przez Staszka Mikułę, wszyscy jego anieli, wszyscy cherubim atque seraphim, zlecieli naraz dać świadectwo prawdzie. Interwencja niebios poskutkowała. Tegoż wieczoru sierżant szef wypisywał Mikule przepustkę do Rennes.

— Muszę kupić farb i wszystkiego! Zadecydował Mikuła.

Sierżant-szef wypisywał przepustkę niechętnie, raz że pisanie było dlań czynnością trudniejszą od sztuki dowodzenia, dwa, że cały ten projekt z Matką Boską wydawał mu się jednym więcej kantem. Ale Mikuła czuł się wspartym niedawną interwencją niebiańską. I dopiero chowając przepustkę do kieszeni powiedział:

— Pan sierżant by też pojechał. . . Tam w Rennes dziwki, o takie! Radziłbym. Wiosna idzie. Inaczej może się jeszcze na mózg rzucić. . .

A już wychodząc kończył:

. . jeśli go kto posiada. Jak nie — to co innego.

* * *

* Kiedy pisałem mego „Trębacza z Samarkandy" znaleźli się zaraz doktorzy dyplomowani Besserwisserowicze, którzy gotowi byli udowodnić nie tylko to, że Samarkanda nie ma owej legendy o polskim trębaczu, ale że w ogóle nie ma. . . Samarkandy. Ponieważ obecnie mogą dowodzić coś w tymże duchu, przeto zostawiam tu rodowe nazwisko podch. plut. Stanisława Mikuły, znanego ze swych talentów militarnych i malarskich w całym Zjednoczonym Królestwie. Bliższe referencje w Rubensie.

Najbliższe dni podcięły na nowo ufność kapitana a wzmogły wytrwałą nieufność sierżanta szefa. Mikuła nie wrócił ani w sobotę, ani w niedzielę, ani w poniedziałek, wrócił dopiero we wtorek, i, jak to się mówi, na rzęsach. Kot w marcu, po pracowitym harcowaniu na dachach, nie wygląda inaczej jak nasz malarz po wyprawie po farby. W kompanii panowało milczenie, pełne konfuzji. Trzej księża, przydzieleni do kompanii jako nasi koledzy dawali do poznania, że z urlopu uzyskanego na cel tak zbożny nie godziło się czynić tak mało budujący użytek. Gorliwcy, ciemne żłoby, jak ich nazywał Mikuła, znowu popodnosili głowy; czyż nie mieli racji, mówiąc zawsze, że cały ów „intelektualizm" to jedno wielkie nabieranie? Myśmy także nie byli zachwyceni, albowiem sława, lub niesława kompana obarczała ogół. Jeden tylko odnosił się do tego obojętnie, — sam winowajca. Na kwaterze, ustąpionej mu gwoli pracy malarskiej, kropnął się bowiem spać, snem tak twardym i tak spracowanym, jakby w Rennes wymalował polichromię do wszystkich kościołów Bretanii. Sen ten był tak spokojnym, że mógł w zupełnym braku lepszych dowodów świadczyć o niewinności naszego malarza.

Gdzieś, dopiero nazajutrz, w porze obiadowej, ruszyliśmy we trzech do kwatery naszej Śpiącej Królewny. Malarzysko w rozchełstanym mundurze, już się było zwlokło z barłogu. Na zaimprowizowanych stalugach, naciągnięte było na ramę zagruntowane już płótno, a na nim, z tła pierwszych konturów, wyłaniała się Matka Boska. Ci co się wybrali, byli na ogół koneserami sztuki. Sami malowali, mieli przyjaciół malarzy, naszych Kapistów i paryskich. Idąc do pracowni mistrza, czuli pewne, że tak powiem, wątpliwości. A wszedłszy przystanęli.

— No co, rzekł z zadowoloną radością Mikuła, jakże wam się zdaje?

Jury koleżeńskie przeżuwało w milczeniu swe pierwsze wrażenie, ale nie spieszyło się jakoś z wyrokiem. W tej chwili drzwi otworzyły się raz jeszcze. Wszedł sam kapitan. Poderwaliśmy się do postawy zasadniczej, tylko Mikuła stał jak dawniej. Nie czuł się w tej chwili żołnierzem. Końcem pędzla, szerokim ruchem, pokazał kapitanowi obraz, i zapytał:

— A pan kapitan co?

Otóż kapitan zaniemówił tak samo jak przedtem my, choć może — tak się zdawało — jakby nieco inaczej. Stał i patrzał. Nawet na nas nie zwrócił wcale uwagi, to też trwaliśmy w najprzykładniejszej postawie zasadniczej na jaką nas było stać. „No, jak pan kapitan uważa", zagadnął Mikuła, i dopiero teraz, a nawet jeszcze po chwili, kapitan rzekł:

— Te perły . . . o, te perły . . . To się koledze udały. . .

— Prawda? zatryumfował Mikuła. Nie mówiłem?! Ale to jeszcze nic; pan kapitan dopiero zobaczy. . .

I z końca mikułowego pędzla kapnęła nagle na koronę Matki Boskiej ogromna, wspaniała perła, cudnie biała na ciemnym tle obrazu, o odcieniu błękitnawym i sinym. Efekt był wspaniały! Zaraz potem jedno dotknięcie pędzla osadziło w koronie krwawy rubin, skrzący się całą świeżością olejnej farby. Nim kapitan zdążył ocenić wyrósł tuż obok wspaniały prostokątny szmaragd, takiej wielkości i blasku, jakiego nie zna żaden skarbiec indyjski. Jeśliśmy mogli wątpić w talent Mikuły jako malarza religijnego, to w jego talent jako malarza drogich kamieni nie wolno już było powątpiewać. Kapitan chłonął wzrokiem powstawanie obrazu. Był zapewne po raz pierwszy świadkiem owego procesu, w toku którego z farb wyciskanych z jakichś tubek wyrasta powoli obraz. I ów proces był dla niego niemniej tajemniczy i wielki jak dla nas wszelakie sprawy wojny.

Aż wyszedł, zagadawszy jeszcze do nas: „No, co? Udało się koledze, prawda?" Któżby — jeśli i chciał — pisnąłby co na to. Tylko Mikuła, po wyjściu kapitana, umocnił szybko pozycję:

— Widzicie, choć się na tym nie zna, umiał ocenić. A tu byli tacy co nie rozumieli! Żłoby. . .

Właśnie kończyła się przerwa obiadowa. Poszliśmy na ćwiczenia. Gdyśmy wracali po piątej, z domu w którym mieściła sie kwatera zamieniona obecnie na atelier, wychodził znowu kapitan. Coś go ciągnęło do tej Madonny polskiej i Polskę przypominającej, którą tam właśnie jeden z jego żołnierzy kładł plamami farbnymi na płótno. . .

* * *

Mieliśmy się teraz przekonać, że nie tylko porażki naszego kolegi odbijają się na nas. Swe znaczenie mają i sukcesy. Matka Boska Częstochowska dopiero wyłaniała się na płótno z bretońskiego lnu, ale już do niej ciągnęły pielgrzymki. Dwaj podporucznicy, dowódcy innych plutonów, weszli przed samą kolacją — i wrażenie jakie odnieśli było nie mniejsze niż to, pod jakim padł rażony kapitan. Tłum, jeśli nie nabożny to ciekawy, tłoczył się do pustelni, a Mistrz — bo teraz Mikuła rozwinął pełne żagle — wypychał ich dość bezceremonialnie za drzwi. Sierżant szef zaglądał przez okno. Inaczej *nie śmiał*! Sam kapitan wchodził niemal na palcach. Ponoć omawiali starannie każdy szczegół precjozów, w jakie Mikuła, przy pomocy swego czarodziejskiego pędzla, miał ubrać polską Matkę Boską tak, aby „tym Francuzom oko zbielało".

Mikuła pokazywał się rzadko, chodził jakiś uroczysty, a cień jego sławy spadał na całą resztę kompanijnej cyganerii. Aż czuliśmy się jakoś nie swojo, zwłaszcza ci co ze sztuką malarską mieli w jakiś sposób coś wspólnego. Zwolnienia z ćwiczeń, przepustka do Rennes — nie odmawiano nam niczego. Łaski spływały teraz na nas strumieniem równie obfitym jak te drogocenności z mikułowego pędzla.

Na drodze była już tylko jedna przeszkoda do przebycia. Co powiedzą Francuzi? Czy zamilkną w taki sposób jak nas trzech, na widok dzieła Mistrza, czy też zamilkną w ten sposób, w jaki uczynili to po nas wszyscy inni? Pesymiści bąkali coś pod nosem o wytrawnym smaku malarskim Francji, od Poussina po Corota, i to ich bąkanie było wątpliwości pełne. Teraz powodzenie obrazu było sprawą honoru całej kompanii — jeśli nie w ogóle Rzeczypospolitej. (Polacy, jak wiemy, są nader honornym narodem.) I życzyliśmy Mikule największych sukcesów. Sam nie byłem na uroczystym zaprezentowaniu obrazu, ale świadkowie naoczni mieli się przekonać, że Mikuła był jeszcze i znakomitym reżyserem. Kiedy już ukończona, mokra od oliwy, Matka Boska zabłysła przed oczyma parafian Kąblesackich, wzruszenie ogarnęło zebranych. Markiz-mer zamienił się w bobra, a jego córki w trzy fontanny łez; ksiądz staruszek przyrównywał Mikułę do świętego Łukasza, malarza Madonn. Dzieci patrzyły na klejnoty Matki Boskiej Polskiej takimi oczyma jak przedtem nasz kapitan. Nawet reprezentacyjny bezbożnik wsi, ślusarz, u którego pożyczaliśmy rowery, zwolennik Frontu Ludowego, przyszedł także. Ksiądz, który w co drugim kazaniu zapewniał swych parafian, że piekło tego ateusza nie minie, zupełnie na jego widok osłupiał:

— To był pierwszy cud, jaki sprawiła wasza Matka Boska, oznajmił; a moje owieczki potwierdzą wam jak wielki!

Owieczki potwierdziły skwapliwie. Ślusarz był w ich oczach wcieleniem Woltera, Szatana i Lenina w jednej osobie. Obraz z tryumfem poniesiono do kościoła. Znaliśmy dobrze ów kościół; znał i on nasze „Boże coś Polskę" i wygnańcze „O Panie, któryś jest na niebie". Ale teraz dopiero rozejrzeliśmy się po nim inaczej, niż dawniej. Był on szary, ciemny, nawet nie stary. Sztuka francuska była w nim „reprezentowna" przez najgorszą tandetę końca XIX wieku. Na tym tle wniesiona właśnie nasza Matka Boska rwała oczy świeżością swych barw. Trzeba przyznać, że ściemniły się one w tych murach i już nie łupiły tak w oczy, jak przedtem. Majestatyczna, hieratyczna Pani patrzyła na lud bretoński swą ciemną, regularną twarzą, poznaczoną dwoma bliznami, spokojna i zatroskana.

Tak zatroskana jakby wzięła w siebie i wniosła w ten przyćmiony kościołek bretoński wszystkie troski wiekowe narodu polskiego. Najwięksi niedowiarkowie kompanii (to znaczy my), byliśmy wtedy wzruszeni na równi z kapitanem, kompanią i cichymi ludźmi z Comblessac.

Nazajutrz nastąpił odmarsz do Coëtquidan. Po raz ostatni na trójkątnym rynku rozbrzmiała komenda polska. Ksiądz błogosławił, markiz ponownie zamienił się w bobra, markizianki obdarowały nas raz jeszcze medalikami ze świętym Convoyonem, dzieci biegły za nami aż pod Guer, a Mikułę komunista-stolarz zaprosił jeszcze na ostatnią *chopine*. Nikogo tak nie żegnał Comblessac jak bohatera kompanii.

Po nas, w małym kościołku wiejskim pozostała Częstochowska. Francuzi z trudem wymiawiali to imię. Myśmy, ostatkiem niewygasłej przekory, nazwali ją między nami Madonną Mikulińską, Mikuła bowiem urozmaicił obraz wedle własnych pomysłów. To pewne, że Matka Boska Częstochowska w swych najstrojniejszych koronach i sukienkach nie jest tak strojna w złoto i drogie kamienie, jak ta z obrazu Staszka Mikuły.

* * *

W dwa tygodnie później jedenasta kompania rozeszła się w świat, do pierwszej i drugiej dywizji, do brygady podhalańskiej i pancernej, do Lotaryngii, Wogezów, Norwegii i Montbart. W maju uderzył Hitler, a w czerwcu padł Paryż. Tego właśnie dnia wyładowano w Brest brygadę podhalańską, ściągniętą z Norwegii, a potem przez kilka dni manewrowano nią tak, że znalazła się daleko od portów i bez amunicji w chwili, gdy zagony niemieckie dopadły ją pod boki, a z jasnego czerwcowego nieba runął grom armistice'u. Po czym. . . Po czym jedni siedli na auta, inni rozeszli się po Francji, a jeszcze inni, najliczniejsi, spływali, jak po wrześniu na południe. I tak, z paroma kolegami, dotarliśmy po dwóch dniach w znane okolice. W Coëtquidan kupy żołnierzy pozostawionych na łaskę własną i Niemców, wałęsały się bezpańsko, Guer było przerażone i puste, na drodze do Redon śmigały już motocykle niemieckie. A my, jak te konie co znają drogę do domu, skręciliśmy w tym miejscu w lewo, na wąską, nierówną drogę, która wrzyna się głęboko w pola, jak bruzda, i która wiedzie — gdzieżby wieść mogła? — do Comblessac.

O, jakżeż był owej wiosny piękny i smutny świat naszej pierwszej zimy wojennej! Wszystko teraz było dawno zielone, jakby ziemia rozpękła się tą zielenią i obłożyła nią wszystko, jak mchem, jak lukrem! Cicha wioszczyna, od stuleci chroniona pilnie od wszystkich dziejowych burz, teraz nagle, stanęła otworem, bezbronna, czekająca z osłupieniem w oczach na swój nieunikniony, niezawodny gwałt. W kafejkach siedzieli ludzie nic nie pijąc, nic nie mówiąc, milcząc. Kobiety miały oczy czerwone i opuchłe. Dzieci wystraszone wyzierały z za opłotków. Tylko radio, skrzypiące z jakiegoś okna nadawało w ten dzień słoneczny i milczący apel słów, które brzmiały jak werbel samotny i rozpaczny. To przemawiał z Londynu, piętnując zdradę, generał o nieznanym wczoraj jeszcze nazwisku, de Gaulle.

Na naszych rowerach trzeba było jechać dalej. — Dokąd? pytano. — Do Anglii! — Potrząsano głową smutnie, życzliwie i niewiernie.

— Que *votre* Vierge vous protège, powiedziała pewna dobra dusza.

Wtedy przypomniałem sobie tę Notre Vierge. Madonnę Mikulińską. Moi towarzysze coś majstrowali przy rowerach. Była już chyba dziesiąta i słońce, nieczułe na to wszystko, jak nasze we Wrześniu, lało już swój ukrop najbardziej złocisty. O dwa kroki czerniał kościół. Wszedłem. Nie, nawet nie po to, żeby się pomodlić. Ale oto w tym kościele był ślad ostatni, Znak taki czegoś, cośmy tu kiedyś przeżyli i czegoś, co już nie miało się wrócić nigdy, nigdy więcej. Przed nami, przed nowym celem naszej drogi, leżał już odgradzający wszystko, Rubikon oceanu. Trzeba się było zatem pożegnać i pokłonić. —

W kontraście z tym dniem pełnym słońca, kościół był, jak to w lecie, tym bardziej ciemny. Wchodząc nie widziało się nic. Tylko słyszało głosy, a raczej głosiki, jakby idące z posadzki, z dołu. Były bezradnie słabiutkie i wątłe, takie właśnie jak głosy dzieci zupełnie małych, albo ludzi starych już bardzo. Samych ludzi nie było tam widać nawet gdy oczy nawykły do mroku; okazało się, że głosy dochodzą z bocznej nawy. Właśnie z tej gdzie obok świętej Tereski umieszczono *nasz* obraz.

Wszedłem bardzo, bardzo cicho. Skradając się. Nawa była pełna jak w dni największych nabożeństw. Wszystko to klęczało na ziemi, jak u nas w kościołach się klęczy, żółte świece paliły się u ołtarza, a zdrowaśki Różańca sypały się żarliwie tak, jak wtedy gdy spada na nas Nieszczęście. Aż na którymś z ziarnek Różańca zdrowaśki ustały na chwilę a wtedy, tuż u samego ołtarza, spod tych żółtych zapalonych świec, jeden pojedyńczy głos począł wzywać Notre Dame de Tsenstohova. Głos się łamał na tym trudnym słowie, ale powtarzał je wciąż, uporczywie, jakby był przekonany, że aby być wysłuchanym, tam w niebie, musi zaklinać Matkę Zbawiciela właśnie owym imieniem polskim, i że jeśli to zrobi to wtedy Ona osłoni tarczą swej opieki Polskę, Francję i owo małe, zagubione w świecie Comblessac, któremu żołnierze polscy w przechodzie tułaczym pozostawili ów obraz swej Królowej, właśnie po to aby ich chronił, wspierał i strzegł.

MARJA KUNCEWICZOWA

DOM

(Wizja przyszłego fin de siècle.)

Minęły grupę brzóz, przeszły w skos trawnik, nakrapiany mleczami i siadły na ławce u krawędzi wąwozu, po którego stronie drugiej stał Dom. Często tam przychodziły posiedzieć razem w przedwieczornej godzinie, odkąd Priscilla odkryła, że Wanda musi znać sekrety Domu. Priscilla, od miesiąca instruktorka jednej z grup osiedla szkolnego w europejskim miasteczku, Kazimierz nad Wisłą, była młoda, miała usposobienie badawcze i dyplom studiów wyższych. Czytała dużo. Bardzo ją zastanawiała, oczywista w starych powieściach, potęga czegoś, co klasycy angielscy nazywali „home, sweet home". Ta rzecz, bynajmniej nie zawsze odpowiadająca określeniu „sweet", najwyraźniej była w ścisłym związku z domami. W dotychczasowych przelotach Priscilla napotykała nieraz zabytki historyczne, określane jako kościoły, w każdym również prawie osiedlu był jeden, nierzadko dwa i trzy Domy, które się zwiedzało, by nabrać pojęcia o bycie ludzkim sprzed Wojny Światowej Nr. 3. Jednak ani oglądanie przedglobalnych wnętrz, ani globalne wykłady przedglobalnej historii, nie rzucały światła na właściwy sens rzeczy zwanej Domem przez Europejczyków z Epoki Złych Komunikacji. Dopiero kilka tygodni temu, kiedy Priscilla przyleciała z Hong-Kongu do Kazimierza, okazało się po pewnym czasie, że Wanda z sąsiedniej koi w schronie Nr. 160 jest kobietą starą. Kobietą, która wiele lat spędziła niegdyś *mieszkając* w Domu. I to właśnie w owym jedynym, pozostałym z Epoki, Domu Kazimierskim, sterczącym tak niepokojąco na szczycie zielonego wzgórza.

Po trzech Wojnach Światowych starzy Europejczycy, zwłaszcza kontynentalni, byli rzadkością w Republice Globu. Starość zresztą nie była łatwa do rozpoznania, odkąd jej symptomaty zewnętrzne usunięto. Co do Wandy, Priscilla od razu odniosła wrażenie, że jest to istota szczególna·

Przede wszystkim miała sporo własnych przedmiotów. Do łazienki wchodziła z ręcznikiem na ramieniu i tylko tego ręcznika używała, zabierając go później z powrotem do koi, mimo, że był mokry. Mówiła o nim: *mój* ręcznik. Był płócienny, z haftem czerwonym i czarnym u dwóch krańców, z literą *W*, zupełnie niepodobny do globalnych ręczników. Płyny odżywcze Wanda mieszała w szklance zawsze tą samą łyżeczką, którą wyjmowała z torebki i która nie była z materiału plastycznego, tylko ze *srebra*. Nad łóżkiem nakleiła sobie fotografie osób bardzo dziwnie wyglądających, jedne bardzo niskie, drugie bardzo wysokie, wszystkie o przesadnych wyrazach twarzy, jak w przedglobalnych filmach, mężczyźni inaczej ubrani, niż kobiety. O tych osobnikach Wanda mówiła: „to jest moja rodzina", co także bardzo dziwnie brzmiało. Aż wreszcie Priscilla stwierdziła, że — w porze, kiedy w hali Globalitowo-Różanej odbywają się koncerty i tańce — Wanda odchodzi do koi i tam klęka przed podobizną krzyża, na którym śmierć poniósł ów przedglobalny szaleniec, zwany Bogiem-Człowiekiem. Priscilla pojęła wtenczas kto jest Wanda: stara Europejka z Kontynentu.

To odkrycie wstrząsnęło Priscillą. Od dawna pragnęła spotkać kogoś starego, i to z Kontynentu. Tylko taki ktoś byłby zdolny wytłumaczyć jej tajemnicze właściwości Domów. Priscilla nie bardzo lubiła zajęcie instruktorki szkolnej, które miała wykonywać w okresie trzech najbliższych przelotów, jak również dalsze instruktorskie zajęcia, wpisane do jej karty pracy. Wszystkie były do siebie podobne, wszystkie sprowadzały się do funkcyj policyjnych; uważała je za przeżytek. Bo i o czym że instruować dzieci w szkołach, aktorów w pracowniach filmowych, czytelników w bibliotekach, jeżeli dla każdej czynności istnieją wszędzie, jednakowe na całym świecie, szczegółowe wskazówki w powszechnie przyjętym języku? Wskazówki nieprzerwaną falą płyną z aparatów radio-telewizyjnych, z cichych i głośnych broszur, ogłoszeń świetlnych i matowych, z kieszeni, spod poduszki, z drzew. . . Wiedza praktyczna została jak gdyby rozpylona w atmosferze ziemskiej, wchłania się ją nieświadomie o każdej chwili życia.

Priscilla ceniła sobie raczej swój fach rezerwowy: objaśnianie tekstów. Jako istota urodzona w Anglii, jeszcze w Epoce Złych Komunikacyj, zaliczona została do pepiniery Mózgów Europejskich. Nauczono ją trzech jeszcze języków martwych, znała więc: angielski, francuski, niemiecki i włoski. Poznała także powieści klasyczne w tych językach oraz zasadnicze pojęcia i obyczaje ludzi przedglobalnych. Możność studiów klasycznych była jednym z licznych uśmiechów globalnej kultury, sprawą bezinteresowną, oderwaną od rzeczywistych potrzeb — luksusem, na jaki mogła sobie pozwolić Jedna Niepodzielna Pierwsza i Ostatnia Republika Globu.

Jednak to Priscillę gniewało, że ani w osiedlach szkolnych, ani w pracowniach filmowych, ani w bibliotekach, ani nawet w Eros-klubach, gdzie tak było nudno, nikt nigdy nie korzystał z jej rezerwowych wiadomości. Po prostu nikt nie wiedział o istnieniu — niegdyś — Antoinetty Buddenbrook, albo Mrs. Dalloway, które Priscilla uważała za osoby bardziej intrygujące od członków Rady Globalnej. Nikt także nie interesował się np. pałacem w Manderley, którego tajemniczy pożar niegdyś tak zasmucił tajemniczych państwa de Winter. Priscilla rozumiała, że większość jej partnerów i pupilów — przeważnie żółta, często czarna — nie mogła przywiązywać wagi do przedglobalnych Niemców, czy Anglików, oraz do ich mieszkań. Ale biali — zwłaszcza Szkoci — trafiali się jeszcze we wszystkich prawie środowiskach globalnych. A przecież i oni nie zadawali pytań, do których zachęcała odznaka Komentatorki Tekstów.

Bezużyteczna, niewentylowana wiedza Priscilli zdawała się burzyć i rozsadzać mózg. Komentatorka Tekstów, im mniej miała nadziei, by

ktokolwiek pytał ją o spalone pałace, tym mocniej pragnęła sama pytać kogoś o sens dnia przedglobalnych czasów, dnia Mrs. Dalloway, którego wszystkie minuty promieniowały w stronę jednego jedynego kominka. Dnia, który się toczył po ulicach i po obłokach w tym celu, by jego refleksy oświetlały Dom. Otóż właśnie Dom. . . Miejsce, skąd wychodziło się na krótko, dokąd o każdej porze wracałó się na długo. Miejsce, gdzie nikogo prawie nie było, ale przedmioty zdawały się mówić, powietrze drżało, jak harfa.

Stanąwszy przed Wandą, Priscilla — niepytana — nareszcie pytać *mogła*.

Pytanie pierwsze brzmiało:

— Jak dawno jesteś w Kazimierzu i co tutaj robisz?

— Jak dawno? — powtórzyła Wanda z tym samym przesadnym grymasem, jaki mieli ludzie z jej fotografii. Z grymasem, wyobrażającym zapewne sprawę, zwaną przez francuskich klasyków „rêverie“ — Jestem bardzo dawno. Urodziłam się tu przed Wojną Nr. 1. Ta wojna nie wypędziła jeszcze dzieci z domów, więc przeżyłam ją tutaj. Jak również antrakt między wojnami Nr. 1 i Nr. 2. Wojna Nr. 2 wypędziła mnie i z domu i z kraju. Stałam się t.zw. *refugee*. Po wojnie Nr. 2 Wyspa Brytyjska, gdzie znalazłam schronienie, została przyłączona do Eurazyjskiego Związku Sowietów. Ponieważ nie dowierzałam temu Związkowi, schroniłam się do Ameryki. Początek wojny Nr. 3 zastał mnie tam, mieszkającą w willi własnej bo — jak wiesz zapewne — w antrakcie między wojnami Nr. 2 i Nr. 3 tylko w Eurazji panowała totalna nędza. Natomiast w Ameryce przemysł szalał na użytek wewnętrzny i wszyscy mieli śliczne własne wille. Dopiero wojna powietrzna Nr. 3 zburzyła domy wszystkich kontynentów. Ale ja wtedy nie byłam jeszcze dosć stara, by ubiegać się o prawo osiadłości. Jak wiesz zapewne również, wszyscy światowi *refugees* zostali przez Radę Globu przeznaczeni na instruktorów podróżnictwa. Więc przez lat parę (czy, jak wy mówicie-przelotów) pełniłam służbę instruktorską po różnych kursach i obozach świata. Wreszcie nastał dla mnie „czas stałego adresu“ — obrałam Kazimierz — wróciłam. Właściwie jednak wydaje mi się, że byłam tu zawsze, w moim domu na górze. —

Ten bardzo długi monolog, pełen archaicznych słów, pełen niejasności, oszołomił Priscillę. Nie wiedziała od czego zacząć dalsze pytania, uczepiła się więc myśli już sformułowanej.

— Co tu robisz? — spytała po raz drugi. I po raz drugi Wanda uśmiechnęła się z wyrazem, który zapewne oznaczał „rêverie“.

— Co robię? To co dawniej: bukiety.

* * *

Trzy tygodnie upłynęły od powyższej rozmowy. Teraz Priscilla z Wandą siedziały o zmierzchu naprzeciwko Domu.

— Owszem, przypuśćmy — mówiła Priscilla — przypuśćmy, że nasze nocowanie w schronach jest skutkiem urazu psychicznego po trzech wojnach powietrznych. Bezpieczeństwo globalne zostało ustalone stosunkowo niedawno. Ja sama nie pozbyłam się mego dziecinnego strachu przed niebem, niechęci do słońca i księżyca, do okien, do miejsc nienakrytych globalitowym sklepieniem. Rozumiem, że przed wojnami totalnymi ludzie tych urazów nie mieli. Ale to nie tłumaczy instytucji Domu. O ile dobrze zrozumiałam stare książki, dom, zwłaszcza dla kobiet, nie był tylko kwestią nocy. To także była jakaś przewlekła sprawa dzienna. Trwająca całe życie. A raczej chyba całe pokolenia. . . Co *to* znaczy?

— Jak ci to objaśnić? — westchnęła Wanda — Przede wszystkim przypomnij sobie, że zakaz osiedlania się istnieje także od niedawna. Dawniej nie tylko starcy, dawniej wszyscy mieli prawo mieszkać stale w jakimś jednym kraju. Czyż nie pamiętasz słowa „ojczyzna“? To było jedno z najgłośniejszych słów. . .

Priscilla ściągnęła brwi.

— Owszem, pamiętam to słowo. Kiedy byłam mała, za czasów wojny Nr. 3, często obok mnie w schronach londyńskich nocowali refugees. Wtenczas jeszcze miewało się matki i refugees nieraz rozmawiali z moją „Mummy". Później marszczyli się, jak gdyby im coś wpadło do oka, i wykrzykiwali to słowo. A „Mummy" kiwała głową: „I see what you mean. You mean you miss your country". Wiem. Francuscy klasycy nazywali tę rzecz „patrie".

— Więc właśnie. W takiej „patrie" mieszkało się — na zawsze. Z ojca na syna. Z dziadów na wnuki. A jeżeli gdzieś trzeba było stamtąd wyjechać, zaczynała się tęsknota. Rozumiesz? Sehnsucht. Cafard.

— Nie rozumiem. Ale gdzież w końcu wy, starzy Europejczycy, spędzaliście wasz nieskończenie monotonny, bezprzelotowy czas: w domach, czy w ojczyznach?

— W domach. Tylko, że domów nie mogło być bez ojczyzn. „Sweet home" to znaczy: dom w ojczyźnie.

— Za trudno się wyrażasz.

— Czekaj. . . Teraz ludzie, póki są młodzi, muszą zmieniać kraj zamieszkania co roku. Zasadą ustroju globalnego jest: Wszyscy są Wszędzie. Wszyscy mają Wszystko. Dawniej tak nie było. Dawniej ludzie nie lubili być Wszędzie. Lubili jeden kraj. Często jedno tylko jakieś miasto, albo wieś. A nawet jedną ulicę. I nie lubili Wszystkiego. Lubili swoje rzeczy.

— Mów po globalnemu!

— Ach wstydzę się. . . Nie opanowałam jeszcze dobrze języka globalnego.

— Tak, masz niedobry akcent. Ale to wolno starcom z Kontynentu.

— Mniejsza o akcent — moje myśli nie mieszczą się w globalnych słowach. Nie potrafię ci nic wytłumaczyć. Spróbuję opowiedzieć. Co chcesz, żebym ci opowiedziała o Domu?

Priscilla spuściła głowę. Po chwili milczenia, gryząc jakąś trawkę, zaczęła mówić:

— Na samym początku książki o Buddenbrookach jest taka scena: stara kobieta, dziwnie ubrana, z włosami w nieładzie, biegnie przez ulice miasta. Spotyka ją stary mężczyzna, zwany pastorem, i pyta: „co się stało?" A ona odpowiada: „idę się utopić do rzeki, bo mężczyźni z innego kraju weszli do mojego Domu i zabierają mi moje srebrne łyżki". Po czym mężczyzna, zwany pastorem, nie pozwala tej starej kobiecie biec do rzeki, wraca z nią do jej Domu i tam tłumaczy mężczyznom z innego kraju, że srebrne łyżki powinny pozostać w szufladzie. . . Otóż ta scena męczy mnie w snach. Kiedy byłam mała, raz w schronie, podczas gdy mężczyźni z innego kraju rzucali bomby na Londyn, otworzyła się walizka mojej „Mummy". . . Wypadła z niej łyżka. „Mummy" przycisnęła tę łyżkę do serca i powiedziała: „to wszystko co zostało z mego Domu". I w jej oczach były łzy. Wando. . . Ty także nosisz w torebce własną łyżkę. Ale patrz — twój Dom ciągle stoi. Mężczyźni z innych krajów nie zburzyli go. Czy chciałabyś w nim znowu zamieszkać razem z twoją łyżką?

Zapadła cisza. Księżyc bardzo czerwony wynurzył się zza brzóz i szyba wielkich drzwi szklanych, prowadzących na taras Domu, błysnęła. Cicho było i ciepło, poprzez powietrze smugami ciągnęły wieczorne zapachy; raz maciejka, raz nikotiana, raz lilia. Na konarze dębu paw bił skrzydłami w stronę Zachodu i co chwil parę wydawał ze siebie wielki krzyk, emfatyczny i dziki. Kiedy ów krzyk leciał przez ciszę ku Wiśle, skrzydła ptaka tężały, szyja wyprężała się w ślad za krzykiem, coraz łagodniejszym w miarę oddalenia. Z lasku brzezinowego na stoku wzgórza odezwał się słowik. Paw ruszył ciężko z gałęzi i odleciał na dach. A

słowik śpiewał dalej — tak skupiony, żarliwy — jak gdyby i słońce i księżyc istniały w jego sercu.

Wanda odrzuciła głowę na oparcie ławki. Białe zęby w jej smutnych ustach zalśniły jak młode.

— Nie — odezwała się wreszcie—po co mi Dom, kiedy świat istnieje? Nie. Nie chciałabym już nigdy mieszkać w Domu. Nie mam na to siły. Czy wiesz co o takiej porze robiłam kiedyś, gdy mieszkałam w Domu? Stałam na tym tarasie, patrząc w stronę ogrodowej furtki i drżałam. Czy *on* wróci? Mój piękny, młody, ciemnooki mąż, który przysiągł, że letnie noce swego życia będzie spędzał ze mną. Potem on wracał i nie zawsze bywał uśmiechnięty. Wtenczas drżałam znowu, że straciłam jego miłość. Że jego myśli i uczucia nie mieszkają już w Domu. Że zostały przy innej kobiecie, czy może przy jakiejś sprawie ważniejszej ode mnie i od Domu. Potem jedliśmy kolację we dwoje — o tam, za tym oknem, które wtedy czerwnieniło się od blasków kominka. Na stole płonęły świece w wielkim mosiężnym świeczniku, potrawy nie zjawiały się za pociśnięciem guzika, tylko wnosiła je na miedzianej tacy Natalcia, stąpająca na palcach, smutna, bo jej własny młody mąż, który czekał w ogrodzie, nie miał Domu, gdzie mogliby sypiać „u siebie". Później czytaliśmy książki, co było powszechnym zwyczajem, albo rozmawialiśmy, co również — wśród małżeństw kontynentalnych — było w zwyczaju. Ale i czytanie, i rozmowa, i słuchanie muzyki, każde domowe zajęcie płynęło jak gdyby po powierzchni czarnego, burzliwego nurtu. Przerywaliśmy często, nasłuchując: czy któreś z dzieci, śpiących na górze, nie krzyknęło przez sen, czy nie zakaszlało? Baliśmy się do szaleństwa utracić nasze dzieci. Pies szczeknął, albo podniósł ucho. . . Wtedy nasłuchiwaliśmy, czy złodziej nie skrada się od strony warzywnika, czy nie wskakuje do piwnicy. „Drzwi od podwórka zamknięte na klucz?" — pytałam męża — „Założyłeś sztabę na drzwiach do garażu? Stamtąd jest przejście na schody". — „Czy biżuterię ciągle trzymasz w domu? — pytał mąż zmarszczony — Proszę cię, odnieś ją do banku, bandytyzm okropnie się szerzy". Czasami wątek audycji muzycznej się przerywał. Wtedy martwieliśmy na sekundę: może mężczyźni z innych krajów przełamali właśnie granice naszego kraju i naszego nieba? Nieporozumienie wyjaśniało się niebawem. Jednak i wtedy nie zaznawaliśmy spokoju. W obawie przed burzą zrywaliśmy się i biegli zamykać okna, wyłączać elektryczność, sprawdzać, czy gaśnice są na swoich miejscach. Wreszcie — zmęczeni bardzo — szliśmy do sypialni. Nie myśl, że sny przynosiły ukojenie. Albo, że przynosiła je miłość! Jakżeż często śnił mi się pożar domu, od pioruna nie mniej okropny, niż od bomby. Śnili mi się ludzie niebezpieczni: ubodzy, bezradni ludzie, którzy, tak jak Natalcia, nigdy nie mieszkali „u siebie" i którzy z zazdrością patrzyli na nasz dom. Albo tacy, którzy czyhali na moje przedmioty. Albo ci którzy chodzili po domu z oddechem pełnym bakcylów ziejąc w usta moich dzieci. Wreszcie . . . koszmar koszmarów: kobiety. Obce, w sukniach o tyle piękniej leżących niż moje, z twarzami uśmiechniętymi o tyle wdzięczniej, słodziej, niż moja twarz, kobiety, które urodziły się w kilka lat po mnie i dlatego miały sprawić, że pewnego wieczora mój mąż nie wróciłby do domu. Budziłam się, on także jęczał we śnie, obejmowaliśmy się ramionami, przytulaliśmy wargi do warg i nasza miłość zdawała się szalona. Tak, ona była szalona: strachem i rozpaczą. —

Wanda zamilkła. Jej twarz, oblana księżycowym światłem, z oczami zamkniętymi, wyglądała jak zamknięta muszla. Słowik wciąż śpiewał, Priscilla poruszyła się.

— Jednak zachowałaś łyżkę i ręcznik — szepnęła — Zrobiłaś to na pamiątkę tego Domu, gdzie bałaś się i rozpaczałaś.

Wanda przesunęła dłonią po czole, spojrzała na Dom.

— Tak — westchnęła — wyniosłam je kilkadziesiąt lat temu, o . . .

stamtąd — wyciągnęła rękę. — Stołowy pokój był na lewo w głębi za tymi oszklonymi drzwiami. A nasz sypialny po prawej stronie, na górze. Bomby padały na sąsiednie domy, chwyciłam ręcznik z góry, łyżkę z dołu, i wyszłam. Okazuje się, że wyszłam na zawsze.

— Ale czy nie mówiłaś niedawno: „wydaje mi się, że byłam *tu* zawsze, w moim domu na górze?"

Wanda odwróciła głowę.

— Oczywiście. Powiedziałam tak... I to jest prawda. Nie mogłam nigdy zapomnieć, że gdzieś na ziemi stoi może ciągle mój Dom. Nigdy nie mogłam przestać się bać o ten dom i o wszystkich, którzy do niego kiedyś należeli. To było bardzo przykre... Ale z czasem moi ludzie zatracili się. Poumierali? żyją? — nie wiem. Kilkadziesiąt lat, najpierw totalnych mordów i przesiedleń, później Idealnych Komunikacyj i Globalnej Swobody zniszczyły porządek w księgach adresowych. Nawet adresów wiecznych nie odróżnia się dziś od doczesnych. Skoro zaś takie jest prawo, że każdy o każdej chwili znika by nie wrócić, niema powodu troskać się o nieobecnych. Przestałam też dawno troszczyć się o mego męża, który kiedyś taki był młody, piękny, ciemmooki... I o moje dzieci, które — jeśli żyją — nie troszczą się o swoje dzieci. Najmniej troszczę się o wnuki, których nigdy nie widziałam, które z pewnością nie znają słowa „babka". Jednak nie mogłam oduczyć się strachu całkowicie. Czułam, że jeśli *zupełnie* przestanę się bać, skamienieję, usnę na zawsze. Zachowałam więc łyżkę i ręcznik. Czasami w ciągu dnia niepokój mnie ogarnia, czy ich nie zgubiłam, w nocy budzę się i sięgam pod poduszkę, żeby sprawdzić, że są. Wtedy serce bije mi znowu mocno...

Priscilla, wzruszyła ramionami. Zapatrzona w Dom, przerwała:

— Dlaczego wróciłaś tu i siedzisz naprzeciw twego Domu? Piorun może jeszcze zawsze w ten dach uderzyć. Czy chcesz, żeby serce biło ci jeszcze mocniej?

Wanda wstała z ławki. Jej twarz, szyja, tak gładkie mimo starości, pokryły się nagle zmarszczkami, jak zmącone wody. Na pewno Antoinetta Buddenbrook nie wyglądała inaczej, biegnąc się topić do rzeki.

— Ach, nie męcz mnie! — krzyknęła — Zachowujesz się jak najgorszy złodziej z czasów przedglobalnych: chcesz ukraść tajemnicę!

Ale Priscilla nie była nerwową, przedglobalną dziewczyną. Miała naturę badawczą i fach ulubiony: objaśnienie tekstów. Rozmowa z Wandą mogła nie powtórzyć się nigdy. A także żadna inna ex-mieszkanka ex-Domu mogła nie postać nigdy na trasie przelotów Priscilli.

— Nie odchodź — przytrzymała za rękę istotę przedglobalną. — To co mówisz jest ważne nie tylko dla ciebie i dla mnie. Czy nie myślisz, że do tajemnic masz jeszcze mniejsze prawo, niż do własnych łyżek?

Wanda siadła z powrotem. Zmarszczki rozpierzchły się. Znów zamknęła oczy.

— Nie, nie myślę tak. Ale, owszem, pytaj. Tylko zrozum, że nie na wszystkie pytania można słowami odpowiedzieć. I nie wszystkie pytania nadają się do tego, żeby je wymawiać słowami. Więcej: bywają spojrzenia, na które w żadnych żywych oczach niema odpowiedzi.

— Lepiej mów po globalnemu! — zaprotestowała Priscilla. — Rozumiem, że jesteś zmęczona. Odpocznij sobie, zanim spytam o coś jeszcze. A tymczasem pozwól, że ja objaśnię ci *siebie*. Nie myśl... Nie myśl, że mój dobrobyt jest doskonały. Mnie, tak samo jak tobie, brakuje wielu rzeczy. To uczucie nieprzyjemne, którego często doznaję, jest prawdopodobnie zbliżone do tego, co klasycy nazywali *Sehnsucht*, *nostalgia*, czy może *cafard*... Nie wiem. Oczywiście to uczucie nie odnosi się do t.zw. ojczyzny, bo ja z Anglii pamiętam tylko bardzo niewygodne, brudne schrony, po których oprócz dzieci, biegały także kolejki i szczury. Ani do żadnej osoby. Bo „Mummy" razem ze swoją walizką znikła tak dawno... A

później nikt nigdy nie przebywał ze mną dłużej, niż przez okres jednego przelotu. A i to przelotne przebywanie nigdy nie miało cech, o których wspominałaś: tego wspólnego strachu przed złodziejami, tej wspólnej rozpaczy z powodu chorób i starości. Ale... Ach, Wando, globalny język istotnie nie jest łatwy! Ja także nie wiem, jak ci wytłumaczyć! — Poczekaj... Opowiem ci. Więc kiedyś... To było w Créssy. Wtenczas przechodziłam jeszcze okres szkolenia. Przy drodze do klubu zauważyłam sobie jedno drzewko. Była wiosna. Ono ślicznie kwitło i bardzo ładnie pachniało. Przechodziłam koło niego sześć razy dziennie. Zawsze na nie patrzyłam. Później zrobiło się lato. Drzewko straciło kwiaty, za to miało ciemnozielone, bardzo przyjemne liście. Później była jesień i te liście zbladły. Potem nabrały koloru takiego jak bursztyn. Zimą drzewko było gołe i trzęsło się na wietrze, a niebo za nim wydawało się lodowate. A później musiałam odlecieć z Créssy, zanim drzewko zaczęło pączkować. Do Créssy wrócić bym mogła dopiero na starość. Wtedy tego znajomego drzewka albo jużby nie było, albo na jego miejscu rósłby gruby nieznajomy pień. To jedna rzecz...

Teraz druga: Pewien mężczyzna... (jeden z pierwszych, szósty, czy siódmy, nazywał się Marco), tak jakoś kładł rękę na moim kolanie, że mnie od razu robiło się strasznie przyjemnie. Przez siedem miesięcy sypialiśmy razem, pływali i latali razem. Nie zdarzyło się ani razu, żeby — gdy on dotknął mnie — całe moje ciało nie doznawało rozkoszy. Po siedmiu miesiącach nastał mój czas zmiany adresu i odleciałam z Budapesztu do Kopenhagi, a Marco miał za miesiąc lecieć do Chicago. Jak tylko przyleciałam do Danii, w pierwszym Eros-klubie poprosiłam pewnego mężczyznę (nazywał się Ralph), żeby położył rękę na moim kolanie. I nie odczułam nic. Później próbowałam ciągle, coraz to z kim innym, próbuję dotąd Nikt nie ma takich rąk jak Marco. Ale Marca nie spotkam pewnie nigdy. Jeśli zaś spotkam, to rozstaniemy się znowu.

Trzecia rzecz:: Od niektórych głosów ludzkich robi mi się mdło. Są inne głosy, które uderzają mnie, jak młotki — boli mnie od nich głowa, chociaż są uprzejme. I nie ma takiego miejsca w Republice Globu, gdziebym mogła wywiesić tabliczkę: wstęp dozwolony tylko tym głosom, które lubię.

Czwarta rzecz. Urodziłam troje dzieci. Nigdy ich oczywiście nie widziałam i nie wiem jakiej były płci. Dziwne... Może to pod wpływem klasycznej lektury, a może dlatego, że czasami wydaje mi się jeszcze w nocy, że „Mummy" patrzy na mnie... Jabym okropnie chciała wiedzieć jakie są te dzieci, które urodziłam. Bawi się np. jakieś dziecko w parku — żółte, czarne, czasem białe — a ja nagle staję, jak wryta: „może to ja ciebie urodziłam?" I strasznie mi się chce to dziecko złapać i uciec i być z nim w takim miejscu, gdzie będą ręce Marca i będzie to drzewko z Créssy i... może srebrna łyżka? I gdzie nie będzie żadnych takich głosów, których ja nie lubię. Rozumiesz mnie? Co ty o tym sądzisz? Co należy zrobić, żeby mój dobrobyt był pełny?

Wanda milczała. Bardzo stary uśmiech leżał na jej gładkiej twarzy: uśmiech Ewy — najdawniejszej z ziemskich *refugees*.

— Co należy zrobić? — powtórzyła — zapomnieć! Zapomnieć o drzewku z Créssy, o rękach Marca, o nieprzyjemnych głosach i o tym, że rodziłaś dzieci. Jeżeli nie zapomnisz, nic na świecie nie zdoła poprawić twego "dobrobytu".

Priscilla żachnęła się.

— Ależ czy nie sądzisz, że *to* — wskazała palcem na Dom po drugiej stronie wąwozu, ociekający teraz księżycowym światłem, otoczony drzewami — że *to* byłoby dobre dla mnie?

Dłoń Wandy na ramieniu Priscilli zrobiła się ciężka.

— O, nie! Gdybyś zamieszkała tam, twoje życie przestałoby liczyć się

na przeloty. Zaczęłoby liczyć się na urodzajne i nieurodzajne lata. Na szczęśliwe i nieszczęśliwe połogi. Na zdrady i powroty. Na godziny czekania — za długie i na godziny szczęścia — za krótkie. Twoje wiosenne drzewko — po latach — uczyniłoby las, jedna łyżka rozmnożyłaby się w tuziny łyżek, do czarów, płynących z rąk Marca, przybyłyby — dobre i złe — czary jego serca, przybyłby cały Marco. Twoje dzieci zaczęłyby od ciebie uciekać, jedne w śmierć, drugie w obojętność — chmury i samoloty nieprzyjaciół zawisłyby nad twoim dachem. . . Ach!

Wanda stanęła między Priscillą a domem, blada, wyprężona.

— Nie rób tego — złożyła dłonie — nie próbuj *mieszkać* w Domu. Jeśli tam zamieszkasz, zamieszka z tobą strach i rozpacz. O każdej porze dnia i nocy bać się będziesz: UTRATY.

Ale Priscilla nie była nerwową przedglobalną dziewczyną. Miała naturę badawczą i fach ulubiony: objaśnianie tekstów. Taka bliskość Domu mogła nie powtórzyć się więcej. A także żadna inna godzina ziemskich przelotów mogła nie być tak srebna i tak tajemnicza.

— Nie przeszkadzej mi — odsunęła istotę przedglobalną. — Wiem, że powiedziałaś mi o Domu nie wszystko. Powiedziałaś tylko o strachu i rozpaczy. Nie powiedziałaś nic o *dziękowaniu*. Ale ja doskonale pamiętam taką scenę: Mrs. Dalloway siedzi na kanapie, koło niej pełno srebra i takich różnych przedmiotów, których napewno zazdrości jej służąca Lucy. Męża Mrs. Dalloway nie ma koło niej, bo zaprosiła go na lunch inna, młodsza kobieta. Córki nie ma, bo córka kocha obcą, brzydką Miss Millman, nie Mrs. Dalloway, swoją piękną matkę. Jednak Mrs. Dalloway siedzi na kanapie i dziękuje. Koło niej nic się nie dzieje, tylko meble stoją. A ona siedzi i mówi nie wiadomo do kogo: „Thank you, thank you, oh, thank you . . .“ — Nie bój się, nie rozpaczaj, i nie dziękuj, jeśli nie masz siły. Ja chcę poznać strach, poznać rozpacz i chcę dziękować. Inaczej mój dobrobyt nie będzie nigdy pełny.

Słowik jeszcze śpiewał. Mniej melodyjnie niż na początku wieczora — bardziej władczo, jak gdyby w ciągu tych paru księżycowych godzin dojrzała jego miłość.

Priscilla weszła na groblę, prowadzącą do Domu, i zatrzymała się.

Przez chwilę było cicho. Potem żwir zaskrzypiał: Wanda schodziła ku grobli. Dogoniła Priscillę, nieśmiało dotknęła jej ręki.

— Nie będę ci przeszkadzać — rzekła — i mam jedną prośbę. Jeśli w Domu zamieszkasz, pozwól mi . . . pozwól ustawiać w pokojach bukiety.

EUGENIUSZ CĘKALSKI

WIERSZ

Chwalę was telefony
czarne kielichy słodyczy
niosące głos i miłość i bliskość daleką
— cóż mi, że śledzą szpiegowie.
drucików oplątali siecią
serca i myśli nasze,
cóż, że knują, notują, donoszą,
że słowa moje kradną w obleśnym podsłuchu
— jeśli czarnymi wargami

ebonit głos Twój niesie z oddala
i jeśli dzwonek budzący po nocy
nie alarm, lecz szczęście bliskości ogłasza.

Chwalę was fale radiowe
nerwy bezcielesnego eteru,
którymi świat do mnie płynie
mową tysięcy narodów, muzyką sfer.

Chwalę was lampy — katody
wstydliwym żarzące się blaskiem
sekrety niebom kradniecie,
niesiecie ku mnie bliskość jedyną
przez wojny, fronty i morza
znakiem braterstwa-jedności.

I cóż, że plują w mikrofon
spazmem obłędu i walki
faryzeusze faszyzmów, prorocy ginących wiar,
cóż że brzęczyki brutalne
głuszą muzykę sfer —
że gwiżdżą SOS'y szalone
miast konających i ujarzmionych krajów,
chwalę was wzniosłe anteny,
którymi faluje nasz byt.

Chwalę was samoloty
ptaki zuchwałe, serca stalowe ,
śmigi bijące śmietanę chmur
i śpiewające w bezmiarze
radość szybkości i bliskość jedyną.

Cóż, że was ręka mordercy
w posłańców śmierci zamienia,
cóż, że ogniami plujecie
w przegniłe otchłanie miast,
to wasze prawo — to przestrzeń
gwiazdami brzemienna tak śpiewa.

Morza i brzegi dalekie
mostem radosnym łączycie
niesiecie bliskość jedyną
bracia lotnicy
i gdy zaszumią nam nocą
skrzydła i śmigi wasze,
gdy sen nasz warkotem motorów brzmi
miłość ogłasza wasz huk
miłość i bliskość

i przestrzeń nie jest już próżnią
i noc już nie jest ciemnością
płyną eskadry, warczą motory,
płoną miasta szalone,
pęka niebo
i nowa się przestrzeń otwiera,
rośniemy i ręce nasze
słońc dotykają jaskrawych
i śpiewa nowa muzyka
szaleńcom śpiewa na zgubę
ludziom jedność i braterstwo ogłasza
padają słupy graniczne
miesza się tłum, słowa nowe układa.

FLORIAN SOKOŁÓW

OBITER DICTA

Niema tematu stwarzającego więcej pokus do wypisywania nonsensów, niż „charakter narodu“. Trudno nie zgodzić się z tym spostrzeżeniem p. Desmonda MacCarthy, świetnego krytyka literackiego. Wypowiadanie sądu o milionach nieznajomych jest rzeczą co najmniej ryzykowną, zwłaszcza, gdy chce się czegoś dowieść, wyciągać jakieś wnioski *pro* lub *contra*. P. MacCarthy uważa, że jeśli taki pisarz ma pretensje do naukowości i wyznaje teorię „rasową“, książkę jego można od razu wrzucić do kosza, jako „*unsound*“. Na 100 tego rodzaju utworów 99 jest zazwyczaj produktem świadomej lub nieświadomej propagandy. A jednak, zdaniem jego, to, co nazywamy „charakterem narodowym“ faktycznie istnieje, aczkolwiek ulega zmianom, często bardzo szybkim, i nie łatwo daje się zdefiniować bez wpadania w przesadę i fałsze. Najzdradliwszą pułapką jest zwykle tendencja do przypisywania różnych cech narodowych pochodzeniu. „Tylko idiota — twierdzi p. MacCarthy — uważa, że różnice pomiędzy arystokratą a proletariuszem angielskim są wynikiem „innej krwi“. Spowodowane one są warunkami zewnętrznymi, sytuacją ekonomiczną, zwyczajami, tradycjami. Mało jest Anglików, w których żyłach nie płynie dzisiaj krew Plantagenetów. Najlepszą metodą studiów nad charakterem narodowym jest badanie jego przejawów na przestrzeni wieków, a szczególnie w czasach ostatnich, które mają zawsze na ukształtowanie tego charakteru największy wpływ. Krytyk angielski wypowiada powyższe uwagi, chwaląc książkę p. D. W. Brogana p.t. „*The English People*“, która tym się właśnie wyróżnia, że nie ma w niej ani śladu „rasistowskiego nonsensu“. Książka ta, przeznaczona głównie dla publiczności amerykańskiej, przeprowadza dużo ciekawych analogii i podkreśla kontrasty pomiędzy Anglią i Ameryką. Jest dobra i pouczająca. Autor nie sili się na przemądrzałe syntezy „narodowe“, nie zagłębia się w tajniki Voelkerpsychologie (specjalność niemiecka z ładnym, jak widzimy, rezultatem) natomiast kreśli na podstawie gruntownej znajomości Anglii w różnych jej przekrojach, oraz własnych wrażeń i obserwacyj, możliwie najobjektywniejszy obraz tego kraju i narodu. Książkę tę bardzo polecam tutejszej publiczności polskiej, czytającej po angielsku. Wytłumaczy ona wiele rzeczy niezrozumiałych i wniesie trochę światła do panującego wciąż jeszcze wśród emigracji polskiej „black-out'u“ na temat Anglii.

Jest rzeczą doprawdy zdumiewającą, że fala naszego uchodźctwa która po upadku Francji przybiła do brzegów tej gościnnej wyspy, tak mało wchłonęła w siebie atmosfery swego nowego otoczenia. Zdawałoby się, że bliski kontakt z kulturą, która przed wojną była przedmiotem podziwu wielu Polaków, winien mieć wpływ atrakcyjny. Tymczasem obserwujemy często coś wręcz przeciwnego. Oczywiście, są wyjątki, lecz gdy czyta się niektóre publikacje polskie na tutejszym gruncie, można tylko ubolewać, myśląc o ich autorach, że „coelum mutant non animam qui trans mare currunt". Niedawno zwrócono moją uwagę na artykuł wyjątkowo pod tym względem charakterystyczny. Autor wprawdzie odkrywa cechy dodatnie Anglii, ale dopiero od września r. 1939 a ściślej mówiąc od września r. 1940, t.j. od bitwy powietrznej nad Anglią. To, co było przedtem, t.j. cała przeszłość Anglii, raziła, zdaniem jego, „człowieka kontynentu". Anglia dopiero teraz sporządniała, bo dawniej była tylko egoistyczna, uprawiała kult pieniądza i t.d. Nie wiem jaki tytuł ma ten autor do przemawiania w imieniu nie tylko Polski, lecz całej Europy, ale sądzę, że człowiek, który stawia sobie bardzo ambitne zadanie „próbę zbliżenia myśli Kontynentu i myśli W. Brytanii", powinien przynajmniej wiedzieć trochę więcej o Anglii. Pomijam już chorobliwą megalomanię i histeryczny patos, których żaden Anglik nie zrozumie. W tragediach, jakie wszyscy przeżywamy, w koszmarze tej wojny, która jest nie tylko wojną państw i narodów, lecz wstrząsem sięgającym głęboko w podstawy życia ludzkiego — *Ce n'est point une bataille, c'est le changement de front de l'Univers* — potrzebne jest kojące słowo wiary w lepsze jutro, potrzebne jest zrozumienie tych, którzy razem z nami walczą a nie pretensjonalne frazesy i nauki moralne prowincjonalnych Kolumbów, którzy teraz dopiero odkryli Anglię.

* * *

Można mieć sto razy słuszność a nie trafiać do przekonania tych, o których chodzi, w danym wypadku opinii brytyjskiej, jeśli nie bierze się pod uwagę rzeczy najważniejszej w każdej propagandzie, a mianowicie, aby była dostosowana do psychiki i mentalności ludzi, dla których jest przeznaczona. Mam wrażenie, że w polskich wystąpieniach popełniane są często pod tym względem błędy, których łatwo można byłoby uniknąć. Dotyczą one zarówno podejścia, jak i sposobu argumentacji.

Nie trzeba nigdy pouczać Anglików, co jest dla nich dobre. Oni sami wiedzą o tym i aczkolwiek są bardzo tolerancyjni dla obcych krytyków, wolą swoich. Ciągłe przypominanie, że polityka ich była zła, że ponoszą odpowiedzialność za nieszczęścia innych narodów, że gdyby nie było appeaserów, toby nie doszło do wojny itd., powtarzanie oklepanych argumentów, staje się w końcu dokuczliwe a nawet nieznośne.

Apodyktyczne sądy rażą Anglików. Umysł angielski jest zawsze pełen wątpliwości przy wyprowadzeniu wniosków a nawet stwierdzaniu faktów. Często może to się wydawać cudzoziemcowi nielogiczne, ale Anglicy jakoś dają sobie radę z tą swoją logiką. Na ogół należy raczej apelować do ich „fair play", do poczucia sprawiedliwości i do sentymentu, podkreślając przede wszystkim *stronę moralną* sprawy a mniej jej inne, skomplikowane i trudne do zrozumienia aspekty.

Należy jak najmniej posługiwać się ogólnikami, natomiast podchodzić do problemu konkretnie, rzeczowo, bez przesadnej elokwencji. Anglicy lubią dobry styl, ale nie upajają się dźwiękiem frazesów. Mniej słów, więcej myśli i faktów. *Under statement* jest zawsze bardziej przekonywujące dla nich, niż *over statement.* Lepiej jest unikać hipotetycznych twierdzeń i nie rozumować w trybie pozaprzeszłym warunkowym: coby było, gdyby. . . Jest rzeczą znaną, że Anglicy nie zajmują stanowiska wobec hipotetycznych faktów i nie posiadają umysłu spekulatywnego. Rozumują ostrożnie na podstawie tego, co jest, lub co wydaje im się prawdopodobne w najbliż-

szej przyszłości, nie wybiegając myślą za daleko naprzód. *Don't cross the bridge before you reach it* — mówi przysłowie angielskie. Nie jest to bynajmniej brakiem imaginacji, lecz raczej owocem doświadczenia, które nakazuje im zbytnio się nią nie kierować w rzeczach polityki praktycznej. Anglicy wydali wielkich poetów i utopistów społecznych, a więc nonsensem jest przypisywanie im braku wyobraźni w ogóle, natomiast trzymają ją na uwięzi we właściwym miejscu.

Sądy należy wypowiadać dyskretnie, jasno podkreślając swój punkt widzenia poparty faktycznymi dowodami, bez pretensji do stuprocentowej racji. Nikt niema tyle racji, by nie pozostało jej choć odrobinę dla strony przeciwnej. Zupełnie niedopuszczalne jest „besserwisserstwo". W polemice nie należy od razu wywalać na stół wszystkiego, co się wie i uważać swego przeciwnika za głupszego i mniej wykształconego od siebie. Jest to oznaką kiepskiego smaku i nigdy nie podnosi w oczach Anglików słuszności własnych argumentów.

Trzeba unikać sarkazmu i wszelkiego rodzaju złośliwości. Paradoks, anegdota, jowialny dowcip, mogą być odpowiednią okrasą argumentów, ale nie przemądrzałe koncepty.

Nie jest przekonywujące dla Anglików przemawianie w imieniu „całego narodu", co jest tak częste u publicystów polskich. Krytyczny Anglik zakwestionuje tego rodzaju mandat. Wystarczy zupełnie, gdy mówi się w imieniu swego stronnictwa, lub zwyczajnie we własnym imieniu.

Należy unikać wyważania otwartych drzwi i kruszenia kopii o same zasady, zwłaszcza gdy chodzi o zasady bynajmniej przez Anglików nie kwestionowane, jak na przykład prawo mniejszych narodów do niepodległego bytu. Zamiast powtarzania truizmów lepiej starać się wykazać w jakim stopniu t.zw. „małe narody" zdolne są do współpracy w utworzeniu takich, czy innych związków, czy federacyj. Na to przede wszystkim trzeba kłaść nacisk i to tylko może wytrącić broń z ręki angielskim zwolennikom podziału Europy na sfery wpływów wielkich mocarstw. Żadnemu Anglikowi i w ogóle nikomu nie może uśmiechać się myśl, że Europa znowu będzie rozbita na mnóstwo państewek, kłócących się między sobą, czyli, że powrócimy do dawnego stanu rzeczy.

Byłoby większym pożytkiem dla sprawy, gdyby ci, co tracą tyle czasu i energii na wojowanie z „Times'em" i Wellsem, przekonywali Anglików, że odrodzona Polska powróci do swych najlepszych tradycyj i stanie się ośrodkiem ugrupowania pokojowego na wschodzie Europy.

* * *

Anglicy nie mają specjalnego respektu dla wielkich liczebnie, czy terytorialnie narodów, ani też dla wielkich ludzi. Wręcz przeciwnie. Indywidualizm angielski odrzuca tego rodzaju teorie. Anglia nie raz występowała jako champion wolności małych narodów. Macaulay pisał, że wielcy ludzie to „pasorzyty, żerujące na ciele mas". W żadnym bodaj kraju fetyszyzm nie natrafia na grunt tak niepodatny. Już poza innymi względami, religia — Anglicy to naród głęboko religiiny — nie pozwala im na stosunek bałwochwalczy do wielkości ludzkiej.

Nie trzeba zbytnio przejmować się gdy w książce angielskiej, lub piśmie angielskim znajdujemy poglądy na temat przyszłej organizacji Europy, które nam nie odpowiadają. Można i trzeba je zwalczać, ale nie przesadzajmy ich znaczenia. Jeśli chodzi o stosunek zasadniczy szerokiej opinii angielskiej do problemu małych narodów, nie sądzę, by zmienił się on w ciągu ostatnich 29 lat. Słynna mowa Lloyd George'a, wygłoszona po ataku Niemiec na Belgię, nie straciła nic ze swej aktualności. Warto przypomnieć tu jej charakterystyczny ustęp: „*Swiat — powiedział Lloyd George — wiele zawdzięcza małym narodom i małym ludziom. Teoria wielkości — trzeba koniecznie być wielkim Imperium, wielkim narodem, wielkim człowiekiem*

— *jest teorią niemiecką. Fryderyk Wielki dobierał sobie wojowników według wzrostu i tradycja ta stała się polityką Niemiec. Stosują one to kryterium do narodów, uznając tylko „six-foot-two nations“ (narody dryblasy). Ale świat ma wielki dług wobec „five-foot-five nations“. One to wydały nieprzemijającą literaturę. Wspaniała literatura nasza pochodzi z okresu, gdy Anglia była nie większa, niż obecna Belgia, a walczyła z potężnym imperium. Czyny bohaterskie, które stały się natchnieniem ludzkości były czynami małych narodów, walczących o wolność. Zbawienie ludzkości zesłane było przez mały naród!*

I dzisiaj każdy Anglik się z tym zgodzi. Imperializm angielski końca ubiegłego wieku, bynajmniej nie porwał za sobą mas. Zwalczało go stronnictwo liberalne, kładące nacisk na reformy wewnętrzne w „*Little England*“. Zwalczała go zawsze Labour Party. Maksymą, którą głosił Gladstone było „*what is morally wrong cannot be politically right*“. Nie wynika stąd, że Albania lepsza jest od St. Zjednoczonych dlatego, że jest mała i że Anglicy mają sympatię dla nacjonalizmów małych narodów, ale zawsze tak było, że strona słabsza, czy to państo, czy też mniejszość narodowa, znajdowały życzliwy oddźwięk i poparcie opinii angielskiej. Nie ma powodów do obaw, że reakcje jej będą inne po tej wojnie.

* * *

Często słyszymy narzekania, żė opinia ta jest bezkrytyczna w stosunku do Rosji Sowieckiej, że w sporze polsko-rosyjskim zapomina o *fair play*, stając po stronie silniejszego a nie słabszego. Ten surowy osąd nie bierze pod uwagę okoliczności bądź co bądź dość ważnej, a mianowicie, że wojna ma swoje wymagania, które nie mogą być dobre, bo wojna jest złem, że wszystko w niej podporządkowane być musi jedynemu bezpośredniemu celowi — zwycięstwu nad nieprzyjacielem, wobec którego inne sprawy i stanowiska schodzą na plan dalszy. W takich okolicznościach przejawy opinii mają z natury rzeczy charakter tylko koniunkturalny a nie zasadniczy, i błędem jest wyciąganie z nich wniosków na dalszą przyszłość. Na tej płaszczyźnie wojennej silniejszy sojusznik ma zawsze większe znaczenie od słabszego, ale z tego bynajmniej nie wynika, że temu silniejszemu opinia przyznaje rację.

Anglicy dobrze zdają sobie sprawę, że obecny front sprzymierzonych nie jest monolitem, tym bardziej więc starają się wszelkimi sposobami utrzymać jego zwartość. I to właśnie w hierarchii imperatywów stoi na pierwszym miejscu. Niejednemu Anglikowi tak samo, jak i niejednemu członkowi innych narodów alianckich, gdy myślą o dalszej przyszłości, może wydawać się, że to co zachodzi obecnie jest czymś w rodzaju zawodów eliminacyjnych, że po wyeliminowaniu Hitlera i jego wspólników z ringu, zacznie się konflikt pomiędzy pozostałymi zapaśnikami o mistrzostwo świata przy czym nie ma pewności, kto dojdzie do finału: zachodnie demokracje, czy Rosja Sowiecka, socjalizm, czy komunizm! liberalizm, czy etatyzm, nacjonalizm, czy kosmopolityzm? Jest to naprawdę wojna ideologiczna. W każdym kraju, gdzie istnieje wolność myśli, ścierają się różne światopoglądy i programy polityczne. Ale wszystkie te różnice schodzą dzisiaj na dalszy plan wobec przepaści, jaka dzieli państwa alianckie od państw osi, a ściśle mówiąc od *faszyzmu pangermańskiego*. Wyjąwszy bowiem Japonię, wszystkie inne faszyzmy są całkowicie opanowane przez hitleryzm, który jest wrogiem publicznym Nr. I. Jakikolwiek więc będzie dalszy bieg wypadków, w interesie wszystkich leży pokonanie tego wroga, albowiem jego zwycięstwo, lub kompromisowy pokój z nim, byłby bezpośrednim ciosem śmiertelnym, lub też w najlepszym wypadku, odroczeniem wyroku dla każdego z osobna lub wszystkich razem.

Dlaczego dla przeciętnego myślącego Anglika ten „faszyzm pangermański “stanowi największe niebezpieczeństwo? Odpowiedź na to pytanie wyjaśni również obecne nastawienie opinii angielskiej wobec So-

wietów — poza względami czysto strategicznymi. Pomijając już cały bezmiar barbarzyństwa, jakie wykazały Niemcy w tej wojnie, ich ideologia jest w samym swym założeniu podeptaniem najelementarniejszych praw ludzkich. Według niej świat po to został stworzony, by służyć rasie „nordyckiej" a ściśle mówiąc interesom Niemiec. Innym narodom albo odmawia ona zupełnie prawa do egzystencji, albo uważa je za wasalów lub niewolników, którzy są po to, by pracować dla Herrenvolku, jak zwierzęta domowe. Przed wojną nie traktowano w Anglii tych bzdur poważnie, bo istotnie trudno było brać je na serio. Okazało się, że był to fatalny błąd. Niemcy, a przynajmniej olbrzymia część ich, istotnie w nie uwierzyła, co więcej, stały się one dla niej czymś w rodzaju dogmatu religijnego.

Często słyszało się przed wojną zdanie, że to tylko ekscesy propagandy na użytek wewnętrzny, potrzebne Hitlerowi dla rozgrywek w samych Niemczech. Pewien mąż stanu, któremu zarzucano przesadne obawy przed Niemcami, na zapytanie, czy wie, że psy, które głośno szczekają, nie gryzą, trafnie odpowiedział: *Ja wiem, ale nie wiem, czy psy wiedzą i dlatego boję się ich sobaczego rodu*". Psy niemieckie o tym najwidoczniej nie wiedziały i świetnie wywiązały się ze swej roli. Oczywiście wszelkie porozumienie z nimi jest wykluczone. Nie można z nimi dyskutować, trzeba ich zbombardować. Tak mniej więcej myśli sobie przeciętny Anglik. Zostawmy jednak Niemców. Trudno pisać o rzeczach oczywistych, nie powtarzając utartych truizmów.

* * *

Inni mówią: To wszystko prawda, ale Sowiety są również dyktaturą i totalizmem. Ich mentalność, ich bezwzględne metody, ich system, przeciwny zasadom demokracyj zachodnich jest również obcy i nienawistny ludziom, wychowanym w tradycjach wolności, w poszanowaniu dla jednostki ludzkiej. Mówią oni, że Sowiety, zawierając pakt z Niemcami, przyczyniły się do wybuchu wojny, że mają na swym sumieniu dużo ciężkich grzechów wobec innych narodów, że ich imperializm niewiele różni się od agresji niemieckiej. Wielu ludzi jest na tym punkcie w ciągłej rozterce, psychologicznie zupełnie zrozumiałej. W rozterce tej tracą oni poczucie proporcji i mierzą jednakową miarą rzeczy całkiem różne. Nawet najzaciętsi wrogowie komunizmu nie mogą zaprzeczyć, że tkwi w nim wielka społeczna idea. Komunizm rosyjski wprowadził ideę tę w życie metodami, które budzą zgrozę wśród wolnych, demokratycznych narodów świata. Metody te uznane są za okrutne, złe, nie prowadzące do celu, zabijające samą ideę. Ale to zło nie tkwi w komunizmie *integralnie*, nie musi być z nim logicznie związane, może być uważane za etap przejściowy, podczas gdy zoologiczny rasizm jest kwintesencją hitleryzmu, bez której nie można sobie wyobrazić tego ruchu. W zmienionych warunkach, przy zastosowaniu innych metod komunizmu, współżycie pokojowe z narodami, które go wyznają, jest do pomyślenia, podczas gdy współżycie z pangermańskim faszyzmem jest absurdem.

Tak rozumują Anglicy i dlatego sądzą, że ustosunkowanie się do Sowietów wymaga zgoła innego podejścia, niż stosunek do Niemiec. Z komunizmu, zdaniem ich może zrodzić się coś pozytywnego dla całej ludzkości, hitleryzm jest zaprzeczeniem takiej możliwości. Tak mniej więcej można byłoby w ogólnych zarysach scharakteryzować stanowisko szerokiej opinii angielskiej, dla której wojna i pokój jest „a moral issue". Potępienie metod, ale uznanie możliwości współżycia z Sowietami. W Ameryce, gdzie wiceprezydent Wallace rzucił hasło pokoju „prostego człowieka" — po głębokich przeobrażeniach socjalnych — panuje podobny stosunek do Sowietów, jakkolwiek działają tam potężne czynniki izolacjonistyczne i antysowieckie. A należy zaznaczyć, że Anglia i Ameryka są krajami, gdzie komunizm natrafił na grunt najbardziej niewdzięczny i gdzie wpływy jego w szerokich masach są minimalne.

Pokój prostego człowieka jest hasłem najlepiej sharmonizowanym z tradycjami egalitarnej demokracji amerykańskiej. Lincoln powiedział, że Pan Bóg musi lubić prostych ludzi, bo ich tak wiele stworzył. . . Prosty człowiek w jednym kraju nie ma pretensji do prostego człowieka w innym kraju i nigdyby z nim nie wojował. Zabija on i ginie dlatego, że zmuszają go do tego ludzie „nieprości" chciwi *władzy*, *pieniędzy* i *sławy*, dyktatorzy i ich służalcy, militaryści i handlarze bronią, demagodzy i doktrynerzy, karierowicze i kombinatorzy, megalomani historii i szantażyści frazesów patriotycznych, ropuchy nadęte kompleksem wyższości, źli nauczyciele, zatruwający młodzież gazami nacjonalizmu — wszystkie te pasorzyty tuczące się na ciele narodów. Niemcy nie mają monopolu na nich, ale tam to zło doprowadzone zostało do perfekcji, tam widzi się je w całej potworności, skondensowane, zorganizowane, widzi się odbicie jego w najdrobniejszych szczegółach, jak w powiększającym olbrzymio zwierciadle. . .

DOMINIK SZCZERBIC i S. OSIEK

ANGLIA PLANUJE ODBUDOWĘ

„W pobliżu tej części Tamizy do której przylega kościół w Rotherhithe, gdzie budynki na pobrzeżu są najbrudniejsze a statki na rzece najbardziej czarne od pyłu barek węglowych i dymu z gęsto zabudowanych, niskich domów, rozsiadła się najbardziej ohydna i niesamowita z tych wszystkich miejscowości, które kryją się w Londynie, a których większość mieszkańców nie zna nawet z nazwy. Aby się tam dostać trzeba przejść przez kręte, gęsto zabudowane, wąskie i pełne błota uliczki, zamieszkałe przez bardzo nieokrzesaną i ubogą ludność, której zatrudnienie nie odbiega od poziomu na którym żyją. Najtańsze i najlichsze towary są nagromadzone w sklepach; najpospolitsza i najordynarniejsza odzież wisi na drzwiach kramów i na parapetach i oknach domów.

„Potrącając bezrobotnych wyrobników najniższej klasy, tragarzy, węglarzy, bezczelne kobiety, dzieci w łachmanach, wszelką hołotę i wyrzutki rzeki, tylko z trudem można się tamtędy przedostać napotykając na każdym kroku wstrętne zapachy i widoki dochodzące z wąskich uliczek, które odgałęziają się na prawo i na lewo. Z rozlicznych składów i magazynów dochodzi ogłuszający huk zderzających się ciężkich fur pełnych towaru. . ."

„W końcu dochodząc do celu, w uliczkach bardziej odległych i mniej uczęszczanych niż te przez które przeszliśmy, mijamy chwiejne fronty domów pochylających się nad chodnikami i gołe mury trzęsące się pod wpływem kroków, kominy na pół rozwalone, okna chronione zardzewiałymi kratami, przeżartymi przez czas i brud i wszelkie możliwe ślady nędzy i zaniedbania. . ."

„. . . ktoś obcy patrząc z jednego z drewnianych mostków nad kanałem, zobaczy mieszkańców tych domów jak wychylają się z tylnych okien i drzwi i jak spuszczają wiadra i kubły do których nabierają wodę. A gdy odwróci wzrok od ludzi do samych domów, ogarnie go zdziwienie na widok, który zobaczy. Zwariowane krużganki wspólne dla tyłów pół tuzina domów, z dziurami, przez które można patrzeć na zamulony kanał u dołu; okna rozbite i łatane z wystającymi tyczkami na suszenie bielizny, której tam nigdy nie ma; pokoje tak małe, tak zagnojone i tak ciasne, że powietrze wydaje się w nich zbyt zepsute nawet na ten brud i paskudztwo, które zawierają. Drewniane wykusze, wysunięte ponad

błotem i grożące zawaleniem się, ściany posmarowane brudem i chylące się do upadku, wszelkie ohydne oznaki nędzy, wstrętne ślady gnoju, zgnilizny i odpadków, to wszystko mieści się na pobrzeżu Folly-Ditch".

To był East-End Londynu sto lat temu, tak jak go widział Dickens w Oliver Twist'cie. A oto obraz „slums'ów" t.j. ubogich i zaniedbanych dzielnic miast angielskich jak je widzi pisarz współczesny. (Howard Marshall: „Slum". wyd. William Heinemann, London, 1933.)

„Jest to szara, mała uliczka, wybudowana około 70 lat temu. Szereg niskich domów czarnych od brudu. Tu i ówdzie rozbite okna zalepione papierem. Roje dzieci krzyczących i piszczących bawi się po rynsztokach. Kawały papieru rzucone podmuchem wiatru o sztachety. Na końcu każdego bloku domów jest szynk a ponad ogólny hałas słychać okrzyki handlarzy z sąsiedniej ulicy targowej i syreny okrętów znad rzeki. Czy wiecie, że wielu mieszkańców slums'ów jest z lekka głuchych? Jeden dzień spędzony w przeludnionej izbie z płaczącymi niemowlętami i krzyczącymi dziećmi łatwo wytłumaczy wam dlaczego. Z naszej uliczki wybiegajną inne. Wszystkie takie same, szare i wyprane z kolorów. Gdy patrzeć na nie z wysoka widać posępny sznur starych dachów ciągnący się daleko. Nie zdają się mieć te dachy końca a ci którzy w tych domach mieszkają, żyją tu na zawsze. . ."

Czy pamięta Pan, panie redaktorze X., jak tłumaczył mi Pan raz, że nie należy pokazywać ciemnych stron Anglii, bo nasi wstecznicy chwytają się tych faktów, jak Samson oślej szczęki. "Oto wasza Anglia", krzyczą, „oto ci zarozumiali hipokryci leniwi i nieudolni. Tak wygląda ich bogactwo i mądrość. I oni chcą wygrać wojnę!" I gromią wyimaginowanych Filistynów ku uciesze gawiedzi i gromadzą zasługi na wieczną rzeczy pamiątkę oraz jako tytuł dla doraźnej nagrody, ktorą wdzięczna ojczyzna powinna im przyznać w postaci orderu, albo lepiej jeszcze posady.

Nie zgadzałem się wówczas z Panem. To prawda, że doraźnie daje się głupcom możność bruzdżenia, ale trudno pokazać postęp, czy myśl postępową, mądrą i ludzką jeśli się nie ma podkładu porównania. Slumsy są faktem i nie zatai ich przemilczanie. Najgłośniej zresztą mówią o nich sami Anglicy. Slumsy są faktem w Anglii, w Walii, nawet w Szkocji, ale slumsy są tutaj badane, liczone i kontrolowane. Myśli się o nich, planuje się, naprawia i likwiduje w miarę przezwyciężania prywatnych interesów, tak silnie w tym kraju wolności gospodarczej okopanych. A każdy głos który podnosi się w tej sprawie daje świadectwo tej trzeźwej trosce z jaką światła Anglia podchodzi do wszystkich swoich bolączek. I choć porównywanie nie jest naszym celem, choć zakres tej pracy ogranicza się świadomie jedynie do opisania rozmaitych zjawisk angielskich a inteligencji czytelnika pozostawia wyciągnięcie wniosków, to jednak trudno nie zwrócić uwagi na fakt, że — na oko, bo nikt jej u nas nie mierzył, ani nie badał — nasza Polska bieda zazdrościłaby nieraz slumsom.

W jakikolwiek sposób podchodzi się do kwestii odbudowy Anglii po wojnie, sprawa slumsów zawsze wypływa i stanowi poważny punkt rozważań.. Slumsy są wynikiem nędzy. Stąd hasło „Freedom from Want", stąd plan Beveridge'a, stąd prace Sir John Boyd Orr'a, Seebohma Rowntree i innych. Slumsy są wynikiem nieoświecenia. I dlatego ta zapamiętała troska o oświecenie. Namiętne dyskusje o szkolnictwie i kształceniu poza szkolnym. Kluby dyskusyjne po fabrykach, stacjach Civil Defence, Home Guard'u i t.d. Owe tak inteligentnie prowadzone A.B.C.A. (Army Bureau of Current Affairs). Slumsy są wynikiem złej gospoarki budowlanej i dlatego owo szukanie nowych sposobów, nowych planów. Dlatego „Britain must rebuild", ów slogan tak popularny jak niewiele innych. Anglia ma slumsy. Anglia ma nędze. Anglia ma nieoświecenie. Ale Anglia wie o tym, myśli o naprawie i stara się naprawiać. Anglia rozważnie i trzeźwo planuje swą przyszłość. Struktura społeczna leży u

podstaw wszelkiego planowania. Nie ma planowania bez rozwiązania problemu ustroju społecznego i dlatego „leitmotywem" wszystkich prac związanych z odbudową, czy przebudową angielskich miast i wsi jest problem społeczny.

„Największy — jak Anglia Anglią — projekt wymiecenia slumsów jest w stadium wykonania. Wykonują go bomby niemieckie". Cytat ten z książki Ritchie Caldera: „Start planning Britain now" (Kegan Paul, 1941) polega na grubszym nieporozumieniu. „Blitz" niemiecki 1940 i 1941 roku zniszczył głównie uboższe dzielnice miast przemysłowych i stąd ten tak często w najrozmaitszych wariantach wypowiadany frazes o „zlikwidowaniu slumsów". Zresztą sam p. Calder wycofuje się połowicznie twierdząc nieco dalej, że budynki które zniszczono, były — bądź co bądź — miejscem zamieszkania ludzi, którzy do nich przywykli i którzy nie mieli niczego lepszego. Ale błąd leży jeszcze głębiej. Pewien antysemita powiedział mi raz w rozmowie, że Niemcy na swój zbójecki sposób rozwiązali kwestię żydowską w Polsce. Oba argumenty są na tej samej płaszczyźnie. Zarówno slumsy, jak antysemityzm są skutkami pewnych schorzeń społecznych a nie ich przyczyną, a zatem ich zlikwidowanie absolutnie niczego nie zmieni. Powstaną nowe slumsy a jeśli zabraknie Żydów, to skrupi się to na kimś innym.

Zniszczenie londyńskiego East-Endu miało jednak znaczenie propagandowe. Raz jeszcze wydobyło na jaw ową bolączkę, a tym razem w sposób zarówno tragiczny dla mieszkańców slumsów, jak i nad wyraz przykry i niewygodny dla tych wszystkich, którzy w „splendid isolation" swych „my home is my castle" chowali głowy w piasek. Ewakuacja matek i dzieci, zaraz po wybuchu wojny, zetknęła najszersze warstwy społeczeństwa angielskiego z nędzą slumsów, gdyż ewakuowani pochodzili głównie z najuboższych dzielnic wielkich fabrycznych miast. Slumsy, przez noc, stały się już nie tylko sprawą ludzi o czułym sumieniu społecznym, ale dotarły do świadomości najszerszych warstw.

Zniszczenie jakiego dokonały bomby niemieckie, choć olbrzymie materialnie a jeszcze większe sentymentalnie, nie jest bynajmniej głównym powodem dla którego odbudowa jest konieczna. Niedawno, Minister Zdrowia Ernest Brown podał w parlamencie następujące cyfry. Bomby niemieckie uszkodziły dotychczas na wyspach brytyjskich 2.750.000 domów, a więc jedną piątą wszystkich domów, jednak zaledwie 250.000 zostało zupełnie zniszczonych, względnie tak uszkodzonych, że przestały być zdatne do użytku. Ta strata została częściowo skompensowana ilością 135.000 domów wykończonych od wybuchu wojny. Jeśli się uwzględni, że nie buduje się obecnie nowych domów, niedobór jaki powstanie po wojnie może być znaczny. Jednak w Anglii nie znającej ciasnoty miast kontynentalnych jest sporo miejsca na ograniczanie się, więc problem ten—sam przez się—nie wywołałby tak gwałtownej kampanii za odbudową. Nie tylko wojna zmusiła Anglików do planowania odbudowy. Zmusiło ich do tego ich wrażliwe sumienie społeczne, zmysł estetyczny, który wzdraga się na widok spustoszenia jakie wyrządza bezplanowa gospodarka kapitalistyczna (przy czym znamienny jest fakt, że tym argumentem szermują niemal wszyscy zwolennicy odbudowy zarówno konserwatywni, liberalni jak i socjalistyczni) oraz inteligentne zrozumienie wymagań współczesnego życia.

II.

Czułe sumienie społeczne znalazło swój wyraz w planowaniu domu mieszkalnego. Nędza slumsów uzmysłowiła konieczność planowania mieszkań na wielką skalę. Bogaci, których stać na architekta i którzy, gdy planują swoje domy, korzystają z wszystkich przywilejów dobrego wychowania i wykształcenia i którzy, last but not least, mogą sobie pozwolić na „luksus" hygienicznego i estetycznego domu, nie potrzebowaliby plano-

wania na skalę państwową. Potrzebuje go niewątpliwie warstwa pracująca, robotnicy i farmerzy. Zdajemy sobie dzisiaj wszyscy sprawę z tego, że mieszkanie jest po pożywieniu drugą z kolei najważniejszą i podstawową potrzebą ludzką, ale podczas gdy planowanie odżywiania ludzkości natrafiało na opory przesądów i interesu prywatnego, to planowanie mieszkań jest dla człowieka XX wieku samo przez się zrozumiałe. Wszak u podstaw budownictwa zawsze było planowanie.

O jakim „home" marzy Anglik? To pytanie należy sobie przede wszystkim postawić i choć odpowiedź nie przesądza bynajmniej słuszności tego marzenia, ani nie może dyktować warunków odbudowy, czy przebudowy, jednak może oddać nieocenione usługi tym wszystkim, którzy będą powołani do planowania, a więc architektom, socjologom, politykom, lekarzom, urzędom państwowym i t.d. Ankietę na ten temat porzeprowadziła, znana czytelnikom Nowej Polski organizacja „Mass-Observation", która w marcu b.r. wydała raport p.t. „*People's Homes*" (John Murray, London, 1943).

Ankietę przeprowadzono w 12 miejscowościach. W pięciu — pośród mieszkańców starych domków, w trzech — pośród mieszkańców nowszych domków wybudowanych w osiedlach London County Council (L.C.C.), w dwu — t.zw. Garden Cities i w dwu — olbrzymich blokach mieszkalnych w dzielnicach robotniczych. Ogółem „wypytano" 1.100 osób.

Na wstępie daje „Mass-Observation" opis rozmaitych typów mieszkań, a ponieważ angielski sposób życia jest tak odmienny od naszego, więc warto się im bliżej przyjrzeć.

Stare domki: Są to przeważnie domy jednopiętrowe, jednorodzinne, takie jak je budowano w Anglii w drugiej połowie XIX wieku. Na parterze salon, kuchnia i zmywalnia a na piętrze 3 pokoje sypialne. Są to te domki które rzucają się w oczy, gdy wjeżdżamy pociągiem do jakiegokolwiek przemysłowego miasta angielskiego, monotonną jednostajnością, zda się, bez końca ciągnących się dachów i zaniedbanych tyłów domów, z niezmiennie takim samym wszędzie ogródkiem. Ten typ domu, który swego czasu snobował się tanią elegancją wykuszu, czy oszklonej werandy, jest dzisiaj zamieszkały przez najuboższą ludność. Parę cyfr zebranych przez „Mass-Observation" najlepiej te domki charakteryzuje.

35% mieszkańców stanowili rzemieślnicy i kwalifikowani robotnicy,
64% „ „ wyrobnicy,
76% domków miało swój własny ogródek.
20% miało własną łazienkę,
12% było własnością tych, którzy je zamieszkiwali.
Najwyższy czynsz wynosił 36/6 a najniższy 4/6 tygodniowo.

Garden City: Ten typ osiedli dobrze znany na kontynencie, gdzie współcześni architekci niebywale go rozwinęli, jest pochodzenia angielskiego. Datują się one z początku 19 wieku z czasów gdy rewolucja przemysłowa poczęła przemieniać zewnętrzny wygląd Anglii i gdy rozmaici entuzjaści, których w Anglii nigdy nie brak, poczęli troszczyć się o nowe formy społeczne. (J. J. Rousseau w sosie angielskim.) Powstały wówczas rozmaite osiedla, które ci reformatorzy budowali z myślą o polepszeniu okrutnej doli robotników owych czasów. Pierwszym takim osiedlem był New Lanark założony w 1800 roku przez Roberta Owen'a, proroka t.zw. utopijnego socjalizmu. Inne podobne, zakładane przeważnie przez właścicieli fabryk dla ich robotników, to: Saltaire — założone przez Sir Titusa Salta w 1853 r., Bournville — założone przez G. Cadbury w 1879 r., Port Sunlight — założone przez Sir W. Lewer'a w 1887 r. itd. Jednak dopiero z końcem 19 wieku ta praktyczna propaganda miast-ogrodów zdobyła sobie prawdziwe powodzenie. W 1898 r. Sir Ebenezer Howard wydał małą książkę p.t. „*To-morrow*: *A Peaceful Path to Real Reform*", która wywarła wielkie wrażenie na współczesnych i w wyniku jej wskazań założono w 1903 r. Letchworth Garden City a w 1920 r. Welwyn Garden City, oba w

Hertfordshire. Ideą Howarda było stworzenie osiedli miejskich łączących wszystkie cechy miasta, a zwłaszcza ową „community“ ludzi żyjących w jednym mieście, nad której zanikiem Anglicy tak boleją, z ideą „powrotu do natury“. Garden Cities miały być budowane naokoło istniejących miast jako miasta-satelity, oddzielone od właściwego miasta i jedne od drugich otwartą przestrzenią zieleni. Gminy tych miast ogrodów są właścicielami gruntów, na których są zbudowane. Miało to na celu zahamowanie spekulacji gruntowej. I znowu najlepiej określą typ badanych mieszkań i domów, cyfry „Mass-Observation“:

48% ludności było w wieku lat 40—60,
67% „ stanowili rzemieślnicy i kwalifikowani robotnicy,
27% „ „ wyrobnicy, reszta klasa średnia; wszystkie domy miały ogrody,
74% własne łazienki,
12% było własnością tych, którzy je zamieszkiwali.

Najwyższy czynsz wynosił 25/- a najniższy 8/6 tygodniowo.

Osiedla L.C.C. są to bardzo duże osiedla. Największe z nich, to Bacontree, liczące 110.421 mieszkańców, a przynajmniej 5 innych osiedli ma ponad 10.000 mieszkańców. „Powstanie tych olbrzymich osiedli, zamieszkałych prawie wyłącznie przez ludność robotniczą, które jeden samorząd budował na gruntach innego samorządu, bez odpowiedniego planu i bez przemyślenia problemów społecznych, które musiały wypłynąć, stworzyło warunki mieszkaniowe wyjątkowo ciekawe. Beznadziejne ubóstwo wyobraźni tak znamienne dla okresu międzywojennego, doprowadziło między innymi do rozrostu źle planowanych, jednoklasowych przedmieść . . .“ Domki są tu przeważnie jednopiętrowe o jednym lub dwu pokojach mieszkalnych oraz kuchence na dole i dwóch albo trzech sypialniach na piętrze. Wszystkie domy mają łazienki. Wiele z nich kuchenki gazowe. Wszystkie mają ogródki. Najwyższy czynsz wynosił 28/- a najniższy 13/- tygodniowo.

Bloki mieszkalne: Ten typ domów, raczej zbliżony do kontynentalnego, nie jest w Anglii popularny. Przegląd „Mass-Observation“ stwierdził, że na każdą osobę, która powiedziała, że chce mieszkać we „flat'cie“, było 10 osób, które wolały mieszkać w domku. Badane domy zamieszkałe były wyłącznie przez ludność robotniczą. Wszystkie mieszkania miały łazienki. Najwyższy czynsz wynosił 21/6 a najniższy 10/- tygodniowo.

Ankieta „Mass-Observation“ objęła zatem domy zamieszkałe niemal w 100% przez klasę robotniczą. Nie objęła slums'ów, choć wiele domków — zwłaszcza starszych — było na pograniczu, a wielu lokatorów mieszkało poprzednio w slums' ach. Większość ludzi lubi swe mieszkania. Największa ilość ludzi niezadowolonych mieszka w starych domach, budowanych przed 1900 r. i w niektórych blokach (flatach). Na ogół ludzie dodatnio wyrażają się o flatach, mimo to wolą domki. Choć badane mieszkania, czy domki były przyzwoite, jednak wiele spośród nich było wyraźnie złych. „Nie jest jednak prawdziwe twierdzenie jakoby ich mieszkańcy nie chcieli tych mieszkań opuścić gdyby im ofiarowano odpowiedniejsze, o czynszu, który byliby w stanie płacić“. Jasno z tego wynika, że slums'y nie są problemem budowlanym, lecz społecznym.

Trudno zmieścić w niniejszym artykule bogactwo tematów ankiety „Mass-Observation“. Nie tylko ze względu na brak miejsca, ale także dlatego, że sięgają one bardzo głęboko w tajniki angielskich zwyczajów i przyzwyczajeń które nawet dla najbardziej zangliczałych Polaków są wciąż „terra incognita“.

Bardzo ciekawe są statystyki ogrodów. Tylko 22% mieszkań i domków nie posiadało własnego ogródka. Ogrody są przeważnie dobrze utrzymane. (52% dobrze utrzymanych, 30% średnio, 18% zaniedbanych.) Ludzie, którzy odpowiadali na ankietę, na ogół nie myślą o zmianie domu.

Niektórzy byliby zadowoleni z jakiegoś drobnego ulepszenia, ale większość nie mówi o tym niepytana. Na pytanie gdzie chcieliby mieszkać: 49% odpowiedziało, że w domku; 21%, że „tutaj"; 12%, że w „bungalow" (parterowy domek); 5%, że we flacie; 13%—różne inne odpowiedzi. Marzeniem większości jest bezwątpienia mały domek podmiejski, posiadający modną kuchnię, ciepłą wodę doprowadzoną do kuchni i do zmywalni, łazienkę, małe i lekkie okna, wmurowane szafy, kominki węglowe, ale także we wszystkich pokojach kontakty na piecyki elektryczne, oraz ogródek. Przypomina to znaną piosenkę Rentgena: „Tak, mało do szczęścia nam brak i to tak niewiele kosztuje. . ."

Anglik choć jest przeważnie ze siebie bardzo zadowolony i choć poszczycić się może wcale poważnymi osiągnięciami we wielu dziedzinach, jest, zwłaszcza w budownictwie, zacofany. Mniejsza o powody, faktem jest, że marzenie Anglika pozostało grubo w tyle poza praktycznymi osiągnięciami krajów kontynentalnych i Ameryki. Trudno powiedzieć czyj styl jest słuszniejszy. Czy angielskie domki, czy kontynentalne bloki mieszkalne. Oba mają swoje uzasadnienie historyczne, oba zalety i strony ujemne i właściwie oba są każdemu społeczeństwu potrzebne. Domki są odpowiedniejsze dla rodzin z dziećmi. Flaty dla ludzi żyjących pojedynczo i dla małżeństw bezdzietnych.

Ciekawie porównuje budownictwo kontynentalne i angielskie Elizabeth Denby w książce p.t. „*Europe Re-Housed*" (Allen & Unwin, London, 1938). „To, że Anglia może się wiele nauczyć od kontynentu jest jasne dla każdego najbardziej przypadkowego podróżnika, który miał sposobność porównać nowe dzielnice współczesnego miasta w Anglii i na kontynencie. . ." „. . . jednak równocześnie zwraca uwagę fakt, że najbardziej postępowe osiągnięcia kontynentalne są angielskiego pochodzenia. Spółdzielnie (ko-operatywy), Towarzystwa Oszczędnościowe, z których funduszów finansuje się budowę nowych domów, „Garden Cities", współczesna higiena i kanalizacja, regulaminy budowlane i inspekcja, to wszystko przyszło z Anglii choć przeinaczono je i ulepszono na kontynencie". Problemem Europy jest zbyt gęste zabudowanie miast, problemem Anglii ich zbytnie rozprzestrzenienie. W Birmingham przeciętnie 20 osób żyje na jednym „acre", w Leeds 12, w Manchester 28. Jest tu zatem wiele miejsca na przebudowę w ramach istniejących miast. Wiedeń ma 14 mil kwadratowych zabudowanych gruntów na 1.800.000 mieszkańców. Manchester 43 na 759.000. Jednak Wiedeń ma 93 mil kwadratowych lasków, parków, ogrodów publicznych i działek a Manchester ma zaledwie 4 mile kwadratowe wolnej przestrzeni. Błąd zdaniem Miss Denby, leży w strukturze społecznej i snobiźmie angielskiej klasy posiadającej. Zamiast budować na peryferiach po 12 zimnych i pełnych przeciagów rezydencji na „acre", z dala od przyjaciół i od miejsca pracy, czyż nie lepiej powrócić do tradycyjnych domków angielskich z małymi ogródkami, w centrum miasta, po 30-40 domków na „acre" a na peryferiach budować wielkie bloki mieszkalne. Może wzmogłoby to życie towarzyskie tak w Anglii zaniedbane, a na pewno zaoszczędziłoby sporo gruntu na parki i wspólne pola gier, zabaw i odpoczynku dla mieszkańców wielkich bloków. Te bloki mieszkalne zaś, na pewno zyskałyby na atraktywności, gdyby projektodawcy bardziej pieczołowicie korzystali z doświadczeń kontynentalnych a właściciele mniej się snobowali wytwornością swych lokatorów a bardziej dbali o ich wygodę. Zresztą problem ten rozwiąże samorzutnie potrzeba. Po wojnie obecnej Anglię nie będzie stać na luksus bezmyślnej rozrzutności. „Budując, będzie musiała sięgnąć raczej po rozum, niż po pieniądze których może braknąć".

Trudno przewidzieć jak się rozwiną losy planowania angielskiego „home". Czy zwycięży racja techniczna, higieniczna i społeczna, czy też górę weźmie nieoświecony konserwatyzm angielskich mas. Prawdopodobnie logika

angielska, ów „common sense“ który z niejednej opresji już Anglię wyratował, podyktuje jakieś kompromisowe rozwiązanie. W każdym razie warto rozwój wypadków w tej dziedzinie obserwować. Nie pokaże nam Anglia wprawdzie technicznie niczego nowego (zresztą techniczna nowość nie jest sama przez się doskonałością a jej zmienna wartość sprawia, że nauka jaką można wyciągnąć jest rzeczą względną) ale wartoby podpatrzeć sekret angielskiego podejścia do spraw polityki społecznej która, w tym wypadku na pewno zagra ostrym konfliktem między angielskim sumieniem społecznym a interesem własności prywatnej.

III.

Dzisiejsze miasta angielskie są brzydkie. Indywidualnie, jeden czy drugi domek, może się spodobać ujmującą prostotą jakiegoś detalu— ogródka, krzyczącym kolorem drzwi i okien i t.p., ale całość angielskiej ulicy robi opłakane wrażenie. Nie zawsze tak było. Nie dalej jak 75-100 lat temu miasta angielskie przewyższały, pod każdym względem, miasta kontynentalne. Skwery, place i ulice, spokojne i „homely“ budowane od 17 wieku począwszy, były niezamierzonym — to prawda — ale niemiej autentycznym tworem sztuki. Domy budowane indywidualnie — nie seryjnie—miały mimo to tę jednolitość, która jest znamieniem dobrego stylu. Regent Street, czy Adelphi nie powstydziłyby się najlepszych kontynentalnych wzorów, ale nawet takie Bloomsbury, czy Belgravia budowane bez ambicji architektonicznych przez zwykłych, skromnych przedziębiorców budowlanych, odznaczają się w rysunku i stylu prostotą, która jest oznaką prawdziwego piękna. Upadek datuje się z epoki Wiktoriańskiej której styl — a raczej brak stylu — pokutuje po dziś dzień w „masówkach“ rozmaitych „Building Societies“.

Lepiej sprawa wygląda na wsi. Zarówno styl budynków jak i pejzażu jest na ogół dobry. Jednak i tu ostatnio spekulacja i bezplanowość wyrządziły poważne szkody i dlatego sprawa przebudowy i planowania wsi nie przestaje zaprzątać umysłów. Sprawa ta była przedmiotem badań t.zw. „*The Scott on Land Utilisation in Rural Areas*“. Raport komitetu Scotta został ogłoszony w sierpniu 1941 r. Wychodząc z założenia, że zamiarem rządu brytyjskiego jest utworzenie Centralnego Urzędu Planowania, raport wysuwa następujące sugestie. Istniejące organizacje architektów, o charakterze doradczym nie są wystarczające dla zaprojektowania i przeprowadzenia dalekowzrocznych planów przebudowy. Należy utworzyć stałe, przymusowe organizacje regionalne architektów. Zadaniem ich byłoby czuwanie nad właściwym i harmonijnym rozwiązaniem problemów związanych z przeplanowaniem okręgów wiejskich. W szczególności projektowanie dla ludności wiejskiej mieszkań i domków wyposażonych współcześnie, projektowanie szkół, ośrodków sportowych i rozrywkowych, domów ludowych, parków narodowych i rezerwatów i. t. d. Raport poświęca wiele uwagi zniszczeniom i zmianom dokonanym przez wojnę. Podkreśla konieczność ustalenia granic minimalnych i maksymalnych nowopowstających osiedli i zaleca zakładanie „pasów zieleni“ przedzielających zbyt rozprzestrzeniające się miasta. Dokładna analiza gruntów — zwłaczcza niezabudowanych — powinna doprowadzić do ustawy chroniącej je przed niewłaściwym użyciem.

Oprócz powyższego raportu rządowego istnieje cały szereg książek i broszur poświęconych zagadnieniu planowania wsi. Bardzo ciekawie ujmują te sprawy: Thomas Sharp: „*Town and Countryside*“ (Oxford University Press, 1932), tego samego autora: „*Town Planning*“ (Penguin, 1942) oraz Frank Pick: „*Britain Must Rebuild*“ (Kegan Paul, 1941). Wieś jest potrzebna miastu dla dwu powodów. Jako żywicielka ludności miejskiej i jako miejsce jej odpoczynku. Obie te funkcje wsi wymagają planowania. Planowanie rolnictwa znalazło już należyte zrozumienie. Zresztą nie leży

ono w płaszczyźnie zainteresowań powyższych autorów. Interesuje ich wyłącznie druga funkcja: wieś jako miejsce odpoczynku i rozrywki. Projekty, jakie wysuwają, idą w kierunku planowania krajobrazu i ochrony przed bezplanowym zabudowywaniem, które odbiera wsi jej harmonijny spokój. Poruszają sprawę parków narodowych i rezerwatów oraz tak istotną w Anglii sprawę wybrzeża morskiego.

Miasta są jednak największą troską angielskich planistów. Rzecz jasna! Wszak w miastach popełniono najwięcej estetycznych i użytkowych błędów, miasta są najtrudniejszym przedmiotem przebudowy i najbardziej zawzięte kontrowersje toczą się o nie. Bardzo plastycznie przedstawiają te sprawy: książka p.t. „*Rebuilding Britain*" wydana przez „Royal Institute of British Architects", wyżej wymienione książki Thomasa Sharpa oraz prof. S. D. Adsheada: „*A New England* (F. Muller, London, 1941).

„*Rebuilding Britain*" jest wydawnictwem propagandowym. Daje obszerny materiał ilustracyjny, przypomina słynne a podstawowe prace Tony Garniera o mieście przemysłowym i Le Corbusier'a „*La Ville Radieuse*", oraz apeluje w konkluzji o bardziej naukowe podejście do problemu odbudowy. Po podobnej linii idzie Sharp. Należy projektować dobre, miasta, któreby zapewniały swym mieszkańcom zadawalniające warunki rozwoju, w szczególności: higieniczne i przyjemne mieszkanie, zdrowe otoczenie, możność kształcenia się, odpoczynku i życia towarzyskiego poza domem, estetyczny wygląd, odpowiednią gęstość zabudowania i należyty dostęp światła, rzeczowe rozmieszczenie przemysłu i t.d. W Anglii istnieje bardzo wyraźny podział klasowy, który obecnie uwidacznia się w sposób niezbyt korzystny w podziale miast na dzielnice zamieszkałe przez robotników i na dzielnice zamieszkałe przez klasę średnią (choć i tu istnieją rozmaite odcienie, jak np. „lower middle-class" i „upper middle-class" i td). Dochodzi nieraz to tego, że jeśli np. na ulicę zamieszkałą przez „upper middle-class" wprowadzi się rodzina robotnicza, obniża to wartość czynszów i wywołuje ostre sprzeciwy. Pomijając nawet szkodliwość społeczną tego zjawiska stwarza ono niepożądane efekty estetyczne i utrudnia rzeczowe planowanie.

Najbardziej konkretne plany porusza jednak prof. Adshead. Podobnie jak inni, szkicuje swój projekt założenia nowych miast satelitów od 20 do 200 tysięcznych, ale wyznacza od razu konkretnie te miasta na mapie Anglii. Głównie interesuje go jednak projekt przebudowy Londynu. Londyn musi pozostać w ogólnym rysunku taki jaki jest: ze względów praktycznych i sentymentalnych. Zmiany dotyczą tylko szczegółów, lecz są to szczegóły, które wywrą swój wpływ na charakter nowego Londynu. Dwa są rodzaje tych zmian: indywidualne i planowane. Indywidualne zaleca odnawianie zniszczonych i starych budynków oraz budowanie nowych tam, gdzie ogólny plan zezwoli na inicjatywę prywatną. Dla planowania wysuwa następujące projekty:

1) Wybudowanie bulwaru na południowym brzegu Tamizy.
2) Przedłużenie i ulepszenie północnego bulwaru.
3) Wybudowanie nowego mostu i dojazdu na Charing Cross.
4) i 5) Nowe rozplanowanie dojazdów do mostów Waterloo i Lambeth.
6) Nowy przejazd przez Hyde Park.
7) Rozszerzenie kolei podziemnych.
8) Przebudowę „Central London" na południowym brzegu Tamizy.
9) Przebudowę City.

Plany prof. Adsheada są ciekawe i słuszne. Cechuje je typowa angielska praktyczność: wszystkie są wykonalne. I choć dotyczą raczej detali, wykonanie ich zmieniłoby oblicze Londynu, tak jak plany Hausmanna zmieniły oblicze Paryża.

Od czasu wydania książki prof. Adsheada sprawy posunęły się dalej naprzód. Rozmaite władze i organizacje opracowały i opracowują dalsze

problemy związane z przebudową Londynu i innych miast Anglii. M.i. istnieje bardzo ciekawy projekt architektonicznego rozwiązania otoczenia katedry św. Pawła, które zostało zniszczone podczas blitzu.

IV.

Skomplikowanie współczesnego życia stawia jednak oprócz kwestii społecznej, czy estetycznej, cały szereg zagadnień równie ważnych i istotnych, choć nie tak starych.

Więc przede wszystkim kwestię przemysłu. Jeśli Pickwick mógł rozróżniać tylko pomiędzy miastem a wsią, to dla nas dzisiaj wyrósł trzeci czynnik. Przemysł. Równie ważny rozmiarem i potrzebą a najzupełniej odrębny od obu poprzednich. Bezplanowa gospodarka postawiła nas wprawdzie przed faktem dokonanym bardzo ścisłego zespolenia przemysłu i miasta a to zespolenie uległo na skutek wojny i jednostronnego rozrostu przemysłu dalszym komplikacjom, jednak sprawa ta jest tak istotną i w pewnym sensie groźną, że zajmuje poważne miejsce w angielskich rozmyślaniach nad przebudową.

Stan obecny jest nieodpowiedni. Ze względów zdrowotnych. Dymy i opary unoszące się nad miastami fabrycznymi są poważną groźbą dla zdrowia, zwłaszcza dla zdrowia dzieci. Ze względów estetycznych — gdyż nie każdą fabrykę można dostosować do otoczenia, nie mówiąc już o tym, że zależy to również od dobrej woli właściciela, którą spotyka się tylko w najrzadszych wypadkach. Ze względu na sprawność samego przemysłu, który wymaga specjalnych warunków transportowych i sił roboczych, które powinny być odpowiednio rozmieszczone. Ciekawą ilustracją obecnego stanu rzeczy jest sprawa fabryki Forda w Dagenham. Ford przeniósł swą fabrykę, która poprzednio była w Manchester, do Dagenham przy ujściu Tamizy. Był to jeden z rzadkich wypadków kiedy prywatną firmę stać było na racjonalne planowanie. Wybrano Dagenham prawdopodobnie ze względu na dogodniejsze możliwości dowozu surowców Tamizą, ze względu na prawdopodobną taniość gruntów budowlanych i pewnie też dlatego, że w Dagenham łatwo było o robotników. Ale gdy fabryka już była gotowa, duże osiedle L.C.C. w Becontree — tuż obok — postawiło w umowie ze swymi lokatorami warunek, że nie wolno im pracować poza obrębem L.C.C. — a więc m.i. w Dagenham. Ten i inne podobne wypadki świadczą o potrzebie planowania w tej dziedzinie na skalę państwową. „*Report of the Royal Commission on the Industrial Population*“ wydany w r. 1940 t.zw. Raport Barlow'a, zawiera bardzo wiele uwag o wadliwości istniejącego ustawodawstwa, które jest zbyt rozdrobnione i zbyt sztywne jak na olbrzymie i nieraz gwałtowne przemiany struktury przemysłowej Anglii. Raport zaleca utworzenie centralnej władzy, której celem byłoby m.i. planowanie przebudowy zbyt gęsto zabudowanych okręgów miejskich, decentralizacja i rozprószenie zarówno samych fabryk jak i ludności robotniczej z tych okręgów, planowanie równomiernego rozmieszczenia przemysłu na całym obszarze Anglii, kontrola, i gdzie trzeba, unifikacja wszystkich regionalnych projektów przebudowy i t.d.

Nie ma stałości przemysłu. Potrzeby ludzkie się zmieniają i zmieniają się warunki. Postęp techniczny likwiduje jeden typ fabryk a stwarza inny i dlatego sprawy te powinny być pod stałą kontrolą.

Innym problemem jest sprawa dróg i komunikacji. Polakom wydaje się ta angielska troska o drogi paradoksalną. Wszak angielski status quo był nieosiągalnym marzeniem przedwojennej polskiej rzeczywistości drogowej. Anglicy jednak przewidują — prawdopodobnie słusznie — dalszy olbrzymi rozrost przemysłu samochodowego, który rozwiąże problem komunikacji do pracy i do domu. Ludzie będą mogli jechać do pracy na odległość od 60 do 100 mil, nie używając na podróż więcej czasu niż czynią to w obecnych warunkach transportowych. Wniosek ten rewolu-

cjonizuje jeszcze bardziej problem przebudowy, umożliwi on bowiem zupełną separację miast-rezydencji mieszkalnych i miast-ośrodków przemysłowych. Rozrost transportu drogowego wymagać będzie także bardziej celowego planowania dróg.

Gdziekolwiek jednak uderza myśl planisty, natrafia się w Anglii — i nie tylko w Anglii — na szkopuł prywatnej własności. Pierwszą próbą planowania miast angielskich był „The Town Planning Act" z 1909 r. a od tego czasu dziesiątki ustaw na skalę państwową i dzielnicową ujrzało światło dzienne. I choć dziewicza puszcza ustawodawstwa angielskiego, jego przeżytków i dziwolągów utrudnia niewątpliwie planowanie i wymaga ramifikacji ustaw budowlano-gruntowych (o czym Anglicy bynajmniej nie zapominają), to jednak właściwa trudność to nie interpretacja tych ustaw, ale ich założenie. Jak długo ustawa broni w pierszym rzędzie własność prywatną, nie ma mowy o racjonalnym planowaniu, bo ci którzy planują popaść muszą w konflikt albo z interesem właścicieli, albo z interesem ogółu, albo z wymogami technicznej, czy estetycznej doskonałości. Dotychczasowa praktyka dała w wyniku kompromis. A kompromis tak sprzecznych interesów musi być koślawym dziwolągiem.

Sprawy te były tematem rozważań specjalnej komisji królewskiej znanej pod nazwą „*The Uthwatt* (*Expert*) *Committee on Compensation and Betterment*" która ogłosiła dwa raporty: w lipcu 1941 i we wrześniu 1942 r. Raporty te, które są w Anglii przedmiotem poważnych kontrowersji nie idą zbyt daleko na drodze ukrócenia przywilejów właścicieli gruntów. Podobnie jak raporty Barlowa i Scotta, zaleca raport Uthwatta utworzenie Centralnego Urzędu Planowania, który miałby prawo wstrzymania wszelkich robót zagrażających ogólnemu planowi, względnie z nim sprzecznych. Nie wolno byłoby właścicielowi budować na własnym gruncie bez zezwolenia państwa, nie wolno mu bez zezwolenia dokonywać zmian w użytkowaniu gruntów. W zamian za to prawo — jakże łagodne w porównaniu z ustawami kontynentalnymi — państwo płaci odszkodowanie. Innymi słowy, wywłaszcza się nie ze ziemi, ale z praw do jej samowolnego użytkowania a i to za specjalnym wynagrodzeniem. Nawiasem mówiąc, raport Uthwatta dał przez implikacje do zrozumienia konieczność bardziej drastycznych metod, cytując in extenso ustęp raportu Scotta, który omawia znacznie dalej idące ustawodawstwo Stanów Zjednoczonych, Australii i Kanady.

Raport Uthwatta zaatakowano ostro z prawa i z lewa. Nie jest on ostatnim słowem wypowiedzianym w tej sprawie. Zanosi się na ostrą walkę, której wynik leżał będzie na linii równoległej do wyniku kontrowersji o raport Beveridge'a.

Warsztatem pracy budowniczego było dotychchzas miejsce budowy. Tutaj nie tylko wznoszono mury i wyprawiano ściany, ale ciosano kamienie, zakładano stropy, szklono, budowano piece i t.d. Ostatnich parę lat przyniosło jednak przemianę, która przyjęła się bardzo powszechnie. Jest nią t.zw. pre-fabrykacja, która już dziś wywarła swe piętno na sposobie budowania i na jego kształtach i która będzie grała olbrzymią rolę w odbudowie powojennej. Nowoczesne materiały i nowoczesne maszyny zwęziły niezmiernie granicę niemożliwości w budownictwie. Jeśli dawniej np. szerokość okna była ograniczona możliwościami konstrukcyjnymi materiałów używanych dla nadproży i musiano budować okna raczej wąskie a wysokie, to obecnie żelazobeton zniósł praktycznie ograniczenia szerokości okna, łuku, czy stropu. Nowoczesne maszyny i materiały wprowadziły jednak jeszcze jedną przemianę. Miejsce budowy przestało być wyłącznym warsztatem pracy. Poczęto przygotowywać po frabrykach całe zespoły budowlane np. ściany, schody, piece, balustrady, dachy, stropy, podłogi i t.d. które już gotowe przywożono na miejsce budowy i ustawiano gdzie należy. (Dla uniknięcia nieporozumień: pre-fabrykacja nie jest równoznaczna ze standaryzacją, która jest tylko jednym z narzędzi pre-

fabrykacji.) Olbrzymi rozwój wiedzy o materiałach plastycznych wprowadzi do prefabrykacji niewątpliwie dalszy postęp, gdy po wojnie, sprawy te, niezwiązane tajemnicą wojskową, otrzymają należyty rozgłos. Prefabrykacja, jako wynik postępu w tworzeniu nowych materiałów budowlanych i w ich obrabianiu otwiera dla budownictwa zawrotne perspektywy, zarówno użytkowe, jak artystyczne.

JERZY KUNCEWICZ

ROLNICTWO W PRZYSZŁOŚCI

(*Odczyt wygłoszony w Towarzystwie Fabianów w Londynie.*)

1) *Uwagi ogólne.*

Ludzkość w swoim rozwoju zbliża się do dni, w których nastąpi kres chaotycznej gospodarki. Gospodarka planowa obejmować będzie stale nowe tereny, zespalając kontynenty i łącząc ziemię w coraz to pełniejszą całość. Nadchodzi czas, gdy troską kierowników warsztatów produkcji, będzie sprawa zaspokojenia potrzeb ludzkich, nie zaś zagadnienie zysków, lub procentów kapitalisty. Rolnictwo z natury swojej oraz z psychiki ludzi w nim zatrudnionych, a może i z niezaradności organizacynej rolników, produkowało bez oglądania się na zyski. W swych założeniach wytwórczych, rolnictwo było czynnikiem współczesnym, produkującym według wymagań jutra. W swej niezaradności organizacyjnej było ono czynnikiem anarchii gospodarczej i pożywką dla bakterii kapitalistycznego wyzysku. Z niezaradności rolnictwa zrodziła się inspirowana przez warstwy posiadające, polityka tanich środków żywności. Z demagogicznego wpływu posiadaczy wyrastały rozdźwięki pomiędzy „wyzyskiwaczem", chłopem, a robotnikiem. Z przewagi organizacyjnej zrodziła się nędza około 1.800 milionów, wątpliwy dobrobyt około 300 milionów i chwilowy dosyt górnych kilkuset tysięcy.

Twarda logika życia mści się. Tanie środki żywności, to zamierające warsztaty przemysłowe, zahamowanie rozwoju, obniżenie poziomu życia miast, szalejące bezrobocie, gniew krzywdzonych, a wreszcie utrata niesłusznie osiągniętych korzyści. Przychodzi czas połączenia tego, co sztucznie rozdzielonym zostało, emigranta ze wsi, robotnika miejskiego, z pozostającym na ziemi chłopem i robotnikiem rolnym. Wielkie już dziś siły, tak zawodowych jak politycznych organizacyj robotnika, muszą dopomóc rosnącym siłom wsi. Rozbudowujące się organizacje polityczne wsi wnoszą swój dorobek oparty na odrębnej psychice, pełnej poczucia realizmu, w najlepszym tego słowa znaczeniu. Ten dorobek to podstawa dla przyszłości.

2) *Planowość w rolnictwie.*

Zasadniczym postulatem, bez przyjęcia którego nie można myśleć o żadnych trwałych osiągnięciach, musi być uznanie zasady planu gospodarczego w produkcji rolniczej. Plan rolniczy ma brać pod uwagę: 1) położenie geograficzne, 2) gęstość zaludnienia, 3) warunki gleby i klimatu, 4) warunki komunikacyjne, 5) pozycje rynku krajowego i zagranicznego. Specyficzne warunki rolnictwa wymagają dla utrzymania zasad planowości rozbudowy szeregu urządzeń pomocniczych, a to w zależności od charak-

teru i terenu produkcji. Urządzeniami tymi będą: 1) chłodnie, 2) warsztaty przetworów mięsa, jarzyn i owoców, 3) fabryki dla produktów przetwórczości roślinnej takich jak soki, wina, krobia, alkohol i inne, 4) elewatory i składy zbożowe, i.t.d. Posiadanie tych urządzeń, jako też przyjęta zasada rezerw wytworów rolniczych, utrzymywanych na stałym wysokim poziomie tak w krajach konsumpcji, jak produkcji, zapobiegnie klęsce nieurodzaju oraz katastrofie przejściowej obfitości.

3) *Podstawy kalkulacyjne cen art. rolniczych.*

Plan gospodarczy, choć powinien być ułatwieniem, nie stanowi jeszcze gwarancji dobrobytu. Na całość dzisiejszego poziomu życia składają się przede wszystkim te wielkie wartości, jakie mieści w sobie niewolnicza praca maszyn. Możność rolnika korzystania z dobrodziejstw techniki będących rezultatem wynalazczości geniusza ludzkiego, dającego możność akumulacji bogactwa, jest ograniczona. Przełamanie wynikających stąd anomalii może nastąpić przez wydatne podniesienie cen artykułów rolniczych w ten sposób, aby w cenie tej mieściły się nie tylko godziwe wynagrodzenia za pracę, nie tylko odsetek na renowację budowli, narzędzi, sprzętu i inwentarza, ale także była zawarta część korzyści pochodząca ze zmodernizowanej wytwórczości przemysłowej. Dzisiaj korzyści z nieekonomicznej wytwórczości przemysłowej docierają w postaci zniżonej ceny tych artykułów z opóźnieniem, albo nie docierają wcale do konsumenta rolniczego. Planowanie gospodarcze w przemyśle, nawet w formach wyłączających metody kapitalistyczne, będzie cechowane naturalną tendencją, otrzymania możliwie szerokich korzyści z tej produkcji dla pracujących w tej dziedzinie.

4) *Teren i zasady planowania.*

Niemałe znaczenie obok zasady planowania i zasady wysokich cen społecznie oraz gospodarczo usprawiedliwionych, posiada metoda realizowania oraz ustalania planu. Plan zamykać powinien w sobie odpowiedzi nie tylko w sprawie podziału, zebezpieczenia i zużycia produkcji, ale także w sprawie cen produktów oraz ich stabilizacji. W tych warunkach, zgodnie z psychiką dużej ilości producentów rolnych oraz zgodnie z nastawieniem humanistycznym decydującej, ilościowo i wytwórczo, masy chłopskiej, należy się opowiedzieć za następującymi zasadami: *a*) metody planowania w terenie rolniczym opierać się winny na organizacjach społecznych, pracujących przy pomocy siły społecznej a uciekających się tylko w ostatecznej konieczności do zbiurokratyzowanych organów państwowych, *b*) zasada planu gospodarczego może gwarantować trwałe korzyści, jeśli obejmie w jednolity organizm ziemie bliskie pod względem położenia geograficznego, a także pokrewne co do swej struktury społecznej i produkcyjnej oraz poziomu kultury ludności. Łączenie terenów różnorodnych komplikuje plan, a może uniemożliwić jego wykonanie. Wiązanie terenów dojrzalszych z bardzo zapóźnionymi odbije się przede wszystkim na poziomie życia mas społecznych oraz na ich rozwoju kulturalnym. Nie trzeba przy tym zapominać, że ten kto zaznał większych dobrodziejstw, dostarczanych przez życie na wyższym poziomie, więcej będzie cierpiał jeśli je straci, niżeli ten, dla którego te dobrodziejstwa nie istniały.

5) *Trzy Europy.*

W Holandii na kilometr kwadratowy przypada 254.1 mieszkańców, w Anglii 194.2, w Niemczech 152.8, w Europie środkowej i południowej 71.1, w Z.S.S.R. 7.5.

LUDNOŚĆ NA KILOMETR KWADRATOWY*

I

Kraj	Ludność bez względu na płeć i wiek. Rok 1937	Młodzież w cyfrach procentowych przy włączeniu 19 letnich. Rok 1937
a)		
1) Anglia	194,2	29,9%
2) Holandia	254,1	—
3) Niemcy ..	152,8	30,9%
b)		
1) Albania	40,0	—
2) Bułgaria	62.3	42,7%
3) Czechosłowacja ..	109,0	33,4%
4) Estonia	23,5	29,9%
5) Grecja	53,9	43,3%
6) Jugosławia ..	62,0	41,8%
7) Litwa	48.1	—
8) Łotwa	29,8	31,7%
9) Polska	89,3	42,3%
10) Rumunia	66,6	46,4%
11) Węgry	97,1	—
Przeciętna ..	77,1	38,8%
c)		
Z.S.S.R.	7,5	48,7%

Nie tylko gęstość zaludnienia, ale przyrost oraz liczebność rodzin podkreśla istnienie trzech sfer odrębnych w Europie. Ilość dzieci i młodzieży w wielku do lat 19 włącznie wynosi w Anglii 29,9% całej ludności, w Niemczech 30,9%, w Europie środkowo-południowej 38,8%, w Z.S.S.R. 48,7%.

Teren jedenastu państw leżących pomiędzy Bałtykiem a Morzem Czarnym i Adriatyckim odcina się nie tylko ludnościowo od terenów sąsiednich. Linia demarkacyjna zamazuje się w pewnej mierze w stosunku do pokrewnej pod względem struktury ludnościowej i gospodarczej Ukrainy, oraz zamyka geograficznie, analogiczne w układzie Prusy Wschodnie, oraz część Śląska niemieckiego. Istnienie trzech odrębnych całości w Europie, podkreśla także rodzaj produkcji rolniczej, jako też stosunek tej produkcji do produkcji przemysłowej. Przeglądając przykładowo produkcję zbóż chlebowych, roślin pastewnych i okopowych, zauważyć musimy niedobór wszystkich tych rodzajów na terenie prawie całej zachodniej Europy. Widzimy natomiast znaczne nadmiary zbóż chlebowych na terenie wschodnim, a bliskość granic samowystarczalności na terenie środkowo-południowym.

Z natury położenia i zaludnienia tereny wschodnie, jak i tereny zamorskie Ameryki akcentują się jako spichrze zbożowe. W świetle tych tendencyj i warunków, polityka mechanizacji, polityka wielkich, jednorodnie uprawianych obszarów jest słuszna obecnie zarówno dla Ameryki, jak i dla Rosji Sowieckiej. Zagęszczone ludnościowo obszary Europy Zachodniej są obszarami, na których terenie zagadnienia rolnicze mogą odgrywać rolę

* Wszystkie cyfry z opracowań statystycznych publikowanych przez Ligę Narodów. Wszelkie obliczenia własne, oparte na tychże danych.

II.

PRODUKCJA ZBÓŻ

Przestrzeń uprawna 1.1000 hektarów. Produkcja w 1.000 kwintali.

	Pszenica.				*Żyto.*				*Jęczmień.*			
	Przestrzeń Lata.		Produkcja Lata.		Przestrzeń Lata.		Produkcja Lata.		Przestrzeń Lata.		Produkcja Lata.	
Kraje.	1937.	1938.	1937.	1938.	1937.	1938.	1937.	1938.	1937.	1938.	1937.	1938.
a)												
Anglia	743	780	15.336	19.862	5	6	71	109	367	400	6.680	9.188
Argentyna	6.116	7.730	50.295	87.000	204	453	895	2.700	455	499	5.135	4.400
Kanada	10.348	10.494	49.046	95.259	362	300	1,466	2.791	1.753	1.802	18.098	22.260
Niemcy	2.225	2.288	48.671	60.141	4,514	4.622	73.434	91.999	1.881	1.837	39.259	45.507
Stany Zjedn.	28 071	28.418	238.324	253.327	1.556	1.610	12.657	13.980	4.195	4.306	47.970	54,896
b)												
Albania	—	—	—	—	7	3	38	33	6	5	58	42
Bułgaria	1.309	1.395	17.666	21.487	211	188	2.384	1.879	218	225	2.299	3.548
Czechosłowacja	883	898	13.956	17.883	967	1.016	14.845	16.800	671	660	11.150	12.980
Estonia	68	70	758	758	149	148	2.115	1.880	80	88	809	967
Grecja	857	862	8.178	9.835	68	73	653	620	212	219	2.191	2.455
Jugosławia	2.130	2.130	23.230	30.299	210	248	2.094	2.271	417	415	3.831	4.213
Litwa	211	203	2.207	2.513	509	528	6.069	6.237	214	217	2.704	2.740
Łotwa	137	141	1.715	1.919	288	287	4.215	3,787	181	178	2.184	2.206
Polska	1.693	1.754	19.262	21.719	5.725	5.898	56.379	72.534	1.232	1.178	13.634	13.713
Rumunia	3.552	3.818	37.601	48.214	438	482	4.513	5.172	1.513	1.278	9.172	8.322
Węgry	1.483	1.619	19.638	26.883	606	632	6.179	846	467	454	5.569	7.240
Łącznie	2.333	12.928	144.659	182.066	9.171	9.902	95.484	119.259	5.220	4.907	54.637	58.426
c)												
Z.S.S.R.	1.400	40.713	442.400	442.400	26.421	26.421	213.600	213.600	8.730	8.342	81.620	81.620

III

Przestrzeń Uprawna w 1.000 Hektarów Kartofli.

Kraj.	Przestrzeń lata. 1937	1938	Produkcja lata 1937	1938
a)				
Anglia	290	297	49.949	51.971
Argentyna	113	113	9.520	9.520
Kanada	215	211	19.299	16.301
Niemcy	3.104	3.108	589.214	541.541
Stany Zjednoczone ..	1.284	1.217	107.269	100.508
b)				
Albania	1	1	33	33
Bułgaria	22	20	1.460	635
Czechosłowacja ..	771	763	123.626	98.291
Estonia	76	78	9.856	9.856
Grecja	25	21	1.934	1.430
Jugosławia	258	267	16.280	17.016
Litwa	185	186	25.099	21.183
Łotwa	127	138	17.820	17.514
Polska	2.480	3.030	402.210	385.582
Rumunia	235	213	21.065	21.065
Węgry	320	315	29.600	25.000
Łącznie ..	5.001	5.134	637.783	557.722
c)				
Z.S.S.R.	7.407	6.708	698.400	697.400*

dopiero w dalszej przyszłości. Wyjaśnienie tego twierdzenia odkładamy na inny teren, gdyż tu to zagadnienie zajęłoby zbyt wiele miejsca.

6) *Obszar środkowo-poł. Europy*

Dalsza analiza produkcji środkowo-południowej Europy wykazuje, że stosunkowo wysoka wytwórczość zbóż o wartości przemysłowej, jak jęczmień, pastewnych, jak żyto, kukurydza, oraz okopowych, jak buraki i kartofle, stanowi podstawy możliwości rozwojowych w dziedzinie przemysłu przetwórczego, związanego z rolnictwem.

Produkcja szeregu wartościowych surowców roślinnych jak np. chmiel i tytoń, nie mówiąc o lnie, konopiach, rzepaku, stawia te tereny w sytuacji uprzywilejowanej pod względem możliwości rozwojowych. Wykorzystanie specjalnej konjunktury wynikającej z położenia geograficznego, gleby i zaludnienia, daje możność zatrudnienia znacznej ilości bezrobotnych wiejskich. Dalszy rozwój oraz rozwój innych gałęzi produkcji może doprowadzić do paradoksalnej sytuacji braku rąk roboczych na tym terenie. Nikła konsumpcja i nikła stosunkowo produkcja przemysłu rolniczego widoczna w takich dziedzinach jak cukier, alkohol, wino, piwo, papier a nawet mięso i masło, okaże swój niedorozwój dopiero przy podniesieniu poziomu życia. Polityka podniesienia cen rolniczych, tak w wymianie międzynarodowej, jak na rynku wewnętrznym, może to udowodnić w krótkim czasie. Dziś eksport wielu płodów i przetworów rolniczych pochodzący z terenu środkowo-południowej Europy jest eksportem głodowym. Eksport ten może i musi zmienić ten swój charakter w nowym ustroju społeczno-gospodarczym Europy powojennej.

* Nie chcąc obciążać czytelnika cyframi, dużą część ich usunąłem w druku. (Uwaga Autora.)

IV

WYMIANA MIĘDZYNARODOWA

Import i eksport w procentach według wartości

Kraj.	Lata.	Import: Do dalszego przetwarzania. Żywność.	Import: Do dalszego przetwarzania. Produkty rolnicze.	Import: Do konsumpcji. Żywność.	Import: Do konsumpcji. Inne przedm.	Import: Do konsumpcji. Dobra trwałe.	Import: Do konsumpcji. Inwestycje.	Eksport: Do dalszego przetwarzania. Żywność.	Eksport: Do dalszego przetwarzania. Produkty rolnicze.	Eksport: Inwestycje.	Eksport: Do konsumcji. Żywność.	Eksport: Do konsumcji. Przedm. codzienne użytku.
Stany Zjedn.	1935	18,2	4,2	11,3	2,6	3,3	1,0	7,1	1,1	19,7	7,9	4,1
	1936	17,2	3,5	12,1	2,5	3,2	1,1	7,0	1,1	22,1	6,4	4,2
	1937	15,3	4,8	10,5	2,2	2,8	1,1	6,8	1,0	22,8	5,2	3,7
Kanada	1935	3,9	1,4	11,4	6,1	9,1	11,4	20,9	2,6	2,7	11,6	2,4
	1936	3,6	2,2	11,2	6,1	9,4	11,2	26,9	3,4	2,5	11,6	2,5
	1937	2,8	2,4	9,3	5,7	10,2	9,3	16,4	2,0	3,3	12,1	2,7
Anglia	1935	11,5	3,6	33,6	2,5	2,5	2,5	0,5	0,9	17,2	6,7	10,9
	1936	12,1	3,8	31,1	2,4	2,5	3,0	0,5	0,8	17,5	7,4	11,0
	1937	12,4	4,0	27,5	2,2	2,3	3,4	0,4	0,8	17,7	6,8	10,1
Polska	1935	5,6	0,9	8,6	4,4	4,5	12,3	16,0	5,6	1,6	15,0	3,1
	1936	4,7	1,3	7,1	3,3	4,9	12,0	17,4	4,8	1,6	18,7	2,4
	1937	4,8	1,5	6,4	2,9	5,4	12,2	11,3	3,1	1,4	19,9	2,6
Czechosłowacja ..	1935	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—
	1936	7,5	1,7	7,4	2,7	2,7	8,8	5,7	1,5	11,0	2,6	14,1
	1937	7,0	1,3	6,3	2,6	2,0	10,0	6,7	1,4	14,3	2,9	13,5
Litwa	1936	1,8	4,2	4,3	8,8	6,4	12,5	13,7	3,1	3,4	39,0	

7) *Stosunek między blokami w Europie i poza nią*

Istnienie trzech odrębnych terenów gospodarczych w naszej części świata nakazuje prowadzenie polityki wytwórczej i handlowej każdej z tych części w kierunku dla niej, i dla całości najodpowiedniejszym. Uwypuklenie specyficznego charakteru produkcji na każdym terenie, powiązanie w naturalne tej produkcji z istniejącymi potrzebami, zapewni Europie i światu oczekiwane korzyści. Szerokie przestrzenie wschodu z jego produkcją zbożową i z zapoczątkowaną produkcją przemysłową, muszą budzić stosunkowo małe zainteresowanie środkowo-południowej Europy. Tereny wschodnie ze względu na zboża chlebowe i surowce roślinne, jak np. drzewo, to naturalni kontrahenci krajów wybitnie przemysłowych. Europa środkowo-południowa, bliska sąsiadka terenów o wielkim nasileniu ludności, to dostarczyni artykułów ogrodniczych, warzywniczych, przetworów roślinnych i zwierzęcych, jednym słowem tych wszystkich produktów, które są wytworem małych i średnich warsztatów rolniczych, oraz małych i średnich warsztatów przemysłowych. Już w okresie bezplanowej i rabunkowej wymiany towarowej, zarysował się kierunek tej wymiany pomiędzy środkowo-południową Europą a Wielką Brytanią i innymi krajami uprzemysłowionymi. Przyjęcie nowych metod tak w dziedzinie produkcji, jak wymiany, metod opartych na zasadzie planowania i sprawiedliwego rozdziału dochodu społecznego, nie może zostać zniszczone przesądami okresu kapitalistycznego. Szkodliwe wywody na temat wartości Klauzuli Największego Uprzywilejowania w stosunkach międzynarodowych, jakoteż wszystkie traktaty handlowe, oparte na tej zasadzie, muszą zniknąć. Miejsce samowoli, dumpingu, nieuczciwej konkurencji winna zająć wymiana dająca realną kompensatę tak wytwórcom rolniczym, jak i producentom przemysłowym.

8) *Rezultat odrodzenia roln. dla krajów przemysłowych.*

W nowych warunkach dla przekształconych gospodarczo krajów Wielkiej Brytanii, Stanów Zjednoczonych, a także krajów zostających przez jakiś czas pod ścisłą kuratelą a'iantów przyjść winny pełne korzyści z proponowanych przeobrażeń. Korzyści jakie przedstawia rynek przeszło stumilionowy krajów środkowo-południowej Europy, rynek zcalony gospodarczo, ożywiony wspólną polityką wysokich cen na artykuły rolnicze, ujawnia się przede wszystkim w pełnym zatrudnieniu warsztatów krajów przemysłowych. Charakter dotychczasowej wymiany międzynarodowej wskazuje na możność osiągnięcia tych rezultatów.*

IV.

Zamiast premiowania nieopłacalnego eksportu do krajów rolniczych, Wielka Brytania, w nowej sytuacji, winna osiągnąć wielokrotne wzmocnienie pełnowartościowego wywozu swych artykułów przemysłowych, narzędzi i maszyn. Podniesione choćby dwukrotnie, czy więcej, ceny artykułów żywnościowych, stanowiących niewielką część budżetu każdej rodziny, znajdzie pełną kompensatę w podniesionych płacach pracowników. Źródłem zwiększonych płac będzie : zwiększone zatrudnienie warsztatów przemysłowych, dające mniejsze koszty amortyzacji budynków, maszyn, narzędzi, pełniejsze wykorzystanie urządzeń przemysłowych, zmniejszone bezrobocie, a stąd zmniejszone koszty świadczeń społecznych, jako też proporcjonalne zmniejszone koszty administracyjne i handlowe. Ta linia rozwojowa, zmierzająca do ożywienia terenów rolniczych, pociągnie w kręgi pełnoprawnych obywateli coraz to nowe masy ludzkie. Z rozwoju ich i sił setek milionów pracowników rolnych,może przyjść i przyjść powinno nowe odrodzenie. Na drogach przebudowy gospodarczej rolnictwa, na drogach związku między robotnikiem miejskim a ludnością wsi, na drogach sprawiedliwej oceny wkładów gospodarczych i kulturalnych obydwu największych odłamów ludności, leży dobro jutra.

* Podkreślenia uwypuklają charakter wymiany towarowej.

ALEKSANDER PISKOR

POMNIKI MITSURU TOYAMY*

OGRÓD SZACUNKU I CZCI

Największe wrażenie wywiera właściwie ogród. Na wstępie bowiem nie ma nic oryginalnego: zwykła japońska ulica w tokijskiej dzielnicy Shibuya i zwykła japońska brama, która prowadzi od obszernego zagrodzenia. W pierwszym drewnianym domku mieszka najstarszy syn Mitsuru Toyamy, który od wielu lat słynie jako wybitny krzewiciel idei swego ojca i jeden z kierowników japońskich „patriotycznych prac" w Chinach. Wysoki i tęgi, przypominający z wyglądu — w pełni swej czterdziestki — raczej energicznego businessmana, niż następcę „proroka", poczęstował nas zieloną herbatą i zapytał mnie, co sądzę o japońskim klimacie. W następnym budynku, długim i dość obszernym hallu, mieści się szkoła. Sala szkolna jest spora, pozbawiona ławek i wyścielana matami, a na jej końcu wznosi się podwyższenie, na którym widnieje duży, obciągnięty w skórę bęben, a nad nim — na ścianie — wisi ogromna flaga: czerwone słońce na białym tle.

W tej sali odbywają się różne, ścisłe zebrania „Czarnego Smoka" i kilku innych „zaprzyjaźnionych" stowarzyszeń, podczas których często decydują się ważne sprawy państwowe, a na podwyższeniu zasiada wtedy sam „najdostojniejszy starzec". Mitsuru Toyama z tego miejsca także naucza — i należenie do grona jego uczni stanowi nie byle jaki zaszczyt. „Ale po co do tego wszystkiego bęben?"—zapytałem dość naiwnie. Okazało się, że potrzebny on jest podczas rytualnych misteriów, o których Toyama-junior nie chciał powiedzieć nic określonego z wyjątkiem, że przewodniczy im również jego ojciec. Potem przez uchylone drzwi pokazał nam obszerną poczekalnię, w której młody Japończyk, uroczyście ubrany w czarny żakiet, siedział na macie w najbardziej ceremonialny japoński sposób. „Czeka na ojca — pewnie chce dostać pozwolenie na zrobienie jakiegoś zamachu" — objaśnił syn. Wiadomo jednak było, że po wybuchu wojny w Chinach w 1937 roku, Mitsuru Toyama zaczął propagować doktrynę narodowej zgody i w związku z tym polityczny teror znacznie zmalał — szanse młodego patrioty przeto były właściwie żadne. Po opuszczeniu szkoły przeszliśmy przez wąską furtkę w niskim drewnianym płocie — i właśnie wtedy po raz pierwszy zobaczyłem ogród.

Ogród nie był zbyt wielki — urządzony w typowy japoński sposób, czarował kwitnącymi wiśniami, sadzawkami i strumykami, w których pływały złote rybki, i przez które zostały przerzucone malownicze, wygięte mostki. W południe ciepłego, wiosennego dnia i w atmosferze beztroskiej sielanki ogarnęło mnie jednak jakieś niewyraźne, przykre uczucie. Czyżby to był cmentarz? Wzdłuż każdej alejki, na środku sadzawek, zza wielu krzaków, pod drzewami i ścianami domu — rzędami i pojedyńczo — stały liczne białe pomniki, posągi i popiersia, różnych wielkości, lecz przedstawiające tę samą osobę i wyglądające — na pierwszy rzut oka — jak fragmenty grobowców. Ze wszystkich stron patrzyła na nas charakterystyczna, wykuta w kamieniu lub odlana z gipsu twarz: ascetyczna, pociągła i starcza, o dużej brodzie i oczach, zakrytych okularami bez oprawy: „To sam Mr. Toyama" — powiedział mój towarzysz. Wielbiciele Mitsuru Toyamy bowiem zamawiali u najlepszych rzeźbiarzy pomniki, posągi i popiersia „wielkiego starca Japonii" i wraz z wyrytymi na piedestale życzeniami ustawiali je — jako wyraz swego hołdu — w jego ogro-

*Por. „W cieniu Czarnego Smoka" w kwietniowym numerze „Nowej Polski". Poprzedni i obecny artykuł stanowią rozdział z opracowywanej obecnie w języku angielskim książki pt. „First Alert in Tokyo".

dzie. Z czasem naturalnie ogród się zapełnił tymi „dziełami sztuki" — i swoim wyglądem świadczył zarówno o wielkości „dostojnego modela", jak i popularności głoszonych przez niego zasad.

Gdzieś w początku bieżącego stulecia grono wielbicieli mistrza ze wspólnych składek wybudowało i ofiarowało mu dom niedaleko śródmieścia Tokio. Niestety — podczas wielkiego trzęsienia ziemi w 1923 roku ten historyczny z wielu względów budynek się spalił — i Toyama musiał się rozejrzeć za inną rezydencją. Ale przyjaciele nie próżnowali—niezwłocznie zakupili gdzie indziej spory plac, na którym wzniesiono szereg zabudowań, i tam właśnie powstał ogród, zapełniający się coraz bardziej białymi pomnikami. Dość duży, drewniany dom w japońskim stylu nie przekracza zwykłego standartu i wygląda raczej na miejsce zamieszkania zamożnego przemysłowca, niż siedzibę „proroka". Taketora Ogata, jeden z najwybitniejszych współczesnych japońskich dziennikarzy, w artykule, zamieszczonym w lipcu 1940 roku w miesięczniku „Contemporary Japan", roztacza następującą wizję „wielkiego starca Japonii" na tle jego sielankowej rezydencji:

„Setki ludzi ze wszystkich klas i warstw społeczeństwa odwiedzają codziennie jego dom w dzielnicy Shibuya, w Tokio. Jedni stają przed nim z miną bardzo ważnych działaczy, inni wypowiadają słowa, właściwe jedynie wzburzonym umysłom. Toyama słucha pilnie zarówno płomiennych przemówień, skierowanych przeciw Wielkiej Brytanii, jak i oskarżeń pod adresem rządu i innych sił politycznych kraju. Wszyscy, którzy rozmawiają z nim w jakiejkolwiek formie, starają się nie tylko go zadowolić i przekonać, ale przede wszystkim usposobić przychylnie do poruszanej sprawy. Odwiedzający przybywają ze wszystkich krańców kraju oraz z zagranicy: z Korei, Chin, Indii, a nawet z Europy i Ameryki. Dla wszystkich Toyama znajduje czas — słucha spokojnie, milcząco, nie poruszając się i nie będąc poruszony i dzieje się to zwykle dzień po dniu, od rana do wieczora. W stosunku do wszystkich jest on tak samo uprzejmy, jak i nieczuły, ale nie zawsze zastyga w obojętności, ponieważ gdy zechce, umie znaleźć należytą odpowiedź. Następuje to jedynie wtedy, gdy serce jego jest naprawdę poruszone, albo wtedy, gdy jest on przejęty słowami prawdziwymi i szlachetynymi, zdolnymi do pobudzenia ogólnej sympatii. A kiedy umysł jego zostanie poruszony przez jakąkolwiek prośbę lub sprawę, wyraża się to przez akcję tak samo głęboką, jak wielkie jest jego serce".

Ale w piękny wiosenny dzień, gdy składałem wizytę, dom Toyamy był pusty — widocznie nastąpiła przerwa w przyjmowaniu wielbicieli. Obuwie nasze zostało w osobliwym ogrodzie — i w przedpokoju staliśmy według wszelkich japońskich reguł jedynie w skarpetkach, słuchając powitalnych słów młodej, ubranej w kimono pokojówki, składającej na klęczkach należne gościom ukłony. Potem Toyama-junior nas pożegnał i z kolei — mój przyjaciel z „Gaimusho" i ja — znaleźliśmy się w dość dużym pokoju, który wypełniały: ogromny, bardzo niski stół, oraz stojący w kącie na specjalnej podstawce, wielki, skórzany bęben. Gdy usiedliśmy na matach i pogrążyliśmy się w niczym niezmąconą ciszę oczekiwania, zainteresowały mnie ściany pokoju. Nie mogłem od nich oderwać wzroku. Od góry do dołu zawieszone były one portretami różnych rozmiarów, przedstawiającymi wiecznie ten sam temat: ascetyczną, pociągłą starczą twarz o dużej brodzie i oczach, zakrytych okularami bez oprawy. Naprzeciw mnie ta twarz była szczególnie duża i jej spojrzenie zupełnie przenikliwe — obok zaś znajdował się wysoki, piękny, złoty parawan. Na wszystkich złotych, papierowych polach artysta naszkicował w wielu ujęciach oblicze, znane z pomników i portretów, doprowadzając w ten sposób osobliwą dekorację pokoju do perfekcji. „Prezenty" — szeptem powiedział mój przyjaciel. W tej chwili drgnąłem: zza parawanu wysunął się jeszcze jeden portret,

który poruszał się, zbliżał się do nas i robił grymas, zastępujący przywitalny uśmiech.

Mitsuru Toyama nie tyle wyszedł, ile bezszelestnie wypłynął zza parawanu, na chwilę przystanął nieruchomo, jakby lubując się wrażeniem, jakie wywarło na nas jego nagłe, chociaż spodziewane zjawienie się. Biała, długa broda była rzadsza, niż zapowiadały to liczne portrety, i podobnie jak jej właściciel: chudy Japończyk, o nieco więcej niż średnim wzroście, otulony — mimo ciepłej pogody — w liczne kimona i szale — robiła najbardziej dostojne, starcze i muzealne wrażenie. Niewątpliwie — Toyama reprezentował wprost idealny typ sędziwego patriarchy: trudno nawet było uwierzyć, że urodził się on w połowie zeszłego stulecia, ponieważ wyglądał tak, jak gdyby żył już od zmierzchłych wieków. W pewnej chwili skinął nam na przywitanie głową i zwyczajem „białych barbarzyńców" podał mi rękę — po tym z pewnym trudem usiadł na macie po przeciwnej stronie stołu. W pokoju wciąż panowała cisza — przerwał ją sam „prorok" zapytując cichym, bezbarwnym i spokojnym głosem, po co do niego przyszedłem.

Towarzyszący mi japoński dyplomata spełniał rolę tłumacza — i nie czekając na moje słowa zaczął pośpiesznie wyjaśniać Toyamie, kto jestem i co chcę od niego usłyszeć. „Wielki starzec Japonii" uważnie słuchał, nastawił na mnie swoje okulary i zastygł w pozie jednego z portretów. Musiałem przyznać się sam przed sobą, że nawet na mnie — przyzwyczajonego do spotykania różnych wielkości w różnych krajach — zaczął on wywierać spore wrażenie. Sprawa stawała się jasna: wystarczało go zobaczyć, zamienić z nim kilka słów, aby wiedzieć, że jest to człowiek, który wie, czego chce, i to, co chce, umie osiągnąć.

Naturalnie nie spodziewałem się usłyszenia od niego rewelacji — ludzie, podobni do niego, nie mają zwyczaju zwierzania się, ponieważ przede wszystkim cenią wartość milczenia. Należało jednak spróbować — i gdy mój towarzysz skończył swoją przemowę, mogłem nareszcie dojść do głosu. Pierwsze pytanie musiało być ogólne. Co sądzi czcigodny Toyama-san o sytuacji politycznej w Azji Wschodniej i jaką rolę w niej przeznacza dla Japonii? Po pewnym namyśle patron „Czarnego Smoka" zaczął dość obszernie wyjawiać swoje poglądy.

— Japonia pragnie jedynie pokoju dla siebie i dla całego świata — powiedział. — Niestety — narody europejskie i amerykańskie wykazały, że nie dorosły do zrozumienia zasad wzajemnego, przyjaznego współżycia. Stworzono wprawdzie Ligę Narodów, umieszczono ją w Genewie, ale ta instytucja zupełnie zawiodła pokładane w niej nadzieje. Czyż mogło być inaczej? Gdyby jej siedzibą stało się Tokio, a na jej czele stanął japoński cesarz — na pewno odegrałaby ona całkowicie swą rolę w dziejach ludzkości. Do tego nie doszło — Japonia przeto musi sama spełnić historyczną misję spacyfikowania świata i wprowadzenia w nim nowego, sprawiedliwego porządku. W tym celu przede wszystkim Azja musi być uwolniona od tyranii białych ludzi, którzy ją brutalnie eksploatują od stuleci, a jej narody muszą się odrodzić i zjednoczyć pod naszym kierownictwem. Miliony Chińczyków, Hindusów i innych ludów azjatyckich czekają na naszą pomoc. Zagrożeni są oni bowiem także przez największą plagę, jaką kiedykolwiek wyprodukowała ludzkość: komunizm. Dlatego niezwłocznie pośpieszyliśmy z pomocą Chińczykom — niestety, z powodu złej woli niektórych przewódców tego kraju oraz perfidnej pomocy ze strony paru mocarstw, nasza misja została niezrozumiana i spotkała się nawet ze zbrojnym oporem.

— Skąd pan czerpie pewność, że Japonia ma w ogóle do spełnienia jakąkolwiek misję? — zapytałem dość odważnie i bezceremonialnie.

Ale „wielki starzec Japonii" siedział nieporuszony i jedynie w jego cichym głosie zabrzmiała jakby nuta ironii i politowania z powodu mojej

ignorancji. „Czy pan pomyślał, młody człowieku, dlaczego w ciągu 25 stuleci Japonia tkwiła w odosobnieniu? W tym czasie rozwijała ona swe duchowe wartości i duchową kulturę dochodząc na tym polu do najwyższej, dostępnej ludziom doskonałości, świat Zachodu zaś szedł ciągle po drodze materialnego postępu. Działo się to niewątpliwie w specjalnym celu, ustalonym przed wiekami przez bogów. Restauracja Meiji była przeto najważniejszym wydarzeniem w dziejach świata. Ludzie Zachodu z własnej woli przybyli na nasze wyspy i ofiarowali nam swoją materialistyczną wiedzę — krył się w tym zresztą cel ich istnienia — nie byli oni bowiem zdolni do przyjęcia naszej duchowej głębi. Od tej pory połączyliśmy otrzymaną, nową wiedzę z naszym dotychczasowym dorobkiem — jesteśmy przeto najbardziej uprzywilejowanym narodem świata i to jest znakiem, że musimy dopomóc ludzkości, aby mogła żyć spokojnie i zaznać opieki cesarza Japonii, będącego jedyną ostoją porządku i sprawiedliwości".

Wyglądało to wszystko bardzo wzniośle i pięknie, i dźwięczało raczej na znaną nutę, ponieważ już znałem argumenty japońskiej, imperialistycznej propagandy. Należało rozmowę konkretyzować. „Czy Japonia przyłączy się do wojny, która obecnie toczy się w Europie"? — zapytałem.

Toyama nareszczie został poruszony. „Nigdy — zawołał z pewnym przejęciem — tam wszyscy walczą z powodu swych własnych, egoistycznych celów. Jeśli Japonia rozpocznie przeciw komukolwiek działania zbrojne, będzie to jej własna akcja, podjęta po dokładnym rozważeniu wszystkich naszych szlachetnych intencji, a nie żadne przyłączenie się do tego, co się dzieje w Europe". „Czy to nie jest wszystko jedno ?" — zauważyłem. Patron „Czarnego Smoka" najwyraźniej litował się nad moją ignorancją. „Słuszność wojny zależy od celu, dla którego jest prowadzona — powiedział. — Czy pan myśli, że Japonia mogłaby wejść do wojny jedynie po to, aby pomagać jednej z obecnie walczących stron? Nie, proszę pana. Japonia wystąpi, jeśli jej historyczna misja będzie zagrożona, uczyni to z własnej inicjatywy i w chwili, którą sama obierze — inne narody będą mogły wtedy wypowiedzieć się po naszej stronie, jeśli zechcę zapewnić sobie naszą wdzięczność".

Było to bardzo podniosłe i dumne oświadczenie, którego należało właściwie się spodziewać od „proroka" japońskiej wielkości. Chciałem jednak już wyjść poza ogólniki. „Czy to prawda, że uwielbia pan hitlerowskie Niemcy?" — zapytałem. „Nic podobnego — odpowiedział od razu z największą prostotą. — Nienawidzę wszystkich narodów rasy białej z powodu ich licznych zbrodni. Cieszę się ogromnie, że obecnie walczą one ze sobą w Europie, i w ten sposób, dla dobra całej ludzkości, nawzajem się wytępiają. Ale jeszcze bardziej nienawidzę komunizmu, dlatego gotów jestem chwilowo sprzymierzyć się z tymi wszystkimi, którzy mają podobne przekonania. Niestety — Hitler mnie zawiódł i rozczarował — w sierpniu 1939 roku sprzymierzył się on ze Stalinem i w ten sposób wykazał, jak mało ceni swe własne przekonania. Trudno ufać takiemu człowiekowi". „Może się jednak poprawi?" — na wszelki wypadek zauważyłem. Toyama namyślał się przez chwilę, zanim powiedział: „Tylko w takim wypadku będą mogły hitlerowskie Niemcy zrehabilitować się w oczach Japonii. Mają one bowiem tę zaletę, że walczą z Anglią, która pomaga Chinom w ich głupim oporze przeciw Japonii, i eksploatuje pół Azji". Po tym podkreślił z mocą: „Ale wszyscy biali ludzie, nawet Niemcy, muszą zejść we właściwym czasie z drogi Japonii, uznać, że ich rola jest skończona i podporządkować się — dla własnego dobra — rozkazom cesarza."

Późniejsze wydarzenia wykazały, że Niemcy potrafiły skutecznie „zrehabilitować się w oczach Japonii", ponieważ w błyskawicznym tempie zajęły Holandię i Belgię, oraz zmusiły Francję do kapitulacji. Mitsuru Toyama uwielbiał zawsze siłę, a poza tym był nienajgorszym dyplomatą i wiedział, jak należy postępować z „białymi barbarzyńcami". Ale o

„zdradzie Hitlera" zapomniał dopiero w lecie 1941 roku, gdy niemieckie armie pomaszerowały na Rosję, a Japonia już od 10 miesęcy należała całkowicie do „osi" po zawarciu słynnego „potrójnego paktu" z Niemcami i Włochami. Patron „Czarnego Smoka" wysłał wtedy ambitnemu Fuehrerowi w prezencie „miecz samurajów", bardzo kosztowną i stylową japońską szablę, wraz z błogosławieństwami i życzeniami, aby zwalczył tą staromodną bronią wspólnych wrogów. O tym geście pisały bardzo wiele wszystkie tokijskie dzienniki wyrażając przekonanie, że obdarzony będzie niesłychanie dumny z powodu podobnego zaszczytu. W jakiś czas po tym — raczej przypadkowo — spotkałem samego dostojnego ofiarodawcę i nawiązując do naszej rozmowy z wiosny 1940 roku, zapytałem go, czy przebaczył Hitlerowi prawie dwuletni flirt z komunizmem? Patron „Czarnego Smoka" jednak nie okazał żadnej chęci do rozmowy na ten temat — jedynie zaznaczył, że nie zmienił swego stanowiska w stosunku do narodów rasy białej i że jego gest został uczyniony ze względu na „dobro Japonii i całej ludzkości".

Zresztą już podczas mojej pierwszej wizyty u niego nie chciał on zbyt wiele mówić na tematy niemieckie. Natomiast prawie godzinę—cicho, monotonnie, tonem kazania, powtarzanego wiele razy—rozwodził się nad wyższością Japonii nad innymi krajami świata. Ta sprawa była dla niego tak jasna i oczywista, że właściwie litował się nad każdym, kto o niej nie wiedział lub — co gorsze — nie chciał w nią uwierzyć. Przy okazji powiedział, że żywi wielki szacunek dla Gandhiego, ale jego doktrynę biernego oporu uważa za nonsens. „Tylko siła może coś zdziałać — orzekł. — Jest to jedno z podstawowych przykazań przyrody". Wyznawca zasady „zabij Buddę" nie mógł naturalnie zrozumieć idei innego narodowego proroka, który nie chciał się plamić zabójstwem ludzi. O teroryźmie jednak nie mogłem z nim rozmawiać, chociaż byłoby to najciekawsze ujęcie japońskiej historii od początku panowania cesarza Meiji do dnia mojej wizyty w osobliwym, pełnym pomników ogrodzie.

Wśród tych pomników właśnie nastąpiło wtedy pożegnanie. Toyama bowiem wyszedł z nami z domu i oprowadzał nas po ogrodzie, wskazując na artystyczne zalety swoich podobizn. Ale wiek robił swoje — po chwili się zmęczył i usiadł na wysokim kamieniu; widziałem, jak drżały jego bardzo chude, wprost suche ręce. Nie miałem żadnej wątpliwości — ten patriarcha z przeszłości należał już do przeszłości, chociaż jego idee stanowiły teraźniejszość japońskiego cesarstwa.

— Dziękuję za odwiedziny — wreszcie powiedział zmęczonym głosem. — Proszę pamiętać, że nienawidzę cudzoziemców zasadniczo, a więc nie dotyczy to zwykłe moich stosunków z poszczególnymi jednostkami. Nie mogę zresztą nic powiedzieć przeciwko Polsce, z wyjątkiem tego, że przyjaźni się ona z Wielką Brytanią. To wielki błąd — nikomu przyjaźń z Anglikami nie wyszła na dobre.

— A Japonii? — przerwałem.

Ale mój towarzysz i tłumacz powiedział mi po angielsku, że za nic w świecie nie przetłumaczy tej uwagi, gdyż mogłaby ona „urazić" naszego sędziwego gospodarza. Wobec tego słuchałem dalej słów Toyamy:

— Pan jest drugim Polakiem, którego poznałem. Pierwszy też był dość młodym człowiekiem — przyjechał do Tokio i Hirota parę razy przyprowadził go do mnie. Długo rozmawialiśmy. Kiedy jednak to było? — zamyślił się.— Naturalnie — ożywił się — działo się to w 1904 roku w kilka miesięcy po wybuchu wojny rosyjsko-japońskiej. Pamiętam, że pański rodak nie długo przebywał wtedy w Tokio — wrócił do Polski i został tam z czasem słynnym generałem. Mówiono mi, że już umarł.

— Jak się on nazywał? — zapytałem zaciekawiony.

Toyama dobrze pamiętał nazwisko.

— Piłsudski — odpowiedział.

Zdumiewające: jak liczne kontakty z różnymi wybitnymi politykami różnych ras i narodów zdołał nawiązać stary, mistyczny Japończyk, mieszkający w skromnym domu na zwykłej tokijskiej ulicy, nie władający żadnymi obcymi językami i nie posiadający ani jakiegokolwiek oficjalnego stanowiska, ani tytułu. Józef Piłsudski — jak wiadomo — rzeczywiście spędził w Tokio kilka tygodni w lecie 1904 roku mieszkając, pod przybranym nazwiskiem, w nieistniejącym już obecnie hotelu w dzielnicy Ueno. Mimo tej konspiracji — przyszłego marszałka Polski i naczelnika państwa — poprzedzała już wtedy — w wieku 37 lat — sława rewolucjonisty i przewódcy polskiego tajnego ruchu niepodległościowego. Przynajmniej wiedziały o tym władze japońskie, które oczywiście otoczyły niezwykłego przybysza szeregiem odpowiednich obserwatorów, występujących — jak zwykle w Japonii — w roli sekretarzy, przewodników, przyjaciół i t.p. Po jakimś czasie grono japońskich znajomych Piłsudskiego powiększyło się o dwóch dalszych młodych, miłych i bardzo usłużnych ludzi. Jednym z nich był urodzony w Fukuoce, Koki Hirota, student wydziału politycznego Cesarskiego Uniwersytetu w Tokio, wychowanek „Genyoshy" i niezawiedziona nadzieja „Czarnego Smoka". Został on bowiem z czasem ambasadorem, ministrem spraw zagranicznych i premierem — obecnie zaś odgrywa czołową rolę w życiu politycznym wyspiarskiego cesarstwa. Drugi i młodszy nazywał się Yui Yokoyama i również pochodził z Fukuoki. Wtedy był on jedynie „praktykantem" „Czarnego Smoka", aby w 35 lat później stać się sporą zakulisową potęgą i pretendować do tytułu jeszcze jednego japońskiego Robin Hooda. Od nich właśnie Piłsudski dowiedział się, że w Japonii — oprócz oficjalnych — istnieją jeszcze nieoficjalne, „prywatne decydujące czynniki".

Wprowadzony przez Koki Hirotę— z zachowaniem pewnej zwyczajowej, zawodowej konspiratorskiej tajemniczości — Józef Piłsudski parokrotnie odwiedził Mitsuru Toyamę, który — osiągając pięćdziesiątkę — promieniał nadmiarem energii i planów na przyszłość. Naturalnie przybysz z Polski spodziewał się spotkać przewódcę japońskiego ruchu wolnościowego, podobnego do wielkich rewolucjonistów europejskich — i pod tym względem zupełnie się zawiódł. Niemniej jednak rozmowy z Toyamą uważał za interesujące, gdyż pozwoliły mu one zapoznać się bliżej z prądami, nurtującymi w życiu nowoczesnej Japonii. Na tym znajomość tych dwóch ludzi narazie się urwała i została — w pewnym stopniu — odnowiona dopiero w 28 lat później. Gdy w 1932 roku rząd polski pertraktował z rządem sowieckim w sprawie zawarcia wzajemnego paktu o nieagresji, marszałek Józef Piłsudski nieoczekiwanie otrzymał od Mitsuru Toyamy obszerny, „prywatny", przesłany dyplomatyczną pocztą list, „ostrzegający" Polskę przed Związkiem Sowieckim. List ten był zresztą jedynie częścią ówczesnej japońskiej akcji dyplomatycznej, nie doczekał się odpowiedzi, a zawarte w nim rady zostały zignorowane. Ale patron „Czarnego Smoka" bynajmniej nie zapomniał o swojej niepomyślnej interwencji — i pewnego razu nawracając w rozmowie ze mną do polityki Sowieckiej Rosji — która we wrześniu 1939 roku, mimo istniejącego polsko-rosyjskiego paktu o nieagresji, niespodziewanie zaatakowała, walczącą z Niemcami, Polskę — tryumfalnie podkreślił: „A przecież ostrzegałem Piłsudskiego".

Oprócz Józefa Piłsudskiego, patron „Czarnego Smoka" poznał jeszcze kilku innych, wybitniejszych, europejskich i amerykańskich mężów stanu, którzy krócej lub dłużej przebywali w Japonii, a poza tym utrzymywał — za pomocą japońskich dyplomatów, należących do grona jego uczni lub wielbicieli — stałe kontakty z różnymi oficjalnymi i nieoficjalnymi przewódcami różnych narodów. Zresztą niektórzy cudzoziemscy politycy również dowiadywali się o roli, jaką odgrywał on w Japonii, i z kolei,

przez dyplomatycznych przedstawicieli swych krajów, akredytowanych w Tokio, prowadzili z nim pertraktacje. W ten sposób wiele światowych spraw dotarło bezpośrednio do patrona „Czarnego Smoka", a pewna ich ilość została nawet przez niego rozstrzygnięta. Wybitny dziennikarz angielski Hugh Byas, długoletni korespondent „*Times'a*" i „*New York Times'a*" w Tokio, opowiada np., że widział u Toyamy fotografię Haile Selassi, nader czule i własnoręcznie zadedykowaną przez samego „negusa — negesti". Rzeczywiście — podczas najazdu Włochów na Abisynię „Czarny Smok" rozwijał w Japonii sporą akcję przeciwko „jeszcze jednej imperialistycznej zbrodni białych ludzi". Ale pro-abisyńskie nastroje w kraju „wschodu słońca" dość prędko wygasły, ponieważ w 1937 roku Włochy przystąpiły do paktu anty-kominternowskiego. W związku z tym na jednej z półek w domu Toyamy, obok fotografii Haile Selassi, znalazło się pewnego dnia również niemniej pięknie i niemniej czule zadedykowane zdjęcie Mussoliniego.

Na tej półce zresztą można zobaczyć sporo interesujących i serdecznie zadedykowanych fotografii. Znajdują się tam m.in. zdjęcia: Kemala Ataturka, Rezy Pahlevi, Szacha Iranu, który abdykował w 1941 roku, ostatniego Dalaj-Lamy, kilkunastu sułtanów z Arabii, Malajów i Wschodnich Indii Holenderskich, szeregu indyjskich maharadżów i mongolskich książąt, a przede wszystkim wielu chińskich znakomitości. Nie ulega żadnej wątpliwości, że dla tych wszystkich ludzi Toyama znaczył dość dużo — i w mniejszym lub większym stopniu starali się oni o pozyskanie jego względów. Naturalnie, korespondencja prowadzona przy tej okazji nigdy nie zostanie ogłoszona, ale już obszerna kolekcja zdjęć odsłania — przynajmniej częściowo—zamaskowane kulisy wszechstronnego japońskiego imperializmu. Mitsuru Toyama konsekwentnie realizował swe przekonania nawet w wypadkach, gdy sprzeciwiały się temu oficjalne czynniki rządzące. Ale nieraz dochodził z nimi również do porozumienia i wtedy reprezentował t.zw. „inicjatywę prywatną", za którą cesarski rząd nie brał odpowiedzialności wobec opinii publicznej świata. I nie będzie przesady w określeniu, że w ciągu ostatnich 50 lat japońskich dziejów, patron „Czarnego Smoka" stał się nie tylko wielkim propagatorem, ale także najwybitniejszym przewódcą imperializmu „wschodu słońca'..

W 33 roku epoki Meiji, czyli w 1901 roku naszej epoki, odbyła się w Tokio podniosła, chociaż dla wielu niezrozumiała uroczystość. W jednej z wielkich japońskich restauracji zebrało się spore grono Japończyków, którzy po licznych przemówieniach uchwalili następującą, nieoczekiwaną deklerację: „Przysięgamy szerzyć zasady Islamu na całym świecie i aby osiągnąć ten cel nie będziemy szczędzili wysiłków. Niech Bóg w Niebie ukarze nas, jeśli nie wypełnimy tej misji". Wprawdzie prawie wszyscy zebrani byli albo buddystami, albo szintoistami, i nie mieli wcale zamiaru wyrzekania się swoich religijnych przekonań, ale zależało im na tym, aby o ich patetycznej przysiędze dowiedzieli się muzułmanie, zamieszkali w całej Azji. Zebraniu naturalnie przewodniczył Mitsuru Toyama, a wśród obecnych znaleźli się: Ryohei Uchida, prezes „Czarnego Smoka", Tsuyoshi Inukai, późniejszy premier, oraz wielu innych wybitnych lub wybijających się japońskich polityków. W jakiś czas po tym różni japońscy patrioci zaczęli coraz częściej przechodzić na wiarę Proroka, studiować Koran oraz narzecza arabskie, odbywać pielgrzymki do Mekki, a przede wszystkim rozpraszać się po licznych azjatyckich muzułmańskich skupiskach. Stanowiło to pierwszy krok na drodze, mającej zaprowadzić Japonię do wpływowej godności „głównego i prawdziwego obrońcy Islamu".

Później, gdy po okupacji Mandżurii w 1931 roku, wyspiarskie cesarstwo zaczęło się przemieniać w kontynentalną potęgę, flirt z Islamem stał się jednym z główniejszych posunięć imperializmu „wschodu słońca". Najważniejszym zadaniem w tej diedzinie było naturalnie pozyskanie licznych

wyznawców Mahometa, mieszkających w Chinach, Indiach Wschodnich Indiach Holenderskich i na Malajach — co znacznie ułatwiała poprzednia, pionierska i przewidująca akcja „wielkiego starca Japonii". W 35 lat po przysiędze buddyjskich entuzjastów Islamu liczni, doskonale wyszkoleni, japońscy muzułmańscy misjonarze krzewili wiarę Proroka na lądzie azjatyckim, Japonia zaś zaczęła reklamować niezbyt oczywisty fakt, że pewna część jej ludności została również nawrócona. Z czasem w Kobe i Tokio wzniesiono okazałe meczety, a w 1938 roku dzielny gen. Senjuro Hayashi, były premier, lecz stały wielbiciel Mitsuru Toyamy, zorganizował nie tyle liczne, ile głośne „Stowarzyszenie Muzułmanów Wielkiej Japonii". W rok później rząd japoński zaofiarował pobożnym muzułmanom, zamieszkałym w Azji Wschodniej i Południowej, pokaźny statek na bezpłatne przejazdy do Mekki i z powrotem. W zamiarach istniało stworzenie całej flotylli przewozowej, ale piękne plany pokrzyżował wybuch drugiej wojny światowej. Wprawdzie świat Islamu nie zdążył uznać przewodnictwa Japonii, mimo to liczni, chociaż nie wszyscy, muzułmanie na terenie Malajów i Wschodnich Indii Holenderskich witali w 1942 roku wkraczające wojska japońskie jako wybawców z pod opresji „białych giaurów".

Dyskrecja angielska jest nawet nie tyle przysłowiowa, ile często zdumiewająca. Trzeba jednak pamiętać, że od 1902 do 1922 roku Japonia była sojusznikiem Wielkiej Brytanii, a potem Whitehall stosował wobec wyspiarskiego cesarstwa tradycyjną politykę „łagodzenia" i nie chciał wzniecać nowych nieporozumień lub wracać do starych. Prawdopodobnie z tego właśnie powodu rząd brytyjski nie ogłosił danych, dotyczących japońskiej działalności w Indiach w czasie pierwszej wojny światowej. Podobne ogłoszenie mogłoby się stać w swoim czasie prawdziwą rewelacją, ponieważ Japonia — walcząc po stronie sojuszników z państwami centralnymi — zakładała jednocześnie możliwość klęski koalicji, do której należała, i chciała „na wszelki wypadek" pozyskać dla siebie Indie. Od 1914 roku japońska penetracja do kolonialnego cesarstwa, będącego „perłą w koronie brytyjskiej" przybierała coraz większe rozmiary. Oprócz zwyczajowych fryzierów i fotografów, w portach indyjskich lądowali uprzywilejowani „turyści" z kraju „wschodu słońca": duchowni muzułmańscy, a zwłaszcza buddyjscy, oraz liczni uczeni, zainteresowani w badaniach archeologicznych, religijnych, kulturalnych i wszelkich innych. Naturalnie nawiązywali oni kontakty z miejscowymi radykałami, zaopatrywali ich w broń i pieniądze, a nawet pomagali im w pracy terorystycznej. W odpowiedzi na to — od czasu do czasu — angielski Intelligence Service deportował z Indii różnych, zbyt skompromitowanych Japończyków, ale działo się to na małą skalę, bez żadnego rozgłosu, słowem: dyskretnie.

Rząd w Tokio oczywiście odżegnywał się od akcji japońskiej w Indiach i czynił to niemal szczerze, ponieważ była ona głównie dziełem kilku patriotycznych stowarzyszeń, inspirowanym przez Mitsuru Toyamę za błogosławieństwem kół wojskowych. Patron „Czarnego Smoka" bowiem patrzał w przyszłość — i w związku z tym jego ulubiona organizacja werbowała nowych członków również wśród Hindusów, niezadowolonych z rządów angielskich. W 1915 roku doszło nawet do pewnego, chociaż chwilowego zaostrzenia w przyjaznych stosunkach brytyjsko - japońskich, ponieważ do Japonii przybył Rash Behari Bose. Był to energiczny i przedsiębiorczy człowiek, który urodził się w Bengalu w 1878 roku i z czasem — na podstawie otrzymanego wykształcenia — został urzędnikiem w Cesarskim Instytucie Leśnym w Dehra Dun, aby później przyłączyć się do hinduskich terorystów i dość prędko zająć wśród nich jedno z miejsc czołowych. Z tego właśnie powodu spotkał się on z wysłannikami „Czarnego Smoka" i przejął od nich metodę pracy: stał za kulisami wielu zamachów, ale przeważnie nie angażował się jako bezpośredni wykonawca. Swoją karierę na tym polu zaczął od zorganizowania rzucenia bomby na

lorda Hardinge'a, wicekróla Indii, z okazji jego wjazdu do Delhi w grudniu 1912 roku. Po tym wziął udział w wielu innych terorystycznych imprezach i spiskach — m.in. opracował w 1915 roku plan zbrojnej rewolty w Penjabie, a w Benaresie znów usiłował zgładzić niezabitego poprzednio wicekróla. Tym razem jednak bomba wybuchła zawcześnie w jego rękach i poważnie go zraniła; poza tym policja znajdowała się już na jego tropie, musiał przeto ratować się ucieczką do Japonii. Przybycie niespodziewanego gościa sprawiło władzom japońskim poważny kłopot, gdyż rząd w Londynie bardzo energicznie domagał się wydania go w ręce brytyjskiej sprawiedliwości. Rząd w Tokio był gotów to uczynić, ale Bose przezornie zaapelował o pomoc do Toyamy. „Postaram się dla pana coś niecoś uczynić — odpowiedział mu skromnie patron „Czarnego Smoka". — Proszę u mnie zamieszkać, w moim domu nie spotka pana nic złego".

Sir Conyngham Greene, ówczesny ambasador brytyjski w Tokio, napróżno się denerwował i ciągle interweniował w japońskim ministerstwie spraw zagranicznych w sprawie wydania Bose. „Toyama temu się sprzeciwia" — odpowiadał mu stale strapiony minister. Wreszcie pojechali obaj na ulicę, na której mieszkał patron „Czarnego Smoka". Od paru miesięcy jego dom był otoczony gęstym, potrójnym kordonem policji, który zresztą wszystkich przepuszczał i czyhał jedynie na hinduskiego terorystę. W odległości dwudziestu kroków od kordonu, za otwartą i przez nikogo niebronioną bramą, Bose wygrzewał się na słońcu w małym ogrodzie, ale nie zdradzał żadnej chęci do spaceru poza obrębem nietykalnej rezydencji. Na ten widok w sir Conyngham Greene zawrzała bohaterska krew przodków i zapominając o dyplomatycznej rezerwie zaczął wykrzykiwać do towarzyszącego mu ministra: „Brać go! Jest tak blisko, teraz nie może uciec!" „Bardzo mi przykro, ale jest to niemożliwe — odpowiedział japoński dostojnik. — Sam pan widzi, jaka jest sytuacja: przez tę bramę nie ośmieli się przejść żaden policjant i żaden minister nie wyda takiego rozkazu". I dopiero wtedy angielski dyplomata zrozumiał, że sprawiedliwość Wielkiej Brytanii nigdy nie dosięgnie na terenie Japonii hinduskiego terorysty.

Premierem ówczesnego, liberalnego rządu japońskiego, był stary markiz Shigenobu Okuma, wybitny mąż stanu z epoki Meiji, który wiedział, że nie wolno lekceważyć życzeń Toyamy. W 1889 roku, gdy zajmował on stanowisko ministra spraw zagranicznych i prowadził pertraktacje z Amerykanami i Anglikami w sprawie nowych traktatów, młody Japończyk, Tsuneki Kurushima, rzucił na niego bombę. W wyniku tego zamachu Okuma stracił nogę, w szpitalu odwiedził go Mitsuru Toyama, będący wtedy — w wieku 34 lat — dopiero wschodzącą gwiazdą na terorystycznym horyzoncie. Patriota z Fukuoki powiedział nader uprzejmie rannemu ministrowi, że Kurushima działał z jego polecenia i że rzucony pocisk należy uważać za „bombę miłości". Minister spraw zagranicznych bowiem w rozmowach z cudzoziemcami okazywał rzekomo dużo uległości i aby „wzmocnić jego duszę" przewódca „Genyoshy" zdecydował się na udzielenie mu „braterskiego napomnienia". Ranny mógł z tego powodu jedynie się cieszyć, a w 26 lat później, gdy zajmował stanowisko premiera, wciąż pamiętał o swojej „wzmocnionej duszy", ponieważ nie miał nogi. Nie należy posądzać zasłużonego markiza o tchórzostwo, ale nieporozumienie z Toyamą uważał za groźniejsze niż chwilowe niezadowolenie sojuszniczej Wielkiej Brytanii.

Później okazało się, że Toyama miał proroczą wizję przyszłości, gdy zaciekle bronił Bose. Po pobycie w nietykalnej, miejskiej, a następnie górskiej rezydencji „wielkiego straca Japonii" hinduski terorysta odzyskał swobodę ruchu, i w ciągu wielu następnych lat brał czynny udział w pracach „Czarnego Smoka", porozumiewał się z hinduskimi radykałami na całym świecie, zbierał od nich pieniądze, które wraz ze wskazówkami

przesyłał swoim zwolennikom w Indiach, oraz pisał po japońsku książki o brytyjskiej tyranii. W 1923 roku został on nawet japońskim obywatelem, ponieważ poślubił córkę jednego ze zwolenników Toyamy, imieniem Nakamura, i został przez niego zaadoptowany. Po teściu odziedziczył sporą restaurację w tokijskiej dzielnicy Shinjuku, którą prowadził z prawdziwym talentem i wpłynął w znacznym stopniu na postęp w przyrządzaniu swej narodowej potrawy „carry and rise“ przez ogół japońskich kucharzy w Tokio. Sfery rządowe zrozumiały naturalnie ostatnie, jakie korzyści zapewnia im współpraca tego działacza — i na wiosnę 1942 roku, gdy cesarskie wojska zbliżały się do Indii, nie miały wcale kłopotu z wynalezieniem hinduskiego quislinga. Rash Behari Bose opuścił wtedy Japonię, przyleciał do Bangkoku, i wśród wielu uroczystości został zainstalowany jako prezydent „Hinduskiej Ligi Niepodległościowej“ i wódz narodu. W ten sposób mądrość Toyamy — po 27 latach — w pełni zatryumfowała.

Główne marzenia „wielkiego starca Japonii“ jednak kierowały się zawsze w stronę Chin, które wytrwale usiłował — różnymi metodami i posunięciami — zaprząc do japońskiego rydwanu. W tej pracy stał się on jednym z najwybitniejszych promotorów chińskiej rewolucji, zwłaszcza że z jej czołowymi przewódcami mógł spotykać się w swym własnym kraju. Japonia bowiem przez długi czas cieszyła się ogromną popularnością wśród postępowych warstw społeczeństwa „cesarstwa środka“ — i w 1896 roku np. przybyła do niej z China na studia pierwsza partia studentów w liczbie 13 osób. W 10 lat później w japońskich uniwerstytetach studiowało przeszło pięć tysięcy chińskich studentów, a w samej Yokohamie mieszkało prawie 25 tysięcy Chińczyków. Wśród tej kolonii znalazło się naturalnie wielu rewolucjonistów i politycznych emigrantów, do których grona należał również dr Sun Yat-sen, znany później jako „ojciec chińskiej rewolucji“.

Ten wielki działacz i patriota przybył do Japonii w 1898 roku i w ciągu wieloletniego pobytu w tym kraju nawiązał liczne, bardzo bliskie kontakty z różnymi japońskimi sferami, i m.in. szczególnie zaprzyjaźnił się z Mitsuru Toyamą. Na wyspach „wschodu słońca“ zapoznał się on również ze swymi najgłówniejszymi później uczniami i współpracownikami — Wang Ching-Wei'em, który w ciągu pewnego czasu redagował chiński rewolucyjny dziennik „Kuo Min Pao“, wychodzący w Yokohamie, i Chiang Kai-shekiem, który kształcił się na oficera w japońskiej akademii wojskowej. Po wojnie rosyjsko-japońskiej dr Sun Yat-sen zorganizował nawet w Japonii rewolucyjną „Zjednoczoną Ligę“, czyli „Tung Meng Hui“, która z czasem przerodziła się w słynny „Kuomintang“—przy czym dość długo w tej organiczacji pokutowały zasady szowinistycznego nacjonalizmu, zaczerpnięte z „Genyoshy“ i „Czarnego Smoka“. Toyama pokładał w chińskich rewolucyjnych działaczach, a zwłaszcza w ich przewódcy ogromne nadzieje — ale nie zawiódl go tylko Wang Ching-wei.

Gdy w jesieni 1911 roku w Chinach wybuchła rewolucja, rząd japoński ustosunkował się do niej raczej wrogo, ponieważ uważał za bluźnierstwo wystąpienie poddanych przeciw panującej dynastii. Ale Toyama nie podzielał tych przekonań — po raz pierwszy i ostatni w swym życiu opuścił Japonię i pośpiesznie — w towarzystwie Tsuyoshi Inukai oraz innych współpracowników — przybył do Szanghaju, aby z bliska doradzać rewolucjonistom. Ryohei Uchida, który poprzednio nauczył się po rosyjsku i wydał książkę o Rosji, z kolei opanował chiński i ogłosił rozprawę pod wymownym tytułem „Jak zreformować Chiny?“ Terenem jego działalności stał się Nanking, gdzie w dniu 1 stycznia 1912 roku wziął udział w podniosłej uroczystości proklamowania dr Sun Yat-sena pierwszym prezydentem nowej republiki. Prezydent jednak nie poszedł za radami japońskich przyjaciół i doradców, i wkrótce — mając na celu zjednoczenie kraju — zrzekł się swej godności na rzecz marszałka Yuan Shih-kai.

Później okazało się, że ten gest nie przyniósł spodziewanych korzyści — i po pierwszej nastąpiła druga rewolucja. Zanim jednak to się stało urażony Toyama wraz ze znaczną częścią swoich współpracowników powrócił do Japonii.

„Druga rewolucja" nie została uwieńczona sukcesem — były prezydent i pechowy idealista, dr Sun Yat-sen, musiał się ratować ucieczką do Japonii, która tym razem nie chciała go nawet przyjąć. Ale Mitsuru Toyama był wciąż wierny dawnej przyjaźni— niezwłocznie interweniował, zapowiedział rządowi, że zastosuje wobec niego „drastyczne środki", i dopiero wtedy „ojciec chińskiej rewolucji" otrzymał pozwolenie na pobyt na ziemi japońskiej. W ciągu przeszło trzech następnych lat mieszkał on w domu patrona „Czarnego Smoka" w Tokio, w którym został zainstalowany naczelny sztab rewolucyjnego ruchu. W 1914 roku do Japonii powrócił wybijający się wojskowy przewódca tego ruchu, Chiang Kai-shek, i naturalnie również osiadł na parę lat pod tym samym gościnnym dachem. W ten sposób w Tokio znów zaczęła działać dość pokaźna gromada znanych chińskich rewolucjonistów, którzy przy japońskiej pomocy i najbliższej współpracy Toyamy przygotowywywali się do wielkiego dzieła zjednoczenia i zreformowania Chin.

Następne lata wykazały, że wydarzenia na terenie olbrzymiego państwa chińskiego nie zawsze układały się tak, jak tego chcieli japońscy protektorzy rewolucji i walk domowych. Dr Sun Yat-sen w swej późniejszej działalnosci postępował dość niezależnie, a w ostatnich latach swego życia utracił względy u Toyamy, ponieważ sprzymierzył się z rosyjskim komunizmem. Wprawdzie w 1927 roku jego następca, Chiang Kai-shek krwawo rozprawił się z komunistami, ale wcale nie zaczął szukać japońskiego protektoratu, i odrodzenie kraju oparł na odrodzeniu narodu. Nie należy jednak w tym wszystkim dopatrywać się klęski Toyamy, gdyż tryumf jego jest oczywisty. Opracował on bowiem i pierwszy zastosował na większą skalę nowe sposoby opanowania Chin, które dość prędko weszły do stałego repertuaru wyspiarskiego cesarstwa.

Melancholia starości objawia się najwyraźniej w zamiłowaniu do wiecznie tych samych złudzeń. W jesieni 1941 roku, gdy niewypowiedziana wojna japońsko-chińska weszła w piąty rok swego trwania, Toyama wciąż wysyłał długie listy do Chiang Kai-sheka nawołując go, aby opamiętał się i zaakceptował żądania Japonii. Wielki przewódca narodu chińskiego stale odpowiadał mu obszernie i uprzejmie, ale nie chciał odstąpić od swoich warunków pokoju. Ta korespondencja, przesyłana tajemnymi drogami w obie strony na odcinku Tokio-Chungking, stanowi z pewnością nader osobliwą cechę japońsko-chińskich wojennych stosunków, chociaż na Wschodzie często się dzieją jeszcze bardziej dziwne i dla Europejczyków niezrozumiałe rzeczy. Stary Toyama bowiem nie chce wyleczyć się ze złudy i ciągle wierzy, że Chiang Kai-shek w głębi swego serca jest „wierny Japonii", postępuje zaś odwrotnie, ponieważ znajduje się pod wpływem „nieodpowiednich doradców". I sędziwy „super-patriota" nienawidzi tych wszystkich doradców, do których grona zalicza również rządy Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych, a przede wszystkim Mei-ling Soong, żony marszałka. W tym ostatnim wypadku ma zresztą rację, ponieważ ta wyjątkowa, łącząca — co stanowi prawdziwą rzadkość — urodę z rozumem kobieta, znana w Chinach jako „Madame", stała się rzeczywiście płomiennym natchnieniem chińskiego oporu. „Córka bankierów — pogardliwie nazywa ją Toyama. — Chce sprzedać Chiny plutokratom angielskim i amerykańskim. Opętała do tego stopnia biednego Chianga, że nie widzi on wyciągniętej do niego, braterskiej dłoni Wielkiego Nipponu. Zawsze mówiłem, że ta kobieta zagubi go i zaprzepaści Chiny".

Naturalnie nikt w Japonii nie krytykuje złudzeń Mitsuru Toyamy—nie są one zbyt liczne, a poza tym osiągnął on tak wielki stopień nieomylności,

że może pozwolić sobie — chociaż brzmi to paradoksalnie — na pewne pomyłki. Żadna zresztą z jego akcji nie była daremna — każda coś zapoczątkowała, rozwinęła i poważnie zasiliła ogólny, wielki nurt japońskiego imperializmu. Poza tym dla obecnego pokolenia mieszkańców kraju „wschodu słońca“ „wielki starzec“ w znacznej mierze przestał już być żywym człowiekiem. Wyrósł on do roli pomnika, najwspanialszego z pośród tych, które się znajdują w jego ogrodzie, i przedstawiającego nie tylko twórcę i realizatora idei, lecz przede wszystkim symbolizującego „Dai Nippon“ — Wielką Japonię.

HENRY A. WALLACE

DEMOKRACJA NADZIEJĄ CYWILIZACJI

Przemówienie wygłoszone w Delaware (Ohio), 8 *marca* 1943.

W świecie w którym żyjemy, istnieją dziś trzy wielkie filozofie:

Pierwsza, oparta na przewadze siły nad prawem głosi, że wojny między narodami są nieuniknione aż do czasu, gdy jeden naród panów nie zapanuje nad całym światem, po czym brutalny i samozwańczy Fuehrer wyznaczać będzie każdemu jego codzienne obowiązki.

Druga — filozofia marksizmu — głosi, że walka klas trwać będzie tak długo aż na całym świecie zapanuje proletariat, który przystąpi do jednoklasowej budowy społecznej.

Trzecia — znana nam z własnego doświadczenia, jako filozofia Demokratyczna i Chrześcijańska — przeczy jakoby człowiek przyszedł na świat po to, by walczyć czy to w wojnie, czy też w walce klas i głosi śmiało, że ostateczny pokój jest nieunikniony, że wszyscy ludzie są braćmi i że Bóg jest ich Ojcem.

Ta filozofia demokratyczna ożywia nie tylko serca i dusze Chrześcijan, zarówno protestantów jak i katolików, ale i tych, którzy natchnienie swe czerpią z mahometanizmu, judaizmu, hinduizmu, konfucjanizmu i innych wyznań religijnych. Jeśli spojrzymy poprzez formy zewnętrzne na ich treść istotną, przekonamy się, że wszystkie te wyznania, każde na swój sposób, głoszą doktrynę godności ludzkiej, doktrynę, że Bóg przeznaczył człowieka na dobrego sąsiada swego bliźniego i doktrynę istotnej jedności całego świata. Ci, co myślą w pierwszym rzędzie o indywidualiźmie, głoszą wolność. Ci, co myślą przede wszystkim o jedności zarówno narodowej jak i międzynarodowej, głoszą świętość zaciągniętych zobowiązań. Między wolnością a obowiązkiem istnieje pozorna sprzeczność i właśnie zadaniem ducha demokracji jest usunięcie tej sprzeczności.

Jedynie przez religię i wychowanie może miłująca wolność jednostka zdać sobie sprawę z tego, że tylko w służbie najwyższej jedności, powszechnego dobra ogółu, znajdzie największą radość życia. Prawda ta będąca istotą demokracji musi zdobyć sobie serca ludzi całego świata, jeśli cywilizacja ludzka nie ma ulec doszczętnemu zniszczeniu w szeregu wojen i rewolucyj straszniejszych aniżeli jakiekolwiek, przez które ludzkość już przeszła. Demokracja jest nadzieją cywilizacji.

By zrozumieć znaczenie tych trzech filozofij dominujących w świecie współczesnym, przyjrzymy się każdej z nich z osobna.

W ciągu ostatnich 80 lat, głównym głosicielem zasady o świetności i nieuchronności wojny były Prusy.

Z natury swej ludzie prości w Prusach są dobroduszni i pracowici, są doskonałymi obywatelami tam, gdzie nie pozostają pod wpływem doktryny, że siła tworzy prawo. Światopogląd pruski pozwala wyznawcom swoim

na posiadanie najwyższych cnót, lecz cnoty te są w końcu oddawane na usługi najwyższego zła.

Hitler, przywłaszczywszy sobie pruską tradycję militarystyczną uczynił z niej potężną broń w swym ręku i robiąc z niej użytek z całym swym fanatycznym obłędem, stał się Antychrystem obecnego pokolenia — być może najpełniejszym wcieleniem Antychrysta jaki kiedykolwiek istniał. Nie wystarcza obalić Hitlera. Musimy zrozumieć początki i rozwój ducha pruskiego i jeśli pragniemy zapewnić światu trwały pokój, musimy coś uczynić, by przeciwdziałać temu duchowi.

Postawa pruska wobec wojny i supremacji siły posiada głęboko tkwiące korzenie. Czy sięga czasów Cezara, czy też ukształtowała się dopiero w wiekach średnich pod wpływem Krzyżaków, nie wiemy, ale jedno jest pewne: od czasu Fryderyka Wielkiego Prusacy świadomie przyswoili sobie doktrynę wojny totalnej, a państwo totalne stało się dla nich głównym celem człowieka.

Bismarck i Wilhelm II zmodernizowali i nadali oszukańcze, choć bezwstydne pozory temu co Fryderyk Wielki stworzył. Niedługo po objęciu władzy przez Wilhelma II, wiele jeszcze lat przed pierwszą wojną światową, jeden z bardziej ludzkich generałów niemieckich oświadczył w przemówieniu do żołnierzy:

„*Cywilizacja nasza musi budować swą świątynię na stosach trupów, w oceanie łez i wśród jęków ginących mas ludzkich*".

Dziś przekonaliśmy się ze smutkiem, że słowa te nie były wypowiedziane na wiatr. Ale z pomocą Boga wkrótce już przestaną być prawdziwe. Bernhardi i Treitschke w dziełach swych i w swych wykładach głosili gloryfikację wojny i konieczność zatargu Niemiec z Anglią, czy Francją, głosili, że Fryderyk Wielki, Moltke, Bismarck są czymś więcej aniżeli Goethe, Schiller, Bach i Beethoven. Hegel zbudował na mocnych i głębokich fundamentach filozofię totalnego państwa. Inni filozofowie, szczególnie Nietsche, skorzystali z doktryn Darwina o doborze naturalnym i *survival of the fittest*, by zbudować pozornie naukowy, lecz fałszywy materializm dla usprawiedliwienia wszelkich brutalnych czynów.

Mówiąc w ten sposób, nie chcę twierdzić, że Prusy były jedynym nikczemnym państwem na świecie. Anglia, Francja, Hiszpania i Stany Zjednoczone nie zawsze były doskonałe.

Ale Prusy i Japonia były jedynymi krajami, które przez pokolenia całe poświęcały najwyższe cnoty swych obywateli gloryfikacji państwa i dla zbrutalizowania wojny.

Przodkowie wielu rodzin pochodzenia niemieckiego w Stanach Zjednoczonych byli członkami mniejszości w Niemczech, która opierała się skrajnym tendencjom militarystycznym. Tysiące tych dysydentów emigrowało do Ameryki w ciągu 20 czy 30 lat po klęsce rewolucji 1848 roku. Ich dzieci, wnuki i prawnuki są dziś najlepszymi obywatelami Stanów Zjednoczonych. Z całym patriotyzmem biorą udział w tej wojnie o wolność i mamy prawdziwy szacunek dla ducha, który okazali.

Dopiero po roku wiosny ludów, po roku 1848, liberalna cywilizacja starych Niemiec została całkowicie zastąpiona kultem siły i potęgi. W tym okresie niespełna stu lat, pod Bismarckiem, Wilhelmem II i Hitlerem, Niemcy wszczęły pięć napastniczych wojen.

W wyniku tego rozwoju, w okresie ostatnich lat trzydziestu, duch pruski spowodował śmierć conajmniej 20 milionów ludzi, kalectwo conajmniej dalszych 10 milionów ludzi i zmusił świat do strwonienia setek miliardów dolarów na zniszczenie, nienawiść i śmierć. Jakże inaczej wyglądałby świat, gdyby te olbrzymie sumy poświęcono dziełom pokoju, dobrobytu i porozumienia.

Ludzie krwi niemieckiej nie są ani lepsi ani gorsi od Anglików, Amerykanów, Szwedów, Polaków, czy Rosjan. Ale tradycja pruska ubiegłego

stulecia a w szczególności wychowanie hitlerowskie ostatnich lat dziesięciu wytworzyło jedność psychiczną tak potworną i tak niebezpieczną dla całego świata, że jest absolutnie niezbędne by po tej wojnie wychowanie niemieckie poddane zostało kontroli. Nauczyciele pruscy mieli dla armii niemieckiej nie mniejsze znaczenie, niż pruscy oficerowie, a podręczniki pruskie miały większą wartość, aniżeli amunicja. Gdyż dopiero ta zdyscyplinowana wola przemocy i uwielbienie wojny, jako metody nauczania, uczyniła z armii niemieckiej straszliwe narzędzie siły.

Podobnie jak Hitler przejął tradycję pruską i uczynił z niej zorganizowany gangsteryzm, przejął też pruski system szkolny, by go ujednostajnić i tą drogą wciągnąć miliony niemieckich chłopców i dziewcząt w zbrodniczy spisek, obliczony na podbój świata. Dzieci niemieckie wychowane zostały w ślepej wierze, że państwo jest ważniejsze od jednostki i że jednostka musi być gotowa do poświęcenia się za naród niemiecki i za Fuehrer'a. Zaczynając od młodych matek i ojców, żyjących w małżeństwie, lub bez małżeństwa i umieszczając dzieci w przedszkolach i szkołach dla różnych grup wieku, Hitler zdołał wszczepić w dzieci niemieckie zasadę „wodzostwa" — głosząc, że podobnie jak w naturze, toczy się wśród ludzi wieczna walka między słabymi i silnymi i że „zmurszałe" demokracje skazane są na zagładę pod naciskiem przemożnej potęgi elity nazistowskiej.

Chłopcy niemieccy szkoleni byli systematycznie w brutalności. Dziewczęta niemieckie były równie systematycznie wychowane w wierze, że najwyższym ich obowiązkiem jest macierzyństwo w związku małżeńskim, lub poza nim, posiadanie dzieci ofiarowanych służbie ojczyzny i Fuehrer'a. Przez wprowadzenie mistycznych tańców pogańskich, sabatów, festiwalów na szczytach górskich i innych obrzędów, ci chłopcy i dziewczęta nauczyli się widzieć w Hitlerze istotę boską i modlą się do niego, jak do Boga.

Zły wpływ tego systematycznego upadlania milionów niemieckich chłopców i dziewcząt nie da się odrobić w krótkim czasie. Nawet i śmierć Hitlera nie zmieni tego stanu rzeczy, gdyż te dzieci Hitlerowskie, wychowane w jego kulcie, będą nadal wierzyły, że pozostał on ich wodzem z ducha. Nieżyjący Hitler może się okazać równie niebezpieczny, jak Hitler żywy. I tu stajemy wobec tego niezmiernie trudnego zagadnienia, które Narody Zjednoczone będą musiały rozwiązać, jeśli zbliżające się zwycięstwo ma przynieść coś więcej aniżeli krótką chwilę wytchnienia, zanim nowy napad pruski spadnie na świat.

Narody Sprzymierzone nie mogą decydować o tym, co przyszłe szkoły niemieckie będą nauczać. Nie mamy również zamiaru naśladować hitlerowskiej orgii palenia książek.

Ale pokój świata wymaga bezwzględnie dopilnowania, by w szkołach tych nie uczono prusjanizmu, hitleryzmu, ani ich odmiany. Istnieje wielu kulturalnych Niemców, których postawa wobec świata jest wzorowa i którym moglibyśmy powierzyć zadanie napisania na nowo niemieckich podręczników szkolnych we właściwy sposób. Jestem przekonany, że ludzie ci glorfikować będą pokój i uczciwość międzynarodową i odbudują kulturę niemiecką Beethovena, Schuberta, Schillera i Goethego i stopniowo przygotują Niemców duchowo do uznania faktu, że kodeks praw człowieka jest niemniej ważny od kodeksu obowiązków wobec państwa.

Nie ulega wątpliwości, że tysiące młodych Niemców wróci z wojny gorzko rozczarowanych prusjanizmem i hitleryzmem. Tysiące młodych i starszych ożywionych będzie tym samym uczuciem. Będą oni naprawdę gotowi dopomóc w budowie nowych, demokratycznych Niemiec, a my ze swej strony, nie robiąc najmniejszych nawet ustępstw na rzecz wojowniczego ducha Prus, winniśmy namawiać ich, aby taką próbę podjęli. Potrzebna nam będzie pomoc wszystkich Niemców, którzy dowodnie wykażą, że nie wierzą w mit „*narodu panów*" i szczerze przeciwstawią się doktrynie, że siła tworzy prawo. Nowe wychowanie którego się domagamy nie

powinno tłumić żadnego szczerego pragnienia usprawnienia demokracji i współżycia pokojowego z całą rodziną narodów świata.

Nie będzie konieczne, by Amerykanie nauczali w szkołach niemieckich. Rzeczą najważniejszą będzie dopilnowanie, by kult wojny i oszustwa międzynarodowego nie był uprawiany w szkołach jako cnota. Nie możemy naśladować łatwego i niedołężnego puszczania w niepamięć, które cechowało postępowanie Anglii i Francji w stosunku do Niemiec w dziesięcioleciu poprzedzającym wojnę. Koszt takiego krótkowzrocznego uspakajania, liczony w ofiarach ludzi i pieniędzy, jest zbyt wielki. Nie wolno nam iść tą błędną i tragiczną drogą.

Wszystko co dotychczas mówiłem dotyczyło prusjanizmu. Chciałbym teraz mówić o marksizmie. Światopogląd ten jest w pewnej mierze dzieckiem prusjanizmu, gdyż Marx, arcykapłan tego światopoglądu, kształtował się na Heglu, wielkim filozofie państwa pruskiego.

Marksizm posługuje się Czeką, podobnie jak prusjanizm posługuje się Gestapo, ale nigdy nie głosił, że wojna międzynarodowa jest narzędziem polityki narodowej. Marksizm nie głosi, że jeden naród jest lepszy od innych.

Niejedno z poczynań marksizmu w ciągu ostatnich lat 10, które na zachodzie były najostrzej potępiane, miało swe źródło w lęku przed Niemcami.

Naród rosyjski, wyznający marksizm, jest zasadniczo bardziej religijny, aniżeli Prusacy. Olbrzymie masy narodu rosyjskiego zawsze jeszcze zgłodniałe są pokarmu duchowego. Rosjanie mają lepszą sposobność znalezienia tego duchowego pokarmu, aniżeli Prusacy, pod swoimi rządami gloryfikującymi przemoc starych teutońskich bogów.

Ta sprawa wolności religijnej w Rosji śledzona jest przez Kościół Anglikański i Rzymsko-Katolicki w Ameryce. W jednym z niedawnych numerów czasopisma *Commonwealth*, którego nie można posądzić o sympatie marksistowskie, redaktor omawiał dwie książki napisane przez wygnańców rosyjskich w sprawie położenia kościoła w Rosji. Przy pomocy cytat z obu książek, jednej napisanej pod auspicjami kościoła anglikańskiego, drugiej przez autora, który jest profesorem Uniwersytetu Fordham, redaktor doszedł do wniosku, że położenie kościoła chrześcijańskiego w Rosji doznało zdecydowanej poprawy.

Przyszłe dobro świata zależy od tego czy marksizm stopniowo modyfikowany w Rosji i demokracja w postaci przystosowanej do warunków dwudziestego wieku mogą współżyć ze sobą w pokoju. Marksizm staroświecki utrzymywał, że demokracja służy sprawie prostych ludzi komunałami raczej aniżeli możliwością pracy i że wiara w demokrację prowadzi do słabości organizacji rządu. My sami, jako wyznawcy demokracji musimy przyznać, że nowoczesna nauka, wynalazki i technologia dostarczyły nam nowych butelek, których nie wypełniliśmy jeszcze winem demokratycznego ducha.

Pod niektórymi względami Prusacy i Rosjanie dostrzegli znak czasu lepiej od nas — a mam nadzieję, że politycy reakcyjni nie będą powoływać się na to zdanie wyrwane z całości, by udowodnić, że jestem zwolennikiem dyktatury. Prawdą jest, że Prusacy skutecznie wykonali zadanie takiego usprawnienia biurokracji by mogła skoordynować siły społeczne w służbie państwa. Rosjanie położyli wielki nacisk na służenie prostym ludziom i pozyskanie ich entuzjastycznego poparcia.

Wierzę, że demokracja jest jedynym prawdziwym wyrazem chrześcijaństwa, ale jeśli ma nie zdradzić nauki Chrystusa, demokracja musi się stać nieporównanie bardziej, aniżeli dotychczas, skuteczna w słuzbie prostych ludzi i w oporze swym przeciwko naciskowi grup egoistycznych.

Po zakończeniu tej wojny, narody demokratyczno-kapitalistyczne będą musiały dowieść, że są w najwyższym stopniu zainteresowane kwestią

pełnego zatrudnienia i pełnego zużytkowania zasobów naturalnych. Będą musiały udowodnić, że zdolność konsumpcyjna narodu może być zrównana z jego zdolnością produkcyjną i że prawo do pracy stałej i godziwych zarobków jest niezbędne dla prawdziwej godności człowieka.

Jeśli demokracje zachodnie zapewnią pełne zatrudnienie i wzrost produkcji, nie będą musiały żywić obaw, że przestarzała komunistyczna propaganda od wewnątrz podniesie na nowo głowę.

Jeśli nie zapewnią pełnego zatrudnienia, propaganda komunistyczna tego rodzaju okaże się nieunikniona i ani rząd rosyjski, ani nasz własny, ani żaden inny rząd nie może zrobić niczego, by temu zapobiec.

Gdyby bezrobocie miało trwać przez dłuższy okres czasu, wówczas jedynym pytaniem istotnym będzie, czy padniemy wcześniej ofiarą doktryn pruskich, czy marksistowskich.

Wierzę w doktrynę demokratyczną — w religię opartą na społecznym wyznaniu wiary proroków, na serdecznej trosce Chrystusa i mądrości mężów, którzy zbudowali konstytucję Stanów Zjednoczonych i przyjęli Księgę Praw. Z tradycji i wychowania wiemy, że można pogodzić wolność i prawa jednostki z obowiązkami, których wymaga od nas dobro ogólne. Wierzymy w tolerancję religijną i rozdział kościoła od państwa, musimy jednak tchnąć w dawne formy nowego ducha, by sprostać wymaganiom nowych dokonań.

Być może jeszcze w tym roku, lub w roku 1944 przesądzimy możliwość wybuchu trzeciej wojny światowej. Wojna ta będzie nieunikniona, jeśli pozwolimy Prusom uzbroić się na nowo materialnie, czy moralnie. Wojna ta będzie prawdopodobna, jeśli oszukamy Rosję podstępem.

Wojna ta będzie prawdopodobna, jeśli nie potrafimy zapewnić wszystkim pełnego zatrudnienia po zakończeniu działań wojennych i jeśli dopuścimy, by faszyzm w swej przeciw-rosyjskiej stronniczości zawładnął sterem naszych rządów.

Jeśli demokracje zachodnie i Rosja nie osiągną zadawalającego porozumienia przed końcem tej wojny, trzecia wojna światowa będzie nieunikniona. Bez ścisłego, opartego na zaufaniu porozumienia między Rosją i Stanami Zjednoczonymi, narazimy się na niebezpieczeństwo, że wcześniej czy później, Rosja i Niemcy połączą się dla wspólnego celu.

Jest oczywiście możliwe, że zarzewie trzeciej wojny światowej może być rozniecone akcją innych mocarstw, nawet jeśli Stany Zjednoczone pójdą drogą polityki najbardziej konstruktywnej. Na przykład, wojna taka byłaby nieunikniona, gdyby Rosja podjęła na nowo ideę Trockiego wzniecenia rewolucji światowej, lub gdyby interesy brytyjskie okazały się raz jeszcze życzliwe wobec anty-rosyjskich działalności w Niemczech i innych krajach.

Inną możliwą przyczyną trzeciej wojny światowej mogłaby być nasza własna gotowość powtórzenia błędów, popełnionych po pierwszej wojnie światowej. Gdy państwo wierzycielskie podnosi taryfy celne a równocześnie domaga się od innych państw spłaty długów, nie pozwalając tym państwom płacić w towarach, dochodzi do podrażnienia i nieporozumień, które, wcześniej czy później, prowadzą do wojen celnych, które wiodą z kolei do rozlewu krwi.

Ewangelia Chrystusa każe karmić głodnych, przyodziewać nagich, leczyć cierpiących i pocieszać dotkniętych nieszczęściem. Chrystus głosił, że miłość Boga objawia się w miłości bliźniego.

Za życia Chrystusa bliźni żyli w promieniu kilku mil. Dziś samolot zamienił świat cały w sąsiedztwo bliźnich. Polityka dobrego sąsiedztwa w życiu wewnętrznym i w stosunkach międzynarodowych jest polityką chrześcijańską. Głosiciele izolacjonizmu i nienawiści do innych narodów głoszą odmianę pruskiego nazizmu, którego jedynym wynikiem może być tylko wojna.

Jeśli pragniemy pokoju, musimy odnosić się do innych narodów w duchu demokratycznego chrystianizmu. Musimy zastosować naszą wiarę w życiu. Nasze stosunki z Chinami na przykład, musimy oprzeć na podniesieniu materialnego i moralnego dobrobytu narodu chińskiego. Postępowanie takie nie tylko przyniesie duchowe korzyści nam samym, nie tylko przyczyni się walnie do zapobieżenia wojnie, ale podniesie nasz dobrobyt materialny. Mówiąc to, nie przemawiam w duchu misjonarskim prekursora jakiegoś nowego imperializmu.

Blisko połowa całej ludności świata skupiona jest w Azji Wschodniej. Siedem ósmych tej ludności stanowią analfabeci, ale wielu z nich słucha radia, zdaje sobie sprawę, że życie idzie naprzód i są zdecydowani iść naprzód ze światem. Możemy za ich zgodą dopomóc w podniesieniu ich zrozumienia konieczności wyższego poziomu życia, uniknąć zamieszania i anarchii, wynikającej z ich niewiedzy.

W ciągu całych dziejów każdy wielki naród miał sposobność dopomożenia sobie przez dopomaganie innym. Jeśli skorzystamy z takiej sposobności ze zrozumieniem i wielkodusznością, otworzy się przed nami nieskończoność możliwości praktycznych. Tysiące ludzi interesu w Stanach Zjednoczonych doznało takiego doświadczenia na mniejszą skalę, w kręgu ich własnych interesów, gdy dzięki oświeconemu postępowi zwiększyli swój własny dobrobyt, a równocześnie dali możność zarobków swym sąsiadom. Chrystianizm nie jest ani błądzeniem w obłokach, ani naiwnym idealizmem. W zastosowaniu na skalę światową jest wybitnie praktyczny. Przyjaźń między narodami pozostaje w ich pamięci. Ludzie głodni nie zapominają doznanej pomocy.

My Amerykanie, mając obecnie największe możliwości jakie kiedykolwiek stały przed jakimś narodem, nie chcemy narzucać niczego innym narodom, ani ofiarowywać naszych zasobów materialnych, czy wiedzy technicznej, czy sposobu myślenia tym, którzy tego nie pragną. Jesteśmy natomiast pewni, że jeśli podejmiemy odpowiedziałność, którą wola Opatrzności złożyła na naszych barkach, wiele życzliwych nam narodów zwróci się do nas o pomoc. Jeśli nie pozostaniemy głusi na te wołania, damy wyraz nie tylko duchowi chrześcijaństwa, ale wypełnimy nakaz fundamentalnego prawa życia. Demokracje zachodnie muszą wykazać praktyczność swej religii w życiu.

Musimy wyciągnąć pomocną dłoń do Chin i do Indii. Musimy być stanowczy i sprawiedliwi wobec Prus. Musimy postępować uczciwie i sprawiedliwie wobec Rosji i odnosić się nie tylko pobłażliwie, ale pomocnie do wysiłków Rosji rozwiązania ekonomicznych zagadnień na jej własny sposób. Musimy wykazać, że zdolni jesteśmy do świecenia przykładem na nasz amerykański, demokratyczny sposób w zapewnieniu pełnego zatrudnienia i pełnej produkcji dla dobra prostego człowieka.

Współpracując z resztą świata nad wykorzystaniem zasobów produkcyjnych, podniesiemy nie tylko poziom naszej własnej stopy życiowej, ale dopomożemy innym w podniesieniu ich poziomu. Nie chodzi o to, byśmy naszym własnym dzieciom odbierali chleb od ust, by nakarmić dzieci innych narodów, ale o to, byśmy w współpracy z wszystkimi wydobyli z każdego, całą energię, by pełnię tego świata bożego oddać w służbę całej ludzkości.

Przekład F. B. C.

DOROTA FALSKA

BEATRICE WEBB

Z końcem kwietnia bieżącego roku zakończyła życie Beatrice Webb. Prasa angielska wszystkich odcieni złożyła hołd jej pamięci i przypomniała dziwne koleje jej życia. Czytając te wspomnienia i nekrologi czytelnik

dopiero uprzytamnia sobie, że oto dobiegło kresu życie człowieka, który już na długo przed śmiercią należał do historii przez wielkość i wagę swojego wkładu w dorobek umysłowy i społeczny całego pokolenia. Nie trzeba było aż śmierci Beatrice Webb, by na sam dźwięk jej nazwiska doznać uczucia jakie wywołuje wyniosły pomnik, wielka data historyczna lub myśl o wydarzeniu, tkwiącym w odległej już nieco przeszłości, choć wciąż odczuwalnym w teraźniejszości.

Samo życie Beatrice Webb było jak gdyby klamrą, spinającą jakże zamierzchły, spokojny okres epoki wiktoriańskiej z naszymi dniami krwawej i niszczycielskiej burzy dziejowej. Beatrice Webb urodziła się w styczniu 1858 roku, a więc dziesięć lat po europejskiej Wiośnie Ludów. Dzieciństwo jej i młodość stały pod znakiem tryumfów liberalizmu angielskiego. Była córką Ryszarda Pottera, wielkiego magnata przemysłowego, właściciela angielskich i kanadyjskich kolei żelaznych. Interesy przemysłowe rodziny były niesłychanie rozległe. Kolejnictwo zahaczało o budowę okrętów. Interesy armatorskie zazębiały się o wielkie problemy kolonialne. Przyszła socjalistka w pamiętniku swym pisze, że w latach młodości aż mąciło jej się w głowie od nazw tych niezliczonych towarzystw akcyjnych, których przewodniczącym był jej ojciec. Były tu i kontynentalne koleje europejskie, jakieś plantacje południowo-amerykańskie i bawełna i przędzalnie manchesterskie. Gdzieś, w głębszych nurtach tradycji rodzinnej, przetrwały ślady farmerskiej przeszłości. Jeszcze dziad Beatrice rozpoczynał swą karierę jako farmer, lecz porwany został prądem industrializacji, który przeobrażał oblicze Anglii. Z uprawy roli przeszedł do przędzalni manchesterskich. Był radykałem, religijnym non-konformistą, jednym z owych bujnych okazów młodej, ekspansywnej klasy mieszczańskiej, patronującej Rewolucji Przemysłowej, wynalazkom i odkryciom. W pamięci Beatrice pozostał z kronik rodzinnych fakt, że Torysi wybijali szyby w domu jej dziada, wyrażając w ten sposób oburzenie na jego radykalizm i solidaryzowanie się z kolonistami amerykańskimi, którzy zbuntowali się przeciw Koronie. Lecz w domu rodzicielskim Beatrice Potter tradycje radykalizmu były już przytłumione pojęciami i nastrojami bardziej konserwatywnymi, które zapuszczały korzenie w miarę, jak rodzina obrastała w bogactwo, znaczenie i potęgę. Ojciec jeszcze należał do radykalno-mieszczańskiego *Reform Club*, tego ośrodka postępowców mieszczańskich, jakim klub ten pozostał po dzień dzisiejszy. Lecz wkrótce *Reform Club*, entuzjazmujący się reformami społecznymi, popierający Disraeliego, przestał mu odpowiadać. Przeszedł do Carlton Club'u, twierdzy konserwatywnej myśli politycznej na Pall Mall. Oburzał się na reformy wyborcze Disraeliego, które obniżały cenzus majątkowy i dopuszczały masy obywateli o niskich dochodach do wpływu na losy państwa. Wiara w niezachwialność hierarchii społecznej, opartej na wielkości dochodu rocznego obywatela, panowała wszechwładnie w domu państwa Potter. Hołdowała jej również matka Beatrice, surowa w wymaganiach wobec licznej służby domowej, dla której łagodność lub pobłażliwość w wydobywaniu maksimum wysiłku od ludzi podwładnych sobie, równała się zamachowi na najelementarniejsze podstawy moralności ludzkiej. Sama Beatrice Webb opisała w „*My Apprenticeship*" tę atmosferę młodości w sposób niezwykle dobitny nie dodając nic, ani nic nie ujmując dla upiększenia obrazu.

Ciasny wiktoriański komercjalizm dziwnie się jednak łączył w domu państwa Potter z szerokimi horyzontami intelektualnymi. Młoda Beatrice w salonie domu rodzicielskiego przysłuchiwała się debatom filozoficznym i socjologicznym, w których brały udział najwybitniejsze głowy ówczesnej Anglii. Bywał tam Herbert Spencer, filozof pozytywizmu, wierny przyjaciel rodziny, nieco lekceważony przez pana domu, lecz wiecznie rozprawiający z panią Potter i to w ciągu wielu, wielu dziesiątek lat. Bywał tam wielki przyrodnik Huxley, a czasem nawet znakomity Carlyle, którego

sława filozofa i historyka była już wtedy na dobre ugruntowana. Z gości zagranicznych wymienić należałoby Taine'a który w pamiętniku swym poświęcił pani Potter uwagę pełną podziwu dla jej wykształcenia i polotu. Bo też Pani Potter biła historyka francuskiego swą gruntowną znajomością języków i literatury klasycznej a zwłaszcza greki. W dodatku ta wielka Lady, przyzwyczajona do królowania w stołecznych salonach Society, matka dziewięciorga córek, już w wieku dojrzałym obkuwała się gramatykami całej masy języków żywych i martwych, hebrajszczyzną, włoskim i językami skandynawskimi. Czas wolny od zajęć towarzyskich i dozoru nad wielkim domem i sztabem służby oddawała na swe rozterki filozoficzne i religijne. W tej atmosferze umysł młodej Beatrice nasiąkał nawykiem myślenia, żądzą perspektyw intelektualnych.

Wśród wpływów młodości i lat dojrzalszych najsilniej jednak zaciążył nad jej rozwojem wpływ Herberta Spencera, któremu później poświęciła wiele ciekawych i serdecznych kart w swoim pamiętniku. Spencer był przede wszystkim systematykiem i klasyfikatorem faktów. Masa nowych faktów, ujawnionych przez burzliwy rozwój nauk przyrodniczych, aż prosiła się o to, by ułożyć ją w jakiś wielki ogólny schemat, nadający wielości zjawisk zasadniczą jedność. Tym właśnie była Spencerowska teoria ewolucji, obejmująca szerokimi rzutami biologię, fizykę, socjologię i filozofię. Dominującą nutą jej była wiara w fakt, oraz optymistyczna pewność, że naukowym myśleniem można rzeczywistość zgłębić i rozwiązywać zawiłe problemy. Ta właśnie wiara — *the religion of science* — udzieliła się młodej słuchaczce pozytywistycznego filozofa. W nieco dojrzalszym wieku Beatrice Webb nabrała dużo sceptycyzmu wobec tej wiary w fakt i naukę. Lecz z wpływu Spencera pozostało jej na całe życie poczucie wagi faktu i potrzeba gruntownego badania, grupowania, ważenia i klasyfikowania faktów. Bez tego nastawienia nie dokonałaby chyba tej ogromnej pracy badawczej, zawartej w licznych tomach, o życiu proletariatu angielskiego, o historii ruchu spółdzielczego i historii Związków Zawodowych. Z wpływu Spencera pozostało jeszcze coś więcej, mianowicie przyrodnicze traktowanie zagadnień społecznych. Oto co pisze na temat tego wpływu sama Beatrice Webb:

„Gdy byłam małym dzieckiem, Spencer był może jedynym człowiekiem, który dbał o mnie stale, lub raczej wyróżnił mnie, jako jednostkę godną szkolenia i pieczy. Nie wywarł on na mnie dominującego wpływu intelektualnego aż do czasu, gdy ukończyłam 20 lat i zaczęłam studiować dzieła jego systematycznie. Lecz choć przedtem nie pojęłam jego filozofii, to sama rozmowa z nim i przysłuchiwanie się jego długim i przyjemnym dyskusjom z matką, podniecało zarówno mą ciekawość faktów, jak pragnienie wykrywania zasad lub praw, rządzących nimi. Uczył on mnie badania instytucji społecznych zupełnie w ten sam sposób, jak gdyby były one roślinami lub zwierzętami, rzeczami które poddaje się obserwacji, klasyfikacji i wyjaśnieniu i których akcję możnaby do pewnego stopnia przewidzieć, wiedząc o nich dostatecznie wiele".

Agnostycyzm Spencerowski, skłaniający się raczej ku materializmowi, wywoływał w niej instynktowny sprzeciw. Wydawało jej się po prostu, że agnostycyzm może być cechą myślenia mężczyzny, lecz nie da się pogodzić z temperamentem kobiecym, z nurtem uczuciowym przeżyć kobiecych. To też Beatrice Webb po pewnym okresie religijnego sceptycyzmu, po wahaniach i rozterkach, dość wcześnie pogodziła się z myśleniem religijnym. Z perspektywy czasu portret Spencera wydawał jej się dość tragiczny. Życie filozofa kreśliła jako trudny kontrast między nadmiarem sił umysłowych a niedoborem uczuciowości. „Dziwne to, natura obdarzona tak doskonałym intelektem i mało czym poza tym, prócz uprzejmości i uczciwości miłującego prawdę umysłu. Czasem ze smutkiem mi opowiadał, że zastanawiał się nad słabością swoich uczuć, nawet uczucia przyjaźni i to dla starych przyjaciół i krewnych. Przypisywał to temu, że umysł jego zajęty był stale doskonaleniem jednej idei, w której wartość ani razu nie zwątpił".

Pierwsze początki pracy badawczej Beatrice Webb wyglądały raczej na

kaprys, czy *hobby* młodej i oryginalnej kobiety z Society. *Hobby* ta miała charakter tym bardziej niewinny, że związana była niejako z gruntem familijnym jej rodziny. Kuzyn Beatrice, Charles Booth, rozpoczynał właśnie swe badania nad życiem warstw upośledzonych, badania które w końcu uwieńczone zostały ogromną 17 tomową pracą o biedakach z East-Endu. Booth również stanowił postać niesłychanie skomplikowaną i oryginalną. Był on magnatem przemysłu budowy okrętów i jednym z najbogatszych kupców-eksporterów owego czasu. Na marginesie swoich interesów prowadził szerokie badania, które przyniosły mu doktoraty honorowe Uniwersytetów w Oxford, Cambridge i Liverpoolu. Był to konserwatysta nieco przerażony agitacją socjalistyczną a zwłaszcza ponurym obrazem nędzy proletariatu angielskiego, ujawnionym przez Karola Marxa. Zamierzał zaprzeczyć temu obrazowi i w tym celu rozpoczął monumentalną ankietę. W pierwszym stadium ankieta ta objęła milion mieszkańców East-Endu, w następnym zaś 4 miliony mieszkańców Londynu. W rezultacie tej ankiety, jak pisze Bernard Shaw, Marx wyszedł jednak zwycięsko. Z chwilą bowiem przystąpienia do pracy badawczej ten dziwny magnat przemysłu angielskiego odsunął na bok wszelkie przesądy i z góry zamierzone cele. Badał i tylko badał. Nie zadawalał go materiał dostarczony mu przez wspaniałe angielskie spisy ludnościowe, które już w ciągu wieku XIX dawały tak pełny wgląd w życie społeczne Anglii, o jakim w żadnym kraju kontynentalnym marzyć jeszcze nie można było. Booth sam wszedł w kontakt z trzema tysiącami urzędników sporządzających spisy ludnościowe w Londynie i za pozwoleniem władz instruował ich, uzupełniał kwestionariusze, formułował pytania i t.d. Do pracy tej wciągnęła się Beatrice. Pomagała kuzynowi segregować ogromny materiał statystyczny według pewnych nowych kryteriów. Wtedy to, za inspiracją Bootha, wprowadzono najszczegółowszą statystykę przeludnienia oraz statystykę zatrudnienia służby domowej. Magnat shippingu nie chciał jednak polegać wyłącznie na oficjalnym materiale statystycznym. Zorganizował pra-wzór metody ankietowej, używającej kontaktu osobistego badacza z badanym środowiskiem. Odtąd całe lata życia Beatrice Webb upływały wśród *slums*'ów East-Endu. Organizowała konferencje opiekunów szkolnych, znających życie rodzinne biednych dzieci. Na konferencje te przybywał Booth otoczony swymi sekretarzami, objuczony stosami notatników i całymi wieczorami spisywał gorliwie i łapczywie odpowiedzi i zeznania opiekunów szkolnych. Zestawiał je i porównywał z oficjalnymi danymi statystycznymi. Podobne konferencje organizował przy udziale Beatrice z komornikami skarbowymi, inspektorami sanitarnymi, duchownymi East-Endu, księżmi, pastorami i rabinami. Nie koniec na tym. Booth zorganizował osobistą inspekcję ulic. Beatrice przeniosła się z luksusowego pałacu na Kensington Palace Gardens do najbrudniejszych, ociekających nędzą i chorobą chałup East-Endu. Pracowała jako szwaczka w pracowni żydowskiego krawca w okresie gdy „sweating system“ święcił swój najbardziej ponury tryumf na peryferiach najbogatszej stolicy świata. W ten sposób układała wraz ze swym kuzynem jedyną w swoim rodzaju mapę społeczną Londynu, w której ulica za ulicą, zaułek za zaułkiem, kreślone były diagramami dochodu społecznego, warunków mieszkaniowych, chorób zawodowych, ilością służby zatrudnionej i t.d. Opracowywała monografie o warunkach pracy w dokach i stoczniach londyńskich, gdzie w tym samym czasie organizowała związki zawodowe i kierowała pierwszymi burzliwymi strejkami robotników portowych tragiczna córka Karola Marxa, Eleanor Aveling-Marx.

Spotkanie tych dwóch kobiet miało jednak miejsce nie w dokach East-Endu—Beatrice Potter obserwowała, badała, lecz nie brała udziału w walce — lecz w halach bibliotecznych British Museum. Ze spotkania tego

pozostał ślad w pamiętniku Beatrice Webb, wspomnienie, rzucające światło na momenty psychiczne, które przez całe życie dzieliły Beatrice Webb od marksizmu. W „*My Apprenticeship*“ czytamy: „*Różnica między tym wiekiem a ubiegłym* — mówiła córka Marxa — *polega na tym, że dawniej wolna myśl była przywilejem wyłącznie klas wyższych a teraz staje się przywilejem klas pracujących. Dążymy do tego, by klasy pracujące wyrzekły się mitycznych zaświatów i żyły dla tego świata*. . . Nie sposób było z nią dyskutować. Nie chciała uznać piękna religii chrześcijańskiej. Sądziła, że w postaci Chrystusa. . . brak było heroizmu. . . Gdy zapytałam ją, czym jest program socjalistyczny, bardzo rozumnie odparła, że mogłabym ją równie dobrze poprosić o podanie w krótkiej formule całej teorii mechaniki. Program socjalistyczny wynikał jako wniosek z nauki społecznej, najbardziej skomplikowanej ze wszystkich nauk“.

Był to w życiu Beatrice Webb okres najtrudniejszy. Ropiejące wrzody społeczne, którym przyglądała się w East-Endzie, mówiły jej, że organizm współczesnego jej społeczeństwa cierpiał na jakąś ciężką chorobę, dziwnie sprzeczną z mieszczańskim optymizmem i spokojem ducha epoki wiktoriańskiej. Szukała odpowiedzi na dręczące ją pytania, nie znajdując jej. Życie osobiste młodej badaczki również było wewnętrznie skłócone. Amplituda wahań między salonami West-Endu a slums'ami Whitechapel gnębiła ją psychicznie, skazując na udręki rozczarowań i beznadziejności. Na krótko wydawało się jej, że ruch spółdzielczy jest wystarczającym rozwiązaniem problemu społecznego. Pisze pierwszą swoją większą pracę, samodzielną, o historii kooperatyw. Pojawia się w roli świadka przed komisjami parlamentarnymi, badającymi kwestię przeludnienia w dzielnicach robotniczych. Odpowiedzi jej, pozbawione jakiejkolwiek tendencyjności, proste, uczciwe i ostre, narażają ją na złośliwość jej środowiska. Konserwatywna „*Pall Mall Gazette*“ prowadzi przeciwko niej kampanię, zarzucając jej operowanie kłamstwem i wymysłem.

W takim właśnie krytycznym nastroju ducha, w roku 1891, poznała Sidney Webb'a, który już wówczas był jednym z filarów towarzystwa Fabianów. Pod wpływem Webb'a, skromnego wówczas urzędnika państwowego, córka potentata przemysłowego przejęła się socjalizmem zabarwienia fabianowskiego. Związek ten naraził ją na pewien konflikt z rodziną, która gwałtownie mu się sprzeciwiała. Uniemożliwił jej również spełnienie roli spadkobierczyni literackiej Herberta Spencera, albowiem filozof pozytywizmu zastrzegł się, że wykonawcą jego woli literackiej nie może być socjalista. Te jednak kłopoty natury rodzinnej i osobistej wyrównała z nadwyżką nowa praca badawcza, podjęta wspólnie z Sidney Webb'em, a mianowicie monumentalna historia Związków Zawodowych. Dzieło to dało jak gdyby morfologię brytyjskiego ruchu zawodowego, w jego rozwoju dziejowym, od cechów rzemieślniczych aż do współczesnych form. Książka ta stała się wkrótce klasycznym utworem międzynarodowej literatury socjalistycznej, na którym kształciły się we wszystkich krajach europejskich całe pokolenia przewódców i organizatorów ruchu zawodowego. I u nas w Polsce „*Historia Związków Zawodowych*“ należała w bibliotekach robotniczych do tych książek, które stale nosiły na sobie najwięcej śladów rąk czytelnika-robotnika. Odtąd w ciągu kilkudziesięciu lat Webb'owie stanowili nieodłączną parę autorską i każdy niemal ze wspólnych ich utworów był wydarzeniem w świecie książki i myśli postępowej. Po „*Historii Związków Zawodowych*“ nastąpiła „*Demokracja Przemysłowa*“ i wielki 7 tomowy „*Samorząd angielski*“.

Trudno już oddzielić w ich ogromnym dorobku naukowo-literackim wkład osobisty każdego z nich. Jeden z biografów charakteryzuje tę współpracę w sposób następujący: „Do tej podziwu godnej spółki intelektualnej Beatrice Webb wniosła swój ogromny zasób doświadczenia w rzemiośle badań społecznych i własną znaczną wiedzę. Nie podejmowała

się jednak współzawodnictwa ze zdolnością do pracy i niesamowitą zachłannością w czytaniu i pisaniu, które charakteryzowały jej męża". Beatrice Webb pozostała poza tym raczej badaczem, niż politykiem, chociaż wychodziła z ciszy gabinetu naukowego, by toczyć boje o reformy socjalne na forum prasy i w salach posiedzeń komisji parlamentarnych. Szczególnie głośną była swego czasu jej kampania, którą prowadziła od roku 1905 do roku 1909 w związku z pracami parlamentu nad t.zw. *Poor Law*. W kampanii tej wysunęła ona hasła, których echa wyczuć jeszcze można w aktualnych obecnie planach reformy, jak np. w planie Beveridge'a. Trzymała się jednak na ogół zdala od bardziej konkretnych bieżących walk politycznych, które były domeną Sidney Webb'a.

Poprzez Towarzystwo Fabianów Webb'owie wywierali przez długie lata nieodparty wpływ na kształtowanie się oblicza ideowego brytyjskiego ruchu robotniczego. Można bez przesady powiedzieć, że byli oni wychowawcami dwóch pokoleń przewódców intelektualnych tego ruchu. Metodę ich scharakteryzował sam Sidney Webb, jako opartą na tezie *of the inevitability of gradualness* (nieuniknioność postępu stopniowego). U podstaw tej idei leżało optymistyczne przekonanie, że ustrój kapitalistyczny Anglii „z przyrodniczą nieuchronnością" będzie się rozwijać w kierunku socjalizmu i że wobec tej nieuchronności metody rewolucyjne okażą się zbyteczne. Wiara ta z kolei oparta była na przeświadczeniu o doskonałym funkcjonowaniu demokracji angielskiej, dającej warstwom nieposiadającym pełną swobodę rozwoju i gromadzenia sił. Fakt, że Anglia epoki Webb'ów nie posiadała ani stałej armii, ani przemożnej kasty oficerskiej, ani nawet silnie ukształtowanej biurokracji, dawał tej wierze solidne podstawy. Wprawdzie pod koniec ubiegłego wieku teoria rewolucji zdobywała sobie pewien grunt i w Anglii. Głosiła ją tu Federacja Socjalno-Demokratyczna, założona przez późniejszego przewódcę liberałów Hyndmana, owego stuprocentowego gentlemana angielskiego, który w cylindrze i fraku, nie mogąc wyzbyć się charakterystycznych manier członka ekskluzywnego klubu na Pall Mall, zjawiał się w Hyde Parku, by z przygodnej trybuny głosić tłumom nauki Karola Marxa. Towarzystwo Fabianów obrało inną drogę działania. Webb'owie w początkowym okresie, nim jeszcze Labour Party wyodrębniła się w samodzielne stronnictwo, kształcili w filozofii gradualizmu koła adeptów, którzy później wstępowali do stronnictwa liberałów, do różnych ugrupowań radykalnych, do Związków Zawodowych i Kooperatyw, by wewnątrz tych organizacji głosić prawdy formułowane przez Webb'ów. Nie był to atak frontalny na twierdze przeciwnika. Był to przemyślny system stopniowej, lecz ciągłej infiltracji Fabianów w najprzeróżniejsze organizacje społeczne. Głównym, obok Webb'ów, rzecznikiem tej metody był oczywiście G. B. Shaw. Po latach okazało się, że robota ta dała bardzo szerokie wyniki. Stronnictwo Liberalne, szczególnie jego inteligencja, było jak gdyby rozsadzone od wewnątrz przez wpływ ideowy fabiańskich komórek. Ten fakt w pewnej mierze sprawił, że w następstwie Partia Liberalna znikła jak gdyby z widowni politycznej, ustępując miejsca Labour Party, temu nieodrodnemu tworowi Webb'ów. Wprawdzie Webb'owie, szczególnie w ostatnich latach, trzymali się na uboczu od stronnictwa. Nie brak było rozdźwięków politycznych, zwłaszcza, że starzy nauczyciele u schyłku swego żywota zdawali się odstępować częściowo od zasad, które głosili w swej młodości, skłaniając się raczej ku kompromisowi z programem rewolucji. Jest rzeczą niewątpliwie ciekawą, że paradoks ten daje się zaobserwować i u innych starych Fabian'ów. Również Bernard Shaw, który wraz z Webb'ami wierzył, w ciągu pół wieku, w harmonijną ewolucję ku socjalizmowi i odrzucał zasady rewolucji, w ostatnich latach wykazał jak gdyby pewne zwątpienie w filozofię gradualizmu. Tym niewątpliwie tłumaczy się zdecydowanie prosowieckie stanowisko zarówno Shaw'a, jak i Webbów

w ich wielkiej dwutomowej pracy o eksperymencie sowieckim, noszącej subtytuł „Nowa cywilizacja?“ Ten znak zapytania wyrzucony z ostatniego wydania tego dzieła wskazuje na dylemat z jakim borykali się twórcy ideologii fabiańskiej pod koniec swojego życia.

Beatrice Webb w młodości swojej zgodziła się z Mattew Arnoldem, że „nierówność materializuje nasze wyższe klasy, wulgaryzuje nasze średnie klasy a brutalizuje nasze klasy niższe“. Poświęciła swoje życie odmaterializowaniu i odwulgaryzowaniu jednych i „odbrutalizowaniu“ drugich. Temu ideałowi pozostała wierna do końca.

CZESŁAW POZNAŃSKI

POLITIQUE D'ABORD

„Politique d'abord“. Hasło to zostało sformułowane na początku XX wieku przez Karola Maurras'a. System polityczny Maurras'a, jego monarchizm, jego „nacjonalizm integralny“, to system integralnej reakcji. Maurras pragnął cofnąć Francję do epoki przedrewolucyjnej: wolność i równość są w jego oczach pojęciami zgubnymi. Jego społeczeństwo idealne jest społeczeństwem hierarchicznym, elitarnym, opartym na przywilejach dziedzicznych. I nie ma ceny, której by nie był zapłacił chętnie za realizację tego swego ideału, za obalenie znienawidzonej Republiki, za zamordowanie „la gueuse“, jak ją nazywał.

Dlatego też zupełnie logicznie Maurras jest dzisiaj głównym teoretykiem rządów Pétain'a, doradcą i sumieniem politycznym starego, zniedołężniałego marszałka. „Integralny nacjonalizm“ nie rozdzielający pojęcia narodu od pojęcia reżimu politycznego logicznie w wojnie obecnej, która jest wojną demokracji przeciw faszyzmowi, zaprowadził Maurras'a do obozu „kollaboracjonistów“, doprowadził go do zdrady narodowej.

Odrzucając jednak system polityczny Maurras'a i całą jego doktrynę tym nie mniej musimy uznać, że podkreślenie przez niego prymatu polityki nad ekonomią, to jest prymatu zagadnień ustrojowych nad zagadnieniami gospodarczymi jest tym punktem archimedesowym, na którym muszą się oprzeć wszelkie rozważania przyszłości.

Było zrozumiałe, że wiek XX o tym zapomniał. Zdobycze polityczne Wielkiej Rewolucji Francuskiej wydawały się być tak głęboko zakorzenione, tak dalece stały się integralną częścią życia Zachodniej Europy, że o nich nie pamiętano, jak nie pamiętamy o powietrzu którym oddychamy.

Natomiast braki życia współczesnego, niesprawiedliwości ustroju gospodarczego biły w oczy. I Anatol France mógł mówić, że wolność polega na tym, że milioner i żebrak mają tę samą wolność przespania się pod mostem. A równość wobec prawa wydawała się karykaturą równości, gdy się spoglądało na nierówności dochodu, na nierówności społeczne.

W miarę jak państwo zaczęło obejmować coraz szersze dziedziny życia, kapitał zainteresował się i państwem. Gdy wpływy banków, wpływy wielkiego przemysłu zaczęły zupełnie wyraźnie przenikać do parlamentu i korumpować system rządów parlamentarnych—hipnoza zagadnień gospodarczych i poczucie, że demokracja polityczna nie jest w stanie rozwiązać zagadnień, mogło się tylko wzmóc.

Już nie tylko ortodoksyjni marksiści, ale po prostu większość poczęła widzieć w systemie politycznym jedynie dekorację a w systemie gospodarczym—istotę życia społecznego.

Rewolucja bolszewicka działała w tym samym kierunku. Twórcy jej byli ortodoksyjnymi marksistami i dawali, oczywiście marksistowską, ekonomiczną interpretację swej polityki. A i niezależnie od tego oficjalnego komentarza sam fakt wywłaszczenia klas posiadających, sam fakt

przejęcia przez państwo całego aparatu wytwórczego był tak uderzający w swej nowości i w swych konsekwencjach, że przesłonił istotę rzeczy a mianowicie, że rewolucja październikowa była przede wszystkim opanowaniem *aparatu państwowego* przez pewną grupę-partię bolszewicką; że obecny reżim rosyjski jest ustabilizowaniem władzy nad aparatem państwowym przez tę samą grupę, że „dyktatura proletariatu“ jest dyktaturą nad całym narodem rosyjskim tej właśnie grupy, mającej aparat państwowy w ręku.

Ta czysto ekonomiczna interpretacja rewolucji bolszewickiej spowodowała, że później w faszyźmie i hitleryźmie nie chciano widzieć nic innego, jak kontrrewolucję wielkiego kapitału, jak ostatnią fazę rozwoju kapitalistycznego, zapoznając zupełnie *polityczny* charakter tych rewolucyj; a mianowicie znowu opanowanie aparatu państwowego przez pewną, że użyję terminologii Sorelowskiej, „minorite agissante“, skonfiskowanie państwa przez partię faszystowską, względnie nacjonalsocjalistyczną. Los Hugenberga i jego koncernu przejętego przez partię, los Thyssena, wzrastająca potęga Hermann Goering Werke, uważane były za szczegóły, nie zmieniające zasadniczego faktu, że Hitler jest w gruncie rzeczy obrońcą kapitału przed bolszewizmem i socjalizmem.

Oczywiście nie przeczę, że zmiany ekonomiczne spowodowane przez rewolucję bolszewicką były olbrzymie i że w znacznej mierze determinują oblicze Z.S.S.R. Nie myślę także przeczyć, że kapitalizm włoski, zarówno jak kapitalizm niemiecki, jak wreszcie kapitalizm francuski i część kapitalizmu brytyjskiego istotnie widziały w Mussolinim i Hitlerze swych kondotierów i udzielały im poparcia w nadziei, że przy ich pomocy zgniotą ruch robotniczy, a później z kondotierami dadzą sobie radę. Nie przeczę nawet, że pewne elementy kapitalistyczne Włoch i Niemiec istotnie nienajgorzej wyszły — jak dotychczas — na swej spółce z dyktatorami. Twierdzę jednak, że istotą rzeczy zarówno w Rosji, jak w Niemczech i Włoszech była rewolucja polityczna, to jest opanowanie aparatu państwowego i skonfiskowanie państwa przez grupę, która się stała klasą rządzącą i która dla umocnienia swej władzy zlikwidowała nie tylko system reprezentacyjny, który był formą rządów demokratycznych, ale i samą podstawę demokracji, to znaczy; prawa polityczne i obywatelskie „szarego człowieka“. I twierdzę, że istotne pokrewieństwo totalizmów większe jest od różnic między nimi, spowodowanych odrębnymi systemami ekonomicznymi i że to właśnie potwierdza tezę, że ustrój polityczny ma rolę decydującą.

Klasycznym dowodem tej prawdy jest sytuacja związków zawodowych. Czyż nie jest wysoce wymowne, że zarówno w państwie „proletariackim“, jak w państwach faszystowskich, główny oręż klasy robotniczej, ten którym wywalczała sobie poprawę bytu, został jej wytrącony z ręki, że strajk jest zbrodnią karalną zarówno w Z.S.S.R., jak w Niemczech, czy Włoszech. Czyż nie jest uderzające, że zarówno tu, jak tam, związki zawodowe straciły swą samodzielność, a stały się organami państwowymi?

Oczywiście ideologiczne uzasadnienie jest różne. Niemcy i Włochy zniosły prawo strajku, gdyż nie uznają walki klas i łączą robotników z prawodawcami w wspólne związki, Arbeitsfront, czy korporacje, w imię solidarności narodowej i zasady podporządkowania wszystkiego państwu. W Rosji robotnik jest „właścicielem“ państwa, nie może więc strajkować przeciw samemu sobie“. Praktycznie jednak sytuacja jest identyczna.

Niedawno ukazała się niezwykle ciekawa książka pod tytułem „*The Managerial Revolution*“, pragnąca dać interpretację zmian zachodzących obecnie i nakreślić obraz przyszłości. Autor tej książki, James Burnham jest eks-trockistą, który zerwał z marksizmem. Zachował jednak z doktryny marksistowskiej wiarę w to, że ideologie i ustroje polityczne są jedynie nadbudówkami, że istotą rzeczy jest układ gospodarczy stosunków i locus władzy ekonomicznej.

Burnahm twierdzi, że epoka kapitalizmu mija, że kapitalizm nie jest już w stanie rozwiązać zasadniczych zagadnień dnia dzisiejszego.

Podaje na to twierdzenie dziewięć argumentów.

1) Kapitalizm nie jest w stanie rozwiązać zagadnienia masowego bezrobocia;

2) kryzysy nie tylko stają się coraz częstsze, ale w przeciwieństwie do tego co się działo dawniej, produkcja w epoce „boom'u" pokryzysowego nie osiąga wysokości produkcji poprzedniego „boom'u"; 3) zadłużenie prywatne i publiczne osiągnęło taką wysokość, że nie można sobie już z nim dać rady; 4) nie ma już swobodnych tranzakcji walutowych; 5) depresja rolnicza jest nieuleczalna; 6) istnieje obok bezrobocia ludzi olbrzymie bezrobocie kapitałów, które nie szukają inwestycji; 7) narody kapitalistyczne nie są już w stanie eksploatować i rozwijać ekonomicznie narody zacofane; 8) kapitalizm nie jest w stanie zużytkować nowych wynalazków, nie może podążyć za postępem technicznym.

Dziewiątym argumentem Burnham'a jest wreszcie bankructwo „ideologii burżuazyjnej" cofającej się przed walką z ideologiami totalistycznymi. „Ideologią burżuazyjną" Burnham nazywa demokrację i patriotyzm.

Bankructwo tej ideologii Burnham widzi w tym, że nacjonalsocjaliści odnieśli zwycięstwo i w plebiscycie Saarskim i na Sudetach, w upadku Francji i w „haniebnym bankructwie dobrowolnej służby wojskowej w Wielkiej Brytanii". Ten ostatni argument wskazuje najdobitniej, jak dalece czysto ekonomiczne podejście do zagadnień jest zawodne. Burnhamowi bowiem nie przychodzi do głowy, że w Saarze i w Sudetach fakt poczucia narodowego mógł odegrać jakąkolwiek rolę. Nie przychodzi mu do głowy, że w Anglii do roku 1939 po prostu nie wierzono w możliwość wojny i że to właśnie ta niewiara połączona z naturalną u narodu cywilizowanego niechęcią do służenia w wojsku w czasie pokoju, decydowała o słabym zaciągu ochotniczym. Co ciekawsze, pisząc w roku 1941 po Dunkierce, po blitzu londyńskim, po kampanii libijskiej, nie dostrzega bohaterstwa, z jakim naród brytyjski walczył broniąc tego, co on nazywa „burżuazyjną ideologią".

W tym względzie zresztą historia Polski XIX i XX wieku daje najlepszą odpowiedź na tezę Burnhamowską.

Teoria „rynków wschodnich" Róży Luxemburg, uzasadniająca konieczność pozostania Polski w ramach Imperium Rosyjskiego względami gospodarczymi, pociągnęła za sobą tylko minimalną część klasy robotniczej. Olbrzymia większość tej klasy gromadziła się pod sztandarem P.P.S., która na pierwszym miejscu stawiała *polityczne* hasło niepodległości Polski. A jeżeli partie, reprezentujące polskie sfery posiadające, jak realiści i N.D. w trakcie Wielkiej Wojny postulatu niepodległości nie wysuwały, a niekiedy wprost go zwalczały, jako „żydowski" wymysł, to mam wrażenie, że grał tu nie tyle ich interes ekonomiczny, ile po prostu głęboka niewiara w możność spełnienia tego postulatu, katzenjammer po nieudałych próbach roku 1830 i 1863, głęboka apatia polityczna.

Dziś znowu nie tylko w Polsce, ale w całej Europie centralnym zagadnieniem nie jest przyszły ustrój ekonomiczny, a sprawa niepodległości. Żadna obietnica najpomyślniejszego rozwiązania spraw gospodarczych, czy to w obrębie Grossraumu niemieckiego, czy to w „sferze wpływów" Sowietów, nikogo w Europie nie kusi — prócz quislingów. Zarówno Polacy, jak Norwegowie, Belgowie i Holendrzy, jak Grecy i Francuzi walczą nie o co innego, jak o niepodległość.

Politique d'abord.

Idźmy jednak dalej za Burnhamem.

Zauważył on, i zupełnie słusznie, że w latach ostatnich nastąpiło znamienne przesunięcie w ramach ustroju kapitalistycznego, a mianowicie rozdział własności od dyspozycji.

Henryk Ford, który jest jednocześnie i właścicielem i faktycznym dysponentem olbrzymiego przedsiębiorstwa, jest dzisiaj wyjątkiem. Normalny właściciel przedsiębiorstwa — akcjonariusz — jest dzisiaj w pozycji królów dynastii Merowingów, czy Mikadów japońskich czasu szogunatu, to jest ma tytuł, ale nie ma faktycznej władzy. Władza nad przedsiębiorstwem — „control", by użyć ścisłego angielskiego wyrażenia — przechodzi w ręce technicznych dyrektorów — „managerów".

Zdaniem Burnhama taka sytuacja nie da się utrzymać. Siłą rzeczy managerzy, podobnie jak majordomowie Merowingów, będą chcieli objąć pełnię władzy nad instrumentami produkcji, likwidując formalnych właścicieli-kapitalistów. Uczynią to dlatego, że w dzisiejszym stanie rzeczy managerzy mają zgoła, ich zdaniem, niedostateczny udział w dochodach przedsiębiorstwa, które idą przeważnie do kieszeni „kapitalistów finansowych". Managerzy jednak nie staną się sami kapitalistami, tak jak Pepin stał się królem, ale będą dążyli do upaństwowienia narzędzi produkcji. Albowiem w ten sposób „państwo, to jest instytucje stanowiące państwo, staną się, o ile można to tak powiedzieć „własnością" managerów. I to wystarczy, by uczynić z nich klasę rządzącą".

Tak więc przemiana, która się dokonywuje w naszych oczach to zamiana jednej klasy rządzącej przez drugą. Spadkobiercami burżuazji, która wyparła ze stanowiska dominującego arystokrację, staną się ludzie nowi „managerowie". To nowe społeczeństwo managerskie nie będzie oczywiście demokratyczne. Burnham wyraźnie stawia jako jedno z naczelnych zadań „*the curbing of the masses*" — ubezwłasnowolnienie mas.

Jednym z głównych argumentów Burnhama, dlaczego taki właśnie rozwój jest nieuknininony, jest to, że wojna wykazała konieczność planowania, że wykazała wyższość Niemiec nad demokracjami Zachodu wynikającą z tego właśnie, że reżim managerski pozwolił na racjonalne planowanie gospodarcze.

W pojęciu bowiem Burnhama, to co się stało i w Niemczech i w Rosji, było właśnie objęciem władzy przez managerów. I tu i tam, jego zdaniem, kapitaliści zostali obezwładnieni przez nową klasę rządzącą. Zdaniem Burnhama zresztą i New Deal Rooseveltowski idzie w tym samym kierunku, albowiem ogranicza swobodę kapitalistów i rozszerza sferę ingerencji państwa.

Rzuca się chyba w oczy, że interpretacja Burnhamowska ma ten zasadniczy brak, że zupełnie pomija rolę partii i apratu partyjnego w Niemczech i w Rosji.

Zdaniem Burnhama nacjonal-socjaliści w Niemczech, komuniści w Rosji są jedynie „biurokratycznymi, wojskowymi i policyjnymi wspólnikami" istotnych władców-managerów. Analiza ta jest równie niesłuszna, jak ta analiza, która w Hitlerze i hitlerowcach widzi jedynie sługi kapitału monopolowego.

Istotą bowiem jest to, że locus władzy zarówno w Rosji, jak w Niemczech jest nie gdzie indziej jak w ręku biurokracji *partyjnej*. „Managerowie" mają w tej władzy udział, ale udział ich jest jedynie pochodny, i aparat państwowy będący w rękach partii jest zawsze silniejszy od nich. „Czystki" wsród „speców i dyrektorów trustów w Rosji, zmiany na kierowniczych stanowiskach koncernów niemieckich, mówią językiem aż nadto wyraźnym.

W jednym zasadniczym punkcie analiza Burnhamowska jest słuszna. Warunkiem skutecznego planowania jest coraz szersze uspołecznienie środków produkcji.

Idzie więc o to, czy istotnie ceną tego planowania musi być zastąpienie eksploatacji przez kapitalistów, przez eksploatację przez nową klasę „managerów", lub przez aparat państwowy będący w bezapelacyjnym posiadaniu biurokracji; czy istotnie demokracja była jedynie politycznym

odpowiednikiem kapitalizmu i musi zejść razem z nim ze sceny. Zagadnienie, jak pogodzić demokrację z planowaniem gospodarczym jest zresztą może najbardziej kluczowym zagadnieniem.

Burnham bez wahania twierdzi, że to pogodzenie jest niemożliwe. Zastrzega się mocno, że odpowiedź jego nie oznacza bynajmniej, by uważał to za okoliczność szczęśliwą. Wręcz przeciwnie, obraz przyszłości który rysuje, jest ponury, albowiem podług niego, po likwidacji kapitalizmu i obezwładnieniu mas nastąpi siłą rzeczy walka między państwami managerskimi o panowanie nad światem i szereg krwawych wojen.

Warto zaznaczyć, że Burnham widzi trzy wielkie ośrodki państw managerskich; Niemcy, panujące nad Europą, Japonię panującą nad Azją i Stany Zjednoczone. Rosja będzie podzielona między japońską i niemiecką sferę wpływów, a Wielka Brytania będzie dodatkiem albo do niemieckiego, albo do amerykańskiego Grossraumu.

Uznając jednak, że rozwój ten może być niepożądany, Burnham uważa go jednak za nieukniniony, bo tak dyktuje rozwój stosunków gospodarczych.

Politique d'abord. Gdyby istotnie rozwój ekonomiczny miał charakter nieubłaganych praw przyrody, gdyby kapitalizm zastąpił feudalizm a obecnie społeczeństwo „managerów" musiało zastąpić kapitalizm z tą samą koniecznością, z jaką dzień następuje po nocy a zima po jesieni, to istotnie możnaby jedynie było zastanawiac się, czy nie ma omyłki w *rozumowaniu* Burnhama, czy może „konieczność gospodarcza" nie prowadzi przypadkiem ku socjalizmowi. Na politykę jednak nie byłoby miejsca.

Politique d'abord jednak oznacza wiarę w to, że *wola ludzka* jest jednym z elementów kształtujących historię. I jeżeli wierzymy, że demokracja z jej hasłami wolności, równości i braterstwa nie jest tylko nadbudówką ustroju kapitalistycznego, ideologią pod osłoną której burżuazja wyrwała władzę z rąk szlachty, jeżeli wierzymy, że demokracja reprezentuje wartości istotne, polegające na tym że daje możliwości rozwoju i dobrobytu najszerszym masom, to obowiązkiem naszym jest dążyć do ustroju, któryby połączył demokrację polityczną z racjonalną gospodarką, któryby zapewnił wszystkie cztery wolności Rooseveltowskie, a nie jedynie albo wolność sumienia i słowa, albo wolność od niedostatku. Musimy szukać rozwiązania zagadnienia planowania demokratycznego, któreby nie miało na celu zastąpienia jednej klasy rządzącej inną, ale któreby miało na celu dobro powszechne.

Stanisław Grabski w „*Ekonomiście Polskim*" pisze: „Przykład bowiem Z.S.S.R. stwierdza dobitnie, że państwo, które przyjmie na wyłączną swą własność narzędzia i środki produkcji, staje się nieuchronnie państwem totalnym. Państwo gospodarczo totalne nie może być politycznie demokratyczne. Bo złudą jest „prawo człowieka" i wolność jego myśli i czynów — gdy go się gospodarczo uzależnia całkowicie od państwa".

A Herbert Agar w swej książce „*A Time or Greatness*" staje na tym samym stanowisku, mówiąc: „Wielu najszczerszych przyjaciół demokracji i wolności jeszcze wierzy, że można oddzielić planowanie totalitarne od nadużyć państwa totalitarnego. Jest to tragiczne nieporozumienie".

Teza ta jest niewątpliwie słuszna. Tam gdzie *cała* potęga gospodarcza jest skoncentrowana w jednym ręku, tam nie ma i nie może być wolności, tam nie ma i nie może być demokracji.

Ale niesłusznie Grabski wychodząc z tych założeń wypowiada się przeciw upaństwowieniu w ogóle. Spójrzmy rzeczywistości w oczy. Monopole kluczowych przemysłów już istnieją. I przejęcie tych monopoli przez państwo nie będzie bynajmniej oznaczało zmniejszenia szans demokracji a wręcz przeciwnie. Będzie oznaczało odjęcie władzy najbardziej antydemokratycznemu elementowi, wielkiemu kapitałowi finansowemu, który władzy tej niewątpliwie i politycznie nadużywał.

Upaństwowienie finansów i przemysłów kluczowych, i co za tym idzie, go-

spodarka planowa może być wielkim postępem społecznym, może wzmocnić demokrację. Na to jednak trzeba zachowania pewnych warunków:

1) Zupełnie wyraźne podporządkowanie wszelkich instytucji planowania gospodarczego i w ogóle całej gospodarczej działalności państwa — władzy politycznej, pochodzącej od ludu.

2) Zachowanie obok sektoru gospodarki państwowej, sektoru gospodarki prywatnej.

3) Jak najszerszy rozwój związków wolnych, w pierwszym rzędzie związków zawodowych i kooperatyw, które pod żadnym pozorem nie mogą stać się częścią machiny państwowej.

Spróbujmy uzasadnić to stanowisko.

Na pierwszym miejscu postawiłem konieczność podporządkowania planowania gospodarczego władzy politycznej. Planowanie gospodarcze nie jest bowiem celem samo w sobie. Celem jest dobro ogólne. Jeżeli chcemy, aby ten cel został osiągnięty, jeżeli punktem wyjścia dla nas nie będzie sprawność samego aparatu gospodarczego, a los prostego człowieka, to jasne jest, że decydujące jest *kto* i w *czyim interesie* będzie planował.

Państwo nie jest abstrakcją, państwem i aparatem państwowym rządzą żywi ludzie. I dlatego sam fakt upaństwowienia przemysłów kluczowych, sam fakt, że to aparat państwowy będzie planował sam przez się, jeszcze niczego nie rozstrzyga. Decydujące jest kto w imieniu państwa będzie te czynności wykonywał.

I tutaj wracamy do naszego punktu wyjścia. Politique d'abord. Jedynie ustrój polityczno demokratyczny, dający pełnię władzy reprezentacji narodowej zagwarantować może, że ci którzy będą mieli w ręku aparat gospodarczy i planowanie gospodarcze nie staną się kastą rządzącą, nie będą mogli, jako „minorite agissante" wyzyskać swej pozycji gospodarczej dla skonfiskowania państwa na swą korzyść a pozostaną sługami ogółu.

Zachowanie obok sektoru gospodarki państwowej sektoru gospodarki prywatnej jest konieczne nie tyle dlatego, by państwo miało być niezdolne do objęcia całej gospodarki narodowej, ale dlatego, że z chwilą, gdy państwo stanie się *jedynym pracodawcą*, to będzie ono Lewiatanem, który siłą rzeczy będzie dążył do zgleichszaltowania wszystkich innych dziedzin. „Władza absolutna korumpuje absolutnie".

W Polsce tym sektorem gospodarki nieupaństwowionej będzie musiało być przede wszystkim rolnictwo, oparte na indywidualnym władaniu przez chłopów, rzemiosło i drobny przemysł. (Na tym stanowisku zresztą stoi i program P.P.S.)

Konieczność istnienia związków wolnych, niezależnych od państwa nie wymaga chyba bliższego uzasadnienia. Gdybyśmy zapomnieli o polityce i ustroju politycznym, gdybyśmy chcieli szukac jedynie racjonalnego rozwiązania zagadnień gospodarczych moglibyśmy umierający dzisiaj świat chaosu gospodarczego zamienić na świat jeszcze gorszy, świat może sytych, ale na pewno niewolników.

Moglibyśmy mówiąc słowami poety „propter vitam vitae perdere causam".

JERZY SKALSKI

WZAJEMNA POMOC GOSPODARCZA

AMERYKAŃSKIE PLANY INWESTYCYJ MIĘDZYNARODOWYCH

Przedmiotem ożywionej wymiany zdań w kołach gospodarczych W. Brytanii i St. Zjednoczych są obecnie dwa plany uporządkowania finansów międzynarodowych po wojnie, angielski plan lorda Keynesa przewidujący, jak wiadomo, utworzenie Międzynarodowej Izby Rozrachunkowej, i plan amerykański Morgenthaua, proponujący utworzenie Międzynarodowego Funduszu Wyrównawczego. Oba plany

różnią się w wielu zasadniczych punktach, ale zarówno brytyjscy, jak i amerykańscy autorzy zgodni są, że plany finansowe i walutowe są tylko częścią i początkiem obszerniejszych prac, zmierzających do usprawnienia i uporządkowania wymiany gospodarczej w skali światowej. Zarówno Keynes, jak i Morgenthau w dalszym ciągu swych prac przewidują ogłoszenie planu międzynarodowych pożyczek i kredytów inwestycyjnych.

Na temat ten istnieje już w Ameryce poważna literatura. Zajmuje się tym zagadnieniem i National Planning Association, stowarzyszenie, które ogłosiło już cały szereg bardzo interesujących opracowań o gospodarce powojennej, opracowań, odznaczających się często odwagą myśli i szerokim poglądem na istotę zagadnień gospodarczych i społecznych po wojnie.

Zagadnieniu inwestycyj poświęcone jest wydawnictwo p.t. „International Development Loans“, które zasługuje na szczególną uwagę ze strony polskiej, bo, zajmując się sprawą kredytów inwestycyjnych dla Europy, szczególną uwagę poświęca t.zw. „krajom zacofanym“ Europy Środkowej i Wschodniej.

* * *

Za zasadę naczelną uznaje się, że odbudowa gospodarcza świata oparta być musi na rozwoju międzynarodowego handlu. Nie oznacza to bynajmniej, że handel międzynarodowy rozwinie się za pomocą powrotu do systemu wymiany międzynarodowej na wzór lat 20 pomiędzy wojnami. Trzeba będzie stworzyć nowe warunki, w których rozwinie się handel wielostronny multilateralny, pozbawiony wszystkich cech dyskryminacji.

W tej wymianie międzynarodowej olbrzymią rolę odgrywać mogą i powinny międzynarodowe inwestycje, w szczególności międzynarodowe pożyczki dla rozwoju t.zw. zacofanych krajów.

Wszędzie na świecie tworzą się nowe pojęcia międzynarodowych stosunków gospodarczych. Pojęcie to wykuwa się i w Stanach Zjednoczonych, które widzą, że trzeba zastąpić nową myślą imperializm, izolacjonizm i kolonializm dawnych czasów.

Nowy ład Hitlera i japońska, strefa dobrobytu Większej Azji w pewnym stopniu odzwierciedlają te nowe myśli, aczkolwiek kryją za sobą najbardziej brutalny wyzysk imperialistyczny.

W tych nowych warunkach wymiany międzynarodowej wszystkie państwa będą musiały złożyć na ołtarzu współpracy pewną część swej suwerenności narodowej w dziedzinie gospodarczej, ale w zasadzie *nowy ustrój wymiany światowej musi być oparty na samodzielności państwowych jednostek gospodarczych*, które jednak w pewnych regionach będą łączyły się w grupy i związki niezależnych państw jak np. w Europie środkowo-wschodniej.

Od razu po zakończeniu działań wojennych, przed poszczególnymi krajami stanie zagadnienie przestawienia gospodarki narodowej z wojennej na pokojową. Okazać się to może zadaniem trudniejszym, aniżeli zmobilizowanie gospodarki dla celów wojennych.

Nie ulega wątpliwości, że w tej pracy społeczeństwa będą musiały wykonywać zalecenia swoich rządów i *godzić się na gospodarkę kierowaną.* Wybór leży między dwiema możliwościami:

rząd może w okresie pokojowym — tak jak czyni to podczas wojny — wyznaczyć typ produkcji, ustalać pierwszeństwo, wydzielać kontyngenty poszczególnym zakładom przemysłowym, kontrolować ceny i rozdział towarów;

albo też zadaniem rządu będzie planowanie szerokich ram odbudowy państwowej i rozwoju gospodarczego, regulując dochody spożywców za pomocą polityki podatkowej i kredytowej, za pomocą wydatków państwowych na inwestycje publiczne, zostawiając jednak prywatnym przedsiębiorcom planowanie produkcji dla konsumentów, w pewnych ramach prawnych zabezpie-

czając interesy pracy i spożywców a także tych, co lokują swoje kapitały w przedsiębiorstwach. To samo można powiedzieć o powojennym planowaniu międzynarodowym.

Surowo potępiany jest bilateralizm, który — jak nam Polakom, wiadomo z własnego doświadczenia — tyle szkód wyrządził przed wojną. Z bilateralizmem połączone były naciski polityczne i nacjonalizm polityczny, uniemożliwiający szersze międzynarodowe porozumienie.

Należy zupełnie zrewidować pojęcie ekspansji terytorialnej. W ub. stuleciu Stany Zjednoczone miały swoją „frontier". Ekspansja gospodarcza i wyrównanie ekonomiczne w skali międzynarodowej odbywały się dość łatwo, bo zdobywane dla tej gospodarki nowe tereny na kontynencie północno-amerykańskim pochłaniały zasoby ludzkie, które wyrzucone były poza nawias wskutek przesileń i złej koniunktury. Rynek wewnętrzny, z drugiej strony, wchłaniał produkcję tych nowych terenów. Kiedy „frontier" przestała istnieć, Ameryka musiała ograniczyć imigrację, tym bardziej, że i rynek wewnętrzny nie mógł pochłaniać pełnej produkcji młodych terenów.

Po wojnie tą nową „frontier" amerykańską, terenem do zdobycia będzie odbudowa przemysłu i utrzymanie na wysokim poziomie aparatu gospodarczego. W skali międzynarodowej tą „frontier" jest niski poziom produkcji i spożycia więcej niż połowy ludności świata. Tutaj otwierają się możliwości prawie nieograniczone dla produkcji i dla oszczędności krajów wysoko rozwiniętych. Aby jednak kraje słabo rozwinięte gospodarczo mogły nabywać wytwory przemysłu i spłacać pożyczki, udzielane z oszczędności krajów bogatych, ta nowa „frontier" musi mieć rynki zbytu w krajach wierzycielskich, co z konieczności narzuca utrzymanie wysokiego standartu życia.

Autorzy tego opracowania rozumieją dążenie poszczególnych krajów do rozwoju ich gospodarki i nie mają zamiaru przeciwdziałać temu. Rozumieją, że narody świata i rządy nie będą nadal tolerowały niskiego poziomu produkcji i spożycia. Plany gospodarcze będą wszędzie wprowadzone w życie. Dotychczas jednak programy rozwoju gospodarczego poszczególnych krajów przeważnie wykonywane były w atmosferze izolacji i z głównym celem wzmocnienia samowystarczalności i potencjału wojennego. Klasycznym przykładem była Rosja, która sobie za cel ostateczny postawiła wzrost stopy życiowej, ale główny wysiłek poświęciła na inwestycje kapitalne dla celów wojennych.

Nie należy obawiać się tworzenia nowych przemysłów. 10 lat kryzysu przedwojennego spaczyły myśl gospodarczą. Wydawało się, że nowa fabryka, powiedzmy, butów, w jednej części świata, automatycznie zmniejszy produkcję obuwia w innym kraju. *Zapominało się, że większość ludzi na świecie w ogóle nie ma obuwia, lub ma obuwie złe.*

Zadaniem krajów przemysłowych będzie pomóc krajom na niskim poziomie gospodarczym, zarówno w dziedzinie finansowej, jak i przemysłowej. Pośrednim sposobem udzielania tej pomocy powinno być utrzymanie równowagi i stabilizacja stosunków gospodarczych w krajach wysoko rozwiniętych. *Trzeba dążyć do stabilizacji dochodu społecznego i zatrudnienia na wysokim poziomie.* W ten przede wszystkim sposób zapewni się spokój i równowagę na rynku światowym.

Trzeba będzie porzucić politykę zniechęcania krajów zacofanych do uprzemysłowienia. Rządy krajów uprzemysłowionych będą musiały w tym kierunku wywierać nacisk na koła gospodarcze.

Jeżeli chodzi o pomoc finansową, trzeba stworzyć pewien międzynarodowy aparat w tym celu.

Oto podstawy finansowania inwestycyj:

1) Należy stworzyć aparat, ułatwiający pracę międzynarodowego kapitału, oraz udzielanie pomocy technicznej krajom, podejmującym

program rozwoju przemysłowego. Wszelkiego rodzaju pożyczki pieniężne nie mogą mieć charakteru, — ani podejrzenia nawet—eksploatacji.

2) Pożyczki winny być rozprowadzane przez międzynarodową komisję. Można byłoby np. utworzyć Międzynarodową Radę Rozwoju (International Development Authority), składającą się z przedstawicieli wszystkich krajowych komitetów planowania, zarówno wierzycieli, jak i dłużników. Kraje zasobne mogłyby udzielać informacyj o zakresie swoich możliwości, kraje zaś potrzebujące o rozmiarze swych potrzeb.

3) Na kapitał tej międzynarodowej Rady złożyć się powinny kraje zarówno wierzycielskie ,jak i dłużnicze. Fundusze krajów dłużniczych mogłyby być użyte tylko na prace w ich własnych krajach.

4) Pożyczki winny opiewać na okres 25 lat, z niskim oprocentowaniem np. 3%. Zwrot pożyczek winien odbywać się z wyników eksploatacji, z produktywności wykonanych prac.

5) Należy liberalnie traktować opóźnienia w spłatach, spowodowane złym obliczeniem zyskowności wykonanych prac, lub trudnościami transferowymi.

6) Wpłaty zarówno krajów dłużniczych jak i wierzycielskich powinny następować z góry, aby Międzynarodowa Rada posiadała fundusze na dłuższy okres czasu. Nie należy nadmiernie uzależniać tej Rady od poszczególnych państwowych ciał ustawodawczych.

7) Wysokość wpłat na kapitał Międzynarodowej Rady powinna być określona na podstawie formuły, biorącej pod uwagę dochód społeczny, roczne oszczędności, bilans handlowy i t.d. Na początek Rada musi mieć co najmniej miliard dolarów rocznie do rozporządzenia w ciągu pierwszych 5 lat swej działalności, z czego przynajmniej 900 milionów powinny wpłacać kraje, które nie będą potrzebowały zbyt wiele pomocy zagranicznej dla swych własnych planów rozwojowych.

8) Pożyczki niekoniecznie muszą się ograniczać do wyraźnie wyspecyfikowanego programu i mogą cześciowo być użyte dla wyrównania potrzeb jak np.: część może mieć charakter importu dóbr spożywczych, które będą potrzebne wskutek przeniesienia znacznej części robotników z wytwórczości dóbr konsumpcyjnych do wytwórczości dóbr kapitalnych.

9) Programy prac, omawiane przez Radę, wnoszone będą przez poszczególne kraje, a Rada zastanawiać się będzie, czy projekty te zasługują na to, aby otrzymały pomoc zagraniczną. Ustalać również będzie pierwszeństwa i t.d.

Na zakończenie autorzy powiadają, że *fałszywy jest pogląd, iż świat przed wojną był nawiedzony chorobą nadmiaru.* Tylko niektóre kraje przemysłowe i młode kraje małozaludnione, mogły osiągnąć dostateczny poziom produkcji. Aby osiągnąć właściwą stopę życia, trzeba będzie dążyć do olbrzymiego rozwoju wytwórczości zarówno dóbr spożywczych jak i wytwórczych. Kraje zacofane i kraje młode, wspomagane przez kraje wysoko uprzemysłowione, rozwijając swą gospodarkę, będą mogły przyczynić się do rozwoju handlu światowego, tym samym otwierając dla krajów przemysłowych chłonniejsze rynki.

Przyszłość będzie jednak niepewna, jeżeli zacofane kraje na własną rękę przystąpią do wykonywania programu rozwoju bez pożyczek i pomocy technicznych krajów uprzemysłowionych. Z drugiej strony, jeśli kraje uprzemysłowione będą utrudniały rozwój gdziekolwiek na świecie, liczyć się należy z tym, że po drugiej wojnie światowej w niezbyt dalekiej przyszłości, nastąpią nowe zatargi, w których już nie tylko ideologie, lecz kontynenty i całe rasy będą w walce ze sobą.